



8

KWIAT
Z SUMATRY.

KWINT & SUMATRY.

3534394

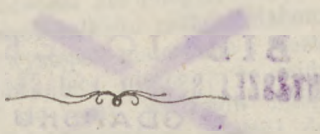
BIBLIOTEKA MRÓWKI T. 25. — SERJA DRUGA T. 7.

Sabowala Włodysław

WŁOŁODY ŚKIBA.

KWIAT Z SUMATRY.

POWIEŚĆ.



LWÓW.

NAKŁAD WYDAWNICTWA MRÓWKI.

Czeionkami Dr. H. Jasińskiego i K. Gromana.

1870.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO



IX 4 A / 1 a

T 319695

YRTAMUS X

DO WŁASNOŚCI

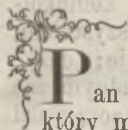
~~BIBLIOTEKA
WISZCZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
GDAŃSKU~~

~~11821~~ 1194

 Biblioteka Główna
UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO



1100746956



I.

Pan Cyprian Błotnicki był człowiekiem, który mógł powiedzieć o sobie, że tylko raz jeden w życiu odstąpił od swoich zasad, co tembardziej jest uderzajacem, że owo jedyne odstąpienie okazało się w skutkach bardzo dla niego korzystnem, powinno go więc było do dalszych zboczeń zachęcić.

Był to sobie człowieczek niski, chudy, jakich rysów... nie możemy powiedzieć dokładnie, nigdy się bowiem nie fotografował, nie dlatego, żeby był zwolennikiem zasady Mahometa, uważającej za występki malowanie i rzeźbienie ludzkich postaci, lecz dlatego, że widząc codziennie obniżające się ceny portretów fotograficznych, jako człowiek oszczędny, pragnął doczekać się ostatecznie najniższej ceny, a czekał tak cierpliwie, że mu wreszcie życia na dalsze czekanie zabrakło.

Jak już z tego szczegółu poznać można, pan Cyprian był człowiekiem oszczędnym, tak

oszczędnym, że nawet mówił stylem bardzo lakonicznym, ażeby sobie nie mieć do wyrzucenia marnotrawstwa wyrazów.

Zasady jakie sobie postawił w życiu były bardzo proste: nie potrzebować nic od nikogo, ażeby nie być zobowiązanym dać co komukolwiek; wystarczać sobie samemu we wszystkim, bo wyręczenie się kim innym kosztuje; dążyć ciągle do obniżania wydatków, pod żadnym zaś pozorem ich nie podwyższać; co się zaoszczędzi umieszczać tak, żeby w najgorszym nawet razie przepaść nie mogło, a przecież korzyść przynosiło; na koniec nigdy na żadne niepewne przedsięwzięcia się nie puszcząć.

Z temi zasadami pan Cyprjan przeżył szczęśliwie lat czterdzieści, i w tej epoce był już posiadaczem dwunastu tysięcy pięciuset złotych reńskich kapitału.

Mając taki kapitał, mógłby on zostać właścicielem domu lub wioski; nie chciał jednak ani jednego, ani drugiego, bo się obawiał strat nieprzewidzianych. W domu mieszkania mogłyby stać pustkami; na wsi mógłby się trafić rok nieurodzajny, i przyszłoby do tego, że z końcem grudnia nie wpłynęłoby do kasy to, co na początku stycznia było przewidziane. Byłby to zawód niebezpieczny dla zdrowia, które według zasad pana Cyprjana także oszczędzać należało.

Oprócz tego powodu, odstręczającego pana Cyprjana od nabycia domu lub wioski, zniechęcała go jeszcze inna niedogodność połączona z posiadaniem, to jest jawność. Można bowiem mieć krocie kapitału i dosyć korzystnie je umieszcząć, a przecież tać się przed ludźmi ze swem mieniem i uchodzić w ich oczach za biedaka; lecz niepodobna się ukryć z kamienicą albo folwarkiem. Otóż pan Cyprjan sądził, że jawność pociąga za sobą wydatki, że gdy się ludzie dowiedzą o jego majątku, to go w jakibądź sposób nakłonią lub zmuszą do życia majątkowi odpowiedniego i dlatego tał się najstaranniej przed wszystkimi z tem co miał.

Mieszkał w Krakowie, na trzeciem piętrze przy ulicy Gołębiej. Był urzędnikiem, miał sześćset reńskich rocznej pensji, a prócz tego pewien dochód z przepisowywania akt dla adwokatów po godzinach biurowych. Kapitał jaki posiadał był w głównej części spadkiem po stryju dziekanie, w części zaś zgromadził się z oszczędności, z procentów prostych i składanych, aż wreszcie dorósł do owej okrągłej sumki, którą pan Cyprjan posiadał mając lat czterdzieści.

Zdarzyło się, że w tym właśnie czasie znalazł dla swojego kapitału pomieszczenie jak najpewniejsze, najsekretniejsze i do tego przynoszące nie cztery lub pięć procent, jak dotąd mie-

wał, lecz siedem. Zachodziła jednak pewna ważna przeszkoda w zużytkowaniu tej lokacji, ta mianowicie, że niepodobna było umieścić tam mniej jak dwadzieścia tysięcy reńskich.

Zkąd tu wziąć brakującego kapitału?... Pan Cyprjan zachodził w głowę, lecz w końcu znalazł sposób.

W tym samym domu gdzie pan Cyprjan, a nawet na tem samem piętrze, mieszkała wdowa, kobieta o parę lat zaledwie młodsza od niego. Wdowa ta miała właśnie siedem tysięcy pięćset reńskich kapitału, to jest tyle, ile panu Cyprjanowi dla zyskania siedmiu procent było potrzeba. Była to kobieta oszczędna, gospodarna, a co najważniejsza, bezdzietna. Utrzymywała się z procentu i ani na myśl jej nie przyszło naruszyć coś z kapitału.

Pan Cyprjan zapukał do niej.

— Sasiadko, mam interesik, — rzekł gdy mu otworzono.

— A!.. kochany pan sąsiad — odpowiedziała uprzejmie zdziwiona odwiedzinami wdowa — jakże mi, przyjemnie zobaczyć pana u siebie! Tyle lat mieszkamy na jednym piętrze, prawie obok, i że też pan sąsiad ani razu nie był łaskaw odwiedzić...

— Psst!... przerwał pan Cyprjan, nie marnujmy wyrazów... Lubię odrazu przystępować do

rzeczy. Sąsiadka ma siedem tysięcy pięćset reńskich kapitału?

— Tak jest, sąsiedzie.

— W papierach procentowych?

— Tak jest.

— Zatem trzysta reńskich dochodu?

— W istocie... tylko nie wiem dlaczego...

— Zaraz skończę, przerwał pan Cyprian.

Więc ten dochód wystarcza sąsiadce na życie?

— Rozumie się, kiedy żyję, — odpowiedziała cokolwiek urażona tem badaniem wdowa.

— Oszczędności żadnych?...

Tu wdowa zaperzyła się naprawdę.

— A to co znowu?... no proszę!... Pięć lat mieszka o sześć kroków i zdecydował się pierwszy raz przyjść, a nie ma nic pilniejszego do roboty, jak pytać się czy ja robię oszczędności!... A zkad ci to prawo, mój panie?...

— Aj, aj, co tu niepotrzebnych wyrazów, — westchnął pan Cyprian, smutnie kiwając głową nad tą rozrzutnością.

— Niepotrzebnych! — powtórzył a sąsiadka, — a to co znowu?... Więc mi nie wolno zapytać zkad się panu wzięło egzaminować mnie z moich interesów? Winnam panu co może?... A to co znowu?...

— Interes, powiedziałem sąsiadce.

— To gadaj-że pan ten swój interes i nie nudź!

— Oszczędności żadnych? — zapytał znów pan Cyprjan, niezrażony przyjęciem jakiego doznało to pytanie.

— Mówiłam już że żadnych, — odrzekła wdowa z niecierpliwością.

— Ja wydaję podobnie trzysta reńskich rocznie, — rzekł pan Cyprjan.

Ciekawam co mnie do tego i do czego to wszystko prowadzi, pomyślała wdowa.

Pan Cyprjan wydawał wprawdzie trzysta sześćdziesiąt, ale nauczony przykładem sąsiadki, że i za tańsze pieniądze żyć można, postanowił za jednym zamachem zrobić interes, z którym przyszedł i sześćdziesiąt reńskich rocznej oszczędności w dodatku.

— Pani jesteś dobrą gospodynią, — mówił dalej.

— No i cóż z tego?

— Więc na utrzymanie dwóch osób wystarczyłoby sześćset reńskich?

— Dlaczego nie?....

— A zatem..... pobierzmy się.

Taka konkluzja zastała wdówkę zupełnie nieprzygotowaną.

— Ależ... sąsiedzie... pierwszy raz mnie odwiedzasz, — jąkała.

— Mniejsza.... znamy się od lat pięciu. Jestem porządny człowiek.

— No... porządny.... to prawda....

— A zatem: tak lub nie!... kończmy odrazu, nie lubię marudzić.

— W istocie... możeby to i nie było od rzeczy, — odpowiedziała sąsiadka.

Usłyszawszy tę odpowiedź, pan Cyprjan zastrzegł sobie dwadzieścia cztery godzin czasu do zerwania umowy, w razie gdyby się inaczej rozmyślił, i powrócił do przepisywania akt dla adwokatów.

Ale przepisywanie nie szło mu bardzo tego dnia. Rozważał ciągle, czy nie zrobił głupstwa, czy nie odstąpił od swych zasad, czy krok ten nie będzie miał dla niego jakich przykrych następstw.

Obliczając wszystkie prawdopodobieństwa, pan Cyprjan nie mógł zrazu dopatrzyć żadnej słabej strony w swem postąpieniu.

— Dostanę półósma tysiąca, dam je na procent siódmy, będę miał pięćset dwadzieścia pięć; z tego wydam na nią rocznie trzysta, zostaje dwieście dwadzieścia pięć czystego zysku, nie licząc tego, że bez jej kapitału nie mógłbym moich własnych pieniędzy na taki wysoki procent umieścić. Wyborny interes!....

Po pewnym przecieź czasie inna myśl przyszła panu Cyprjanowi.

— Tak.... wyborby interes..... na pierwszy rok!.... A jak, broń Boże, przyjdą dzieci?.... Trzysta reńskich nie wystarczy... To ryzykowne... nie chcę tego...

Nie zważając że to przypuszczenie zrobił o wpół do jedenastej wieczorem i że wdowa bezpiecznie już spać mogła, pobiegł coprędzej do jej drzwi.

— Sąsiadko! — rzekł pukając.

— Kto tam? — zapytano.

— Ja.... sąsiad.

— Rozebrana jestem.... nie można!...

— To nic, przededrzwia powiem.... Przy-szedłem wypowiedzieć małżeństwo.

— A toż dlaczego? — zapytała niespokojnie wdowa.

— Dzieci być mogą... to wydatki... ja się boję....

— Dzieci? — powtórzył głos za drzwiami, — zkadże znowu ta myśl, sąsiedzie?

— Jakto? — spytał pan Cyprjan — mnie się zdaje, że to myśl bardzo naturalna.

— Czternaście lat żyłam z nieboszczykiem i ani się śniło o dzieciach.

Ten argument uspokoił pana Cyprjana.

— Jeżeli tak, to co innego. Jutro daję na zapowiedzie. Dobranoc.

Takim sposobem, w kilka tygodni potem, sąsiadka została panią Błonicą, a pan Cyprjan miał dwadzieścia tysięcy reńskich, umieszczonych na siódmym procencie.

Pokazało się jednak wkrótce, że argument użyty przez wdowę, w celu rozproszenia obaw pana Cyprjana, niczego stanowczo nie dowodził.

Są rzeczy na ziemi i na niebie, o których się filozofom naszym nie śniło. Rok nie dobiegł, i pan Cyprjan został ojcem.

Byłby to dla niego cios okropny — ruina; że jednak równocześnie umarła mu żona, więc finanse przyszły do równowagi, a nawet okazał się zysk czysty, bo w pierwszych przynajmniej latach dziecko nie kosztowało trzystu reńskich rocznie. Pan Cyprjan ochrzcił swego syna imionami Wojciecha Gracjana i coprędzej oddał go na wieś na wychowanie, za co płacił dziesięć reńskich na miesiąc, a więc jeszcze sto osmdziesiąt oszczędzał corocznie.

Syn wzrastał równie szybko, jak kapitały ojca.

Niezawsze prawda zdarzało się znajdować lokację kapitału na procent tak wysoki; mimo to jednak, gdy syn doszedł lat dwudziestu, kapitał doszedł do pięćdziesięciu tysięcy.

W owym czasie pan Cyprjan rzekł do syna:

— Dałem ci wychowanie, powinieś umieć sobie radzić. Przestań mi być ciężarem. Masz tu dwadzieścia reńskich na początek.... idź na swój chleb.

Syn usłuchał rozkazu ojca i zaczął pracować na życie, a w tej ciężkiej pracy tak mu niewiele czasu do rozporządzenia zostawało, że się z ojcem najwyżej raz na miesiąc widywali.

Tając się z pieniędzmi nawet przed synem, ujmując co rok po parę reńskich ze swojego szczupłego budżetu, skarżąc się przed wszystkimi na ciężkie czasy, dożył pan Cyprjan do bardzo późnej starości, uważany przez wszystkich za czerstwego staruszka, któremu skromna emerytura ledwie wystarcza na życie.

Przez cały ten czas pan Cyprjan, jak powiedzieliśmy, raz tylko jeden odstąpił od swoich zasad, zrobił zbytek, a raczej puścił się na niepewne.

Było to w siedmdziesiątym siódmym roku jego życia.

O parę domów od mieszkania, które zajmował, był sklepik, w którym co rano zakupował sobie rozmaite wiktuały do swej spiżarni.

Z właścicielką tego sklepiku, dobrze już podżyłą kobietą, pan Cyprjan zaprzyjaźnił się bardzo, a nawet nie bezinteresownie.... Przy-

jażn ta była mu potrzebną, ażeby utwierdzić w sąsiedztwie przekonanie, że jest ubogim.

Zaprzyjaźniwszy się ze sklepikarką, pan Cyprjan zaczął na parę tygodni przed każdą wypłatą emerytury narzekać i stękać na biedę i tym sposobem wyjednał sobie kredyt, który jeszcze z większemi stękaniem i narzekaniem wypłacał za odbiorem pensji.

Zdarzyło się raz, że gdy przyszedł wypłacać swój niewielki dług, zastał właścicielkę sklepu zalaną łzami.

— Co to? pani Maciejowo, — zapytał.

— Mąż mój.... staruszek.... umarł, odpowiedziała kobieta.

— Panie świeć, — odrzekł pan Cyprjan z westchnieniem.

— Ba! panie Błonicki, ale to nie wszystko, skarżyła się handlarka wiktuałów, — żeby to tylko umarł.... toć przecie każdy umrzeć musi... ale zostawił mnie sierotę w biedzie... na pogrzeb nawet nie ma.... Nieszczęście!... zrabował mnie z ostatniego grosza przed śmiercią.... widzi jegomość.

— Ja też właśnie płacę mój dług....

— Pół-dziewiąta reńskiego.... albo to wystarczy?... narzekała wciąż zapłakana Maciejowa. Ot gdyby to jegomość mnie poratował....

— A cóż ja mogę?... jam biedny! odrzekł przestraszony pan Cyprjan.

— Jać to wiem, że i jegomości ciężko, ale zawsze mnie ciężej.... Nieboszczyk zrabował mnie przed śmiercią.... z ostatniego grosza, z zapasu na stare lata....

— Jakto?... wziął z sobą?...

— Gorzej jak wziął!.... ale to długo gadać!.... — prawila dalej handlarka. — Otóż gdyby jegomość pożyczył mi dwadzieścia reńskich...

— Ależ pani Maciejowa... dwadzieścia reńskich to okropne pieniądze.... zkąd ja bym wziął?...

— Jegomość przecież odebrał dziś emeryturę za kwartał.... jabym to wiktuałami spłaciła.

Pan Cyprjan był nieugięty. Litował się, co prawda, nad położeniem właścicielki sklepiku, ale prędzej byłby gotów potokiem łez oblać zwłoki nieboszczyka, niż dać reńskiego na koszt pogrzebu. Był to już dowód wielkiego z jego strony współczucia, albowiem jako nieprzyjaciel zasady, czego nie kupić, tego nie żałować, pan Cyprjan był przekonany, że i płaczu oszczędzać należy.

Maciejowa jednakże nie chciała dać za wygraną. Widząc, że prośbami nic nie wskóra, postanowiła zaatakować pana Cyprjana z innej strony,

— Mąż mój, widzi jegomość, świeć mu panie, niezły był starowina, ale miał jedną pa-skudną żyłkę. Nie pił, co prawda, za dziewczętami nie latał....

— Ba!..... ledwo chodził ze starości, — wtrącił pan Cyprian.

— To też ja przeciw temu nic nie mówię, chociaż to nieraz w starym piecu djabeł pali!... Był tedy mój stary niczego, ale miał żyłkę..... miał!..... Oto lubił grać na loterji.

— Niezawodna ruina! rzekł pan Cyprian.

— I żeby to tylko na naszej liczbowej, — ciągnęła pani Maciejowa, to ktoby mu tam kilkunastu centów pożalował na dwa tygodnie.... Ale to, proszę jegomości, ciągnął się mój stary. a ciągnął, a wszystko szło na jakieś zagraniczne, berlińskie i saskie loterje.... To mu się śnił numer, to mówił, że wyrachował, i ciągle marnowały się pieniądze!.... Przez tom ja taka biedna sierota została....

— Brzydki nałóg! marnotrawstwo! — oburzył się Pan Błoniczki.

— Aż• nareszcie przed śmiercią zrabował mnie.....

— Jakto zrabował?.... niech raz wiem....

— Miałam ja uciulanych kilkadziesiąt reńskich od przyrądku, od nieszczęścia... a pilno-



WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
Wrocław

wałam tego grosza, a strzegłam jak oka w głowie..... W szmacie, w węzełku, pod gałganami chowałam to, pod kluczem, którym zawsze nosiła przy sobie.

— I tak pleśniało bez procentu?....

— A cóż to jegomość myśli... na fantybym pożyczala, albo co?... — zaprotestowała handlarka. — Otóż kiedy dziś w nocy umarł, ja raniuteczko do pieniędzy, boć trzeba na trumnę, a pieniądze jak kamień w wodę....

— Złodziej okradł może, — rzekł pan Cyprian.

— I ja tak myślałam z początku, ale to się wszystko zaraz wydało. Przy moim starym znalazł się ten oto bilet na loteryję saską, co kosztuje podobno z ośmdziesiąt reńskich... bo to strasznie drogie takie bilety. Więc mi niegodziwy wykradł w nocy moje pieniądze, niech mu Pan Bóg nie pamięta, i rzucił w błoto.

— W błoto, w błoto!..... wzdychał pan Cyprian. Ale może nie za te pieniądze bilet kupił?... może go znalazł?... dostał?....

— Za te, za te, jegomościulku, i ten bilet obwinał tą samą szmatą, w której ja moje biedne reńskie chowałam... Otóż... widzi jegomość, jabym to jegomości za trzydzieści reńskich odstąpiła ten bilet.... Zrobiłby jegomość dobry uczynek, a można też wygrać majątek....

— Precz pokuso! oburknął się pan Cyprjan, mając się ku drzwiom, — to ryzyko bezbożne, wymysł szatański!.... Można stracić kapitał i żadnego procentu nie dostać.

— Ale można i wygrać, jegomość... Oddam za dwadzieścia pięć.

Pan Cyprjan brał już za klamkę.

— Za dwadzieścia trzy oddam... na pogrzeb potrzebuję... mój jegomość! błagała Maciejowa.

Skąpcowi przysłała ślinka na wygraną.

-- No, kupić bilet na loteryję za czwartą część ceny, pomyślał, może to znowu i nie takie głupstwo. Raz w życiu pozwolę sobie zaryzykować.

Pan Cyprjan Błonicki był najzawziętym nieprzyjacielem zdania: „kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.“ Mówił, że ono jest takim samym nonsensem, jakimby było: „kto nie strzela na oślep, w nic nie trafi.“

Kusiło go jednakże, żeby raz zgrzeszyć, dodał więc głośno:

— No pani Maciejowa, oddacie imość za dwadzieścia?...

Handlarka oddała z pocałowaniem ręki, a pan Cyprjan zachował bilet starannie i wrócił do domu, mówiąc do siebie:

— Jeżeli stracę na tym interesie, zatruję sobie resztę życia.

Ta myśl możebnej straty, w istocie odebrała mu spokój i sen odpędzała z powiek.

Nie spodziewając się, żeby mógł przeżyć przegraną, a nie śmiać wierzyć, że wygra, pan Cyprjan postanowił się pozbyć fatalnego biletu.

Poszedł na *planty* *) i każdego spotkanego, porządniej ubranego mieszczanina brał na stronę, proponując mu odstąpienie biletu za dwadzieścia pięć reńskich. Wolał pięć reńskich pewnego zysku, niżeli niepewne krocie. Nie znalazł jednak amatora, a nawet przestraszył się niepo mału, gdy mu jeden z zaczepionych na tę propozycję odpowiedział:

— Staruszk, niebardzo się narzucajcie nie znajomym z tym biletem. Loterja saska jest zabronioną w państwie austriackiem. Gdyby kto dostrzegł, skonfiskowanoby wam los i moglibyście z paręset reńskich kary zapłacić.

Usłyszawszy te słowa, pan Cyprjan chwycił się oburącz za głowę. Zdawało mu się, że go ktoś w nią młotem uderzył.

Chwiejącym się krokiem poszedł do domu, położył się do łóżka w gorączce, przeleżał noc majacząc a nazajutrz ledwie się mógł utrzymać na nogach.

*) Rodzaj bulwarów, otaczających właściwe miasto Kraków i oddzielających je od przedmieść.

— Zatruję sobie życie, — powtarzał co chwila — umrę z tego.

Szczęście, że kilka dni brakowało do ciągnięcia piątej klasy, bo byłby może i naprawdę zmarł pan Cyprjan.

Gdy nadszedł dzień ciągnięcia, stary Błotnicki drżącym krokiem poszedł do jednego z bankierów i wywiedziało się kiedy przyjdzie tabela. W niustającym niepokoju przepędził znów dni kilka, aż wreszcie dowiedział się że wygrał, — wygrał bardzo grubo.

Ile wygrał?... sto czy sto pięćdziesiąt tysięcy talarów, tego się nikt za życia pana Cyprjana dowiedzieć ani domyślić nie mógł.

Nie wierząc własnym oczom, pan Cyprjan przecierał je po razy kilka, a gdy cyfry ciągle były też same, gdy się już przekonał że się nie myli, odmłodził odrazu o lat czterdzieści.

Nie powiedział nic nikomu o swoim szczęściu. Przed Maciejową, która się go pytała jak też wyszedł na bilecie, skłamał że go odprzedał i że nic nie wie co się potem stało, a na drugi dzień rano cichaczem pojechał trzecią klasą do Lipska, nie zwierzając się przed nikim dokąd jedzie, po co i na jak długo.

Na gołębiej ulicy mówiono, że nie pojechał dalej jak do Krzeszowic, a koło kościoła świętej

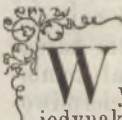
Anny utrzymywano, że musiał się udać aż do Bochni.

Za powrotem nic się nie zmieniło w życiu pana Cyprjana. Wszyscy go mieli, jak dawniej, za poczciwego emeryta, za ledwie mogącego wyżyć ze swej pensji. U pani Maciejowej kredytował, tak jak przedtem...

Pan Cyprjan nie myślał drugi raz próbować szczęścia na loterji.

Tak jednostajne i regularne życie trwało jeszcze lat kilkanaście.

II.

ychowanie jakie pan Cyprjan dał swemu jedynakowi i z jakim go wypuścił z pod swej opieki, nie było w zupełności tem, czem wychowanie być powinno. Wiele w niem było szczerb, zboczeń i niedokładności, zawsze jednak i o niem przejść można było życie, jak o krzywym kiju.

Nie wyrobił pan Cyprjan w synu energicznej, męskiej woli, lecz wypiautował w nim i wychuchał oszczędność, rządność, gospodarność;—nie było w jedynaku wylania się dla bliźnich, współczucia dla nieszczęścia; lecz była praktyczna rzetelność i punktualność; nie było ani żywego zapału dla dobra, ani wstrętu do zła, ale było poczucie obowiązku, które złego wystrzegać się każe, a dobre za cel wskazuje.

Takie cechy miała w ogóle cała strona moralna Wojciecha Gracjana Błoniczkiego, co zaś do rozwoju inteligencji i bogactwa wiedzy, syn

pana Cyprjana nie był bynajmniej orłem, lecz jakimś wcale pospolitym ptakiem.

Umysłu swego nie zaprzętał on nigdy wysokimi zagadkami filozoficznymi; wyobraźnią nie dążył w sfery ideału; o sztuce miał pojęcia tak mało, że nie mógłby sobie wytłumaczyć jej różnicy od rzemiosła; z nauk uważał iż najlepiej posiadał matematykę, rachował bowiem bardzo biegle, a nadto z przyjemnością układał kombinacje i igraszki cyfrowe i z żelazną cierpliwością wyrachowywał rozmaite rzeczy na których obliczeniu nie tak znów bardzo ludzkości w ogóle, lub komukolwiek w szczególności zależało.

Zostawiony sam sobie, zmuszony szukać chleba w świecie, naturalnie, że obrał sobie zawód, do którego czuł najwięcej usposobienia: został rachmistrzem u bankiera.

Brał z początku trzysta, potem pięćset, potem ośmset, aż wreszcie doszedł do tysiąca reńskich rocznie.

W tym czasie postanowił się ożenić. Miał już naówczas lat dwadzieścia dziewięć.

O potrzebie ożenienia się nie mówiło mu wcale serce; wypadało mu to z kombinacji matematycznych, że się ożenić powinien.

Z wykazów statystycznych dowiedział się, że największa część mężczyzn żeni się pomiędzy rokiem dwudziestym a trzydziestym; uznał więc

ten czas za normalny do żeniaczki, a miał zwyczaj we wszystkim podług najogólniejszej postępować normy.

Wybór przyszłej, którym zwykle serce się zajmuje, jemu także arytmetyka ułatwiła.

Jednego dnia, kiedy właśnie w kantorze sumował długą kolumnę cyfr, wypadało mu napisać czwórkę.

Pan Wojciech był szczególnym wielbicielem czwórki. Kreślił ją zawsze z najwyższem upodobaniem i starannością, wypieszczał ją, idealizował. Czwórki w jego rachunkach były arcydziełami symetrii i wdzięku, na jaki tylko zdobyć się może pałkowata i kątowata fizjognomja pięcioróżnej cyfry ukochanej przez pana Wojciecha.

Kreślił więc swoją czwórkę ze zwykłym zamiłowaniem, gdy w tem zaczęła bić czwarta.

Pan Wojciech wstał od biurka, była to bowiem godzina kończąca jego pracę, i według swego zwyczaju wykreślił z kalendarza ściennego czerwonym ołówkiem dzień który przebył i odpracował.

Dniem tym był czwartek, czwartego w roku miesiąca, to jest kwietnia.

Ten zbieg czwórek, zresztą wcale nie nadzwyczajny, tak dalece uderzył pana Wojciecha, że postanowił uważać, czy czwórka mieszać się więcej nie będzie do wypadków tego dnia.

Wyszedł z kantoru i ledwie znalazł się przed bramą, oko jego zatrzymało się chwilowo na przyjemnej twarzyczce przechodzącej ośmnastoletniej panienki, która, jak to p. Wojciech zaraz zauważył, niosła w ręku cztery tomy książek.

— Czwórka dotrzymuje mi placu, — myślał pan Wojciech, — idźmy za nią.

Uszedł zaledwie czterdzieści cztery kroki, które obliczył skrupulatnie, gdy piękność spotkana weszła do sieni czwartego domu od rogu ulicy Florjańskiej.

W chwilę potem pan Wojciech wszedł do tej samej sieni i spotkawszy w niej stróża, zapytał kto była ta panienka co przed nim weszła.

Stróż, spodziewający się dobrego datku, jakim zwykli obdarzać w podobnych razach potrzebujący informacji panicze, odpowiedział z ochotą:

— Panna Anna Czwartakówna.

— Czwartak, i imię o czterech literach regularne, symetryczne jak czwórka... wyraźny palec przeznaczenia, pomyślał pan Wojciech i dał stróżowi na piwo cztery centy.

W następny poniedziałek, ósmego kwietnia, o godzinie ósmej wieczorem, to jest w cztery dni i cztery godziny od napisania czwórki, która ten cały szereg rozpoczęła, pan Wojciech wprowadzonym został do domu państwa Czwartaków.

Panna Anna była, jak powiedzieliśmy, przystojną i miała lat ośmnaście. Rodzicie mieli się dobrze, chociaż nie byli majątni, co zaś do charakteru, byli to prawdziwie poczciwi, starej daty ludzie. Poczciwość ta przeszła spadkiem familijnym na córkę, dobre i miłe stworzenie, ulepione z tej gliny, z jakiej się tworzą zacne, praktyczne żony i wyborne gospodynie, z małą przymieszką tego porcelanowego pyłu, z jakiego się lepią poetki.

Była więc panna Anna pasjami zakochana w księżycu, ekstazjowała się śpiewem słowika, miała wiele sympatji do białych chmurków na szerokiem niebie, do gwiazd jasnych na tle letniej nocy, i do wszystkich tych osobliwości przyrody pisywała wiersze, w których wprowadzie niekiedy cnić było ubóstwo myśli, lecz za to zbytek zgłoszek był widoczny.

To usposobienie poetyczne nie przeszkadzało jej bynajmniej znać się doskonale na kuchni i praniu, wiedzieć po czemu co na targu i być prawdziwym kontrolorem kucharki, gdy zdawała rachunek z pieniędzy danych do miasta.

Jako wielbicielka poezji i sama poetka, na co grube seksterna zapisane wierszami były pełnym powagi dyplomem, panna Anna miała naturalnie olbrzymi sztambuch, w którym nikt ze znajomych nie mógł się wymówić od wpisania wierszy swego lub cudzego utworu. Złośliwe

języki mówiły, że panna Czwartakówna niektórym z swych przyjaciółek, nie mającym talentu do wiązanej mowy, sama wiersze do swojego albumu *pokomponowała*.

P. Wojciech składał w domu państwa Czwartaków wizyty co cztery dni, a kiedy przyszedł z czwartą wizytą, panna Anna podała mu sztambuch.

— Nie odmówisz mi pan kilku wierszy, — rzekła do niego z słodziutkim uśmiechem.

— Och! pani,—odrzekł pan Wojciech z głębokim ukłonein.

To powiedziawszy, zabrał album, wyszedł do drugiego pokoju i zaczął próbować napisać choć cztery wiersze, w ostatnim razie nawet przerobione z jakich innych znajdujących się w tym zbiorze.

Przez czas tego zajęcia które trwało cztery godziny, pan Wojciech zepsuł cztery arkusze papieru, wypił cztery szklanki herbaty i zjadł tyleż butersznytów z szynką. Wszystko to jednak nie podsyciło uparcie odmawiającego swoich posług natchnienia.

Nie mogąc nic utworzyć na brulion, pan Wojciech przysunął przed siebie album i zaczął się wpatrywać w kartkę daną mu do wypełnienia. Zdawało mu się może, iż coś od razu na czysto napisze.

Tak się przypatrując białej kartce, p. Wojciech wpadł w zamyślenie i nie wiele wiedząc co robi, wziął za pióro, umaczał je w kałamarzu i wysztychował najartystyczniejszą czwórkę, jaką kiedy ludzka ręka nakreśliła, a pod nią podpisał zamaczyć swoje dwa imiona i nazwisko.

Panna Anna, niezmiernie ciekawa jaki też utwór wyda tak długo produkująca muza, weszła cichutko do pokoju i stanawszy po za panem Wojciechem, przypatrywała się sztychowaniu czwórki i podpisowi, a potem rzekła zdziwiona:

— Cwórka?... nie więcej, tylko cwórka?...

Pan Wojciech wtedy dopiero zobaczył na prawdę co napisał i zmieszał się niepomału.

— A!... w istocie,—rzekł,—to jest cwórka.

— Tak... ale jaką myśl wyraża?... bo to musi być jakaś myśl poetyczna, — dopytywała się panna Anna.

— Przeznaczenie,—odbąknął z cicha Błoniczki.

Jako, przeznaczenie?—badała ciekawie poetka.

Pan Wojciech zebrał całą przytomność umysłu i odpowiedział, jak mógł najjaśniej i najprościej, jaką rolę cwórka odegrała w jego zaznajomieniu się z panną Anną. Opowiadanie to było we wszystkich szczegółach prawdziwe i dokładne, tylko o czterech centach danych stróżowi nie było najmniejszej wzmianki.

— Z tego nadnaturalnego zbiegu okoliczności, — kończył pan Wojciech, — wniesiesz pani zapewne, jak i ja wnoszę, że jesteś mi przeznaczoną. Kocham panią i proszę o jej rękę.

Bujną wyobraźnię poetki żywo te wszystkie rogate czwórki uderzyły... omal nie powiedzieli-byśmy — ubodły. Czuła się zaszczyconą tem, że jakaś wyższa, nadziemską wola zajęła się jej wyswataniem. Uważała to za przywilej służący jej poetycznemu duchowi, dla którego powszedni swaci, byliby, jak się pokazuje, niewłaściwi. Odpowiedziała zatem:

— Panie, i ja w tem widzę wolę przeznaczenia... Jeżeli więc ojciec... i mama...

— Ach! pani, — przerwał uradowany pan Wojciech, — czynisz mnie czterokroć szczęśliwym. Nie tracąc więc czasu, pozwól, że to com tu powiedział w cztery oczy, w gronie czterech osób powtórzę. Chodźmy do rodziców, panno Anno.

Państwo Czwartakowie wysłuchali historii o czwórkach z rozrzewnieniem.

— Bóg tak chce, — rzekł ojciec, gdy ją pan Wojciech formalnem oświadczeniem się zakończył.

— Bóg tak chce — echem zawtórowała matka.

Następnie pan Czwartak zabrał głos:

— Ponieważ wszystko dzisiaj ułożyć należy, powiedzieć ci zatem muszę, mój drogi przyszły zięciu, iż wprowadzie nie jesteśmy bogaci, lecz

jedynaczce naszej dać możemy cztery tysiące reńskich posagu.

Pan Wojciech odpowiedział poważnie:

— Oświadczając się, nie myślałem o pasagu, a nawet wyznam szczerze, że byłem przekonany, iż państwo nie będą mogli niczem naszego młodego gospodarstwa zapomódz. Nie szło mi o to, bo przecież mam utrzymanie. Kiedy jednakże możliwość jest, wnoszę, nie przez interesowność, lecz dla nieuchybiania woli przeznaczenia, ażeby posag podnieść do czterech tysięcy czterystu czterdziestu i czterech reńskich.

Propozycja przyjęta została z ochotą; pan Czwartak wycisnął cztery uroczyste całusy na twarzy pana Wojciecha, a panna Anna powiedziała do matki:

— Dzisiaj napiszę odę do czwórki.

Od tej chwili pan Wojciech omal nie dostał poczwórnego bzika.

Nietylko że wyznaczył dzień ślubu za 4 tygodnie, na godzinę czwartą po południu, nietylko że wynajął mieszkanie złożone z czterech pokoi, licząc z kuchnią, w domu pod Nr. 4 przy ulicy świętego Jana, nietylko zastrzegł że mieć będzie czterech družbów, a panna młoda cztery druchny, że orszak weselny pojedzie do kościoła czterema czterokonnymi powozami, niedość że jeszcze wiele innych podobnych wydał rozporządzeń, lecz upie-

rał się koniecznie, żeby było cztery zapowiedzie, ogłaszane w czterech parafjach.

Ledwie mu to z głowy wybić zdołał pan Czwartak, mówiąc:

— No, no, mój drogi, niech tam już zapowiedzie pozostaną po staremu. Czwórka się jeszcze i to w daleko trwalszy sposób, w małżeństwie waszem objawi. Związek wasz da krajowi czterech tęgich chłopaków i cztery poczciwe dziewczyny.

Ta ostatnia część przepowiedni nie sprawdziła się wcale.

Z małżeństwa pana Wojciecha z panną Anną Czwartakówną przyszła na świat jedna tylko córeczka, której matka dała poetyczne imię Bożenna, a którą w pieśczośliwości macierzyńskiej nazywała Buzią.

Piętnaście lat przeżyli z sobą państwo Wojciechowstwo w zgodzie i miernym dobrobycie.

Pan Wojciech pracował wciąż w kantorze bankierskim, gdzie miał już tysiąc pięćset reńskich pensji. Po za kantorem robił kombinacje matematyczne i obliczenia, słuchał odczytów poezji żony, rachował ile w każdym jej utworze zwrotek, wierszy i zgłosek, wreszcie dopomagał jej do uprawiania jedyne go rodzaju poezji, jaki z jej wykładu zrozumiał, to jest układał szarady prozą, które ona następnie obrabiała wierszem.

Pani Wojcieehowa, obok poezji, nie zaniedbywała gospodarstwa i lubo nie raz skarżyła się na prozę zajęć domowych, wywiązywała się z nadzoru nad drobnostkami codziennego życia tak dobrze, że radle w jej kuchence były zwykle czystsze od końcówek w jej poematach.

Panna Buzia miała już lat czternaście skończonych i zaczynała być dorosłą panną. Była ona i zdawało się że pozostać miała na przyszłość, jedną z tych istot nie uderzających niczem na pierwszy rzut oka, chociaż w twarzy jej, okolonej bujnym blond włosiem, cokolwiek w złoty kolor wpadającym, za pilniejszym wpatrzeniem się oko odkrywało jakiś poważny i pociągający powab, niby odbicie szlachetności i rozumu, które tylko z powijków dzieciństwa rozwinąć było potrzeba i ciepłem życia ogrzać, ażeby w zdrową rozrosły się roślinę.

Niestety, rodzice Buzi najmniej byli właściwi do rozwinięcia tej strony moralnej swojej jedynaczki. Ojciec jej prawił, że gdyby huk armaty wystrzelonej na ziemi usłyszeć było można na słońcu, toby go tam dopiero po czternastu latach usłyszano; albo że jeden reński, oddany w pierwszym roku naszej ery na procent składany, nie większy jak jeden od sta rocznie, dorósłby w roku 1852 do sumy okrągłej stu milionów reńskich. To znów tłumaczył jej że ma imię

niepospolite, bo z niego nie tak łatwo ułożyć szaradę, i różnemi innemi tego rodzaju prelekcjami suszył głowę dziewczęciu, które ani z jednej wiadomości zasłyszanej od rodzica praktycznego użytku zrobić nie mogło. Matka, zaślepiona w swej jedynaczce, z każdego jej odezwania się gotową była tworzyć poemata, wmawiała w nią, że kobieta wtedy tylko prawdziwie może być szczęśliwą i dumną, gdy wzniosłe swoje natchnienia wiązaną mową na papier przelewa. Córka, jak do matematyki i do szarad ojca, tak do poezji matki nie czuła powołania i sympatji, czem się rodzice nie raz bardzo martwili, nie mogąc, mimo wszelkich usiłowań, jej naturalnych usposobień do swego widzimisię nagiąć i zastosować.

Tym sposobem, odbierając zwykłe panienkom jej wieku i skromnej zamożności rodziców wykształcenie, Buzia, a raczej jej serce i dusza, pozostawały kartą białą, na której pisać miało dalsze jej życie dopiero. Ojciec rad był tę kartę zapisać cyframi, a matka zwrotkami pieśni, obojgu przecież wcale się to nie wiodło i musieli dać za wygraną.

Oboje państwo Czwartakowie spali już od dawna snem wiecznym.

Tak stały rzeczy, gdy jednego wieczoru pan Wojciech z żoną i córką siedzieli w domu, zajęci zwykłą gawędką, przy herbacie z bułkami bez masła.

Nikogo z obcych nie było. Przedmiotem rozmowy stało się chwilowo bogactwo.

— Gdybyśmy tak byli bogaci, mówił pan Wojciech, to bym porzucił Kantor i zajął bym się zupełnie zebraniem moich obrachowań i kombinacji matematycznych w jedno obszerne dzieło. Pomyślałbym też może o wypełnieniu w literaturze naszej ważnego braku... zabrał bym się do ułożenia *słownika szarad polskich*. Plan tego obszernego dzieła mam w głowie...

— W istocie, odezwała się matka, tyle szarad wychodzi nie raz, często z pod pióra ludzi bardzo utalentowanych, i wszystkie te utwory giną marnie, bez śladu w dziejach piśmiennictwa. Zaslugą byłoby ocalić je od niepamięci... Co się mnie tyczy, przywykłam poprzestawać na małym i jeżelibym pragnęła żebyśmy mieli jaki taki majątek, to chyba dla tego, że wtenczas bym mogła zdać trochę kłopotów domowych na służbę i miała bym czas na przygotowanie do druku jakiego dzieła; wydałabyw naprzykład tom sonetów.

— Moja żono, — rzekł pan Wojciech — żebyś mi też raz dobrze wytłumaczyła, co to jest sonet?

— To po francuzku znaczy dzwonek, — wtrąciła Buzia.

— Dzwonek, to co innego, a sonet co innego, — rozstrzygnęła wątpliwość matka-poetka,

choć może ten wyraz rzeczywiście z francuzkiego pochodzi. Sonet jest to czternaście wierszy, po cztery w dwóch pierwszych zwrotkach, a po trzy w dwóch drugich.

— Rozumiem, — zawołał pan Wojciech, — doskonale rozumiem... My we troje stanowimy sonet.

— A to jakim sposobem? zapytały prawie razem matka z córką.

— Bardzo prostym, — rzekł z tryumfem pan Wojciech. — Dwie pierwsze strofy po cztery wiersze to ja bo mam czterdzieści cztery lata, — dwie drugie po trzy to ty żono, bo masz rok trzydziesty trzeci, — a wszystkiego czternaście wierszy, to Buzia, bo ma czternaście lat... A co?.. czy nie doskonała kombinacja!...

— Przewyborna, — unosiła się żona. Wiesz co mężu, że ty miewasz czasem gienjalne pomysły.. My we troje stanowimy sonet!... jak to brzmi pięknie!... Ja poetka, a nie zdobyłabym się na to. I ty mówisz że nie masz poetycznego usposobienia.

— Nie, nie, — usprawiedliwiał się p. Wojciech, — już to do poezji mnie ani weź... w poezji główną rzeczą rym, a mnie zaraz głowa boli, jak zacznę szukać rymu do jakiego wyrazu. Nie mam do tego zdolności... już to taki ustrój mózgowy.

Zostanę przy mojej specjalności... matematykiem się urodziłem i umrę matematykiem.

— A ty Buziu, czy chciałabyś być bogatą i dla czego?—pytała matka.

— Ja mam? — zamyśliła się Buzia.—Gdybyśmy byli bogaci, to bym chciała mieć... nie wiem co... ot, małeńki choćby ogródek.

— Prawda, prawda, że ona botaniczka, = nadmienił zadowolony ojciec.

Państwo Wojciechostwo pragnęli koniecznie, ażeby ich córka także była czemś uczonem. Nie mogąc w nią przelać swych upodobań, zaczęli upatrywać w niej jej własne skłonności, a że lubiła kwiaty, więc uroili sobie, że jest amatorką botaniki. Bogiem a prawdą, Buzia naukową stroną botaniki nie zajmowała się wcale, i jeżeli pragnęła mieć ogródek, to zapewne nie tyle dla kwiatków, ile dla tego, żeby kocięta któremi ją obdarzyła ulubiona kotka, miały więcej miejsca do zabawy. Nic to jednak nie przeszkadzało rodzicom przyznawać jej w najlepszej wierze namiętne zakochanie się w królestwie Flory i pewne znawstwo naukowe płodów kultury ogrodniczej. Matka pisząc pcezje, gdy jej brakowało rymu, nie raz wołała córkę i zapytywała ją czy nie zna jakiego kwiatka, jakiej rośliny rymującej do wyrazów *znikła*, *nieszczery*, *chłopię* i tym podobnych, a córka podawała jej natychmiast takie rymy, *ćwikła*, *salery*, *konopie*,

które zazwyczaj do wzniosłego nastroju zaczętego wiersza pasować bynajmniej nie mogły.

Rozmowa o bogactwie nieskończyła się na tem.

— Oprócz prac naukowych i literackich, — mówił dalej pan Wojciech, — moglibyśmy urządzić jakie zebrania...

— Wieczory literackie, nie prawdaż? — odgadła żona.

— Tak .. wieczory literackie... Stanowilibyśmy dom uczony... każde z nas miałoby oddzielną specjalność... matematyka, poezja, botanika stały by się ponętą dla wszystkich. Wsławiło by to nas na cały Kraków... Doprawdy, szkoda żeśmy nie bogaci.

— Nauka i talent są największem bogactwem, mój mężu, — rzekła z widocznem wewnętrznem zadowoleniem pani Wojciechowa. — Nie jeden hrabia nie mógłby dać tak interesującego wieczoru jak my dać moglibyśmy. Wiesz co, kochanie, mnie się zdaje że ta myśl w szczęśliwą porę ci przyszła. Bogactw nie mamy; no to trudno, obejść się bez nich potrzeba a na chleb nam nie zabraknie. Wypada jakoś z ludźmi zacząć żyć; Buzia widzisz dorasta. He... jak sądzisz? gdybyśmy tak zaczęli dawać wieczorki literackie, choćby na początek co dwa tygodnie?

Tu pani Wojciechowa spojrzała na męża, czekając jego odpowiedzi.

Pan Wojciech był zamyślony.

— Więc jakże? — spytała znowu, — myślisz że się to uda?

— Na żaden sposób, na żaden sposób, moja droga — odparł pan Wojciech. — Pierwsze trzecie *wieki*... to dobrze!.. Ale drugie *czor*... możnaby zrobić *czorki*, *czorwie*, *kiczor*... wszystko nie potem. Gdyby się tak po polsku, zamiast wieczorki, mówiło *wieczortki*, byłby przynajmniej cały *czort*, ale tak na nic się nie zdało.

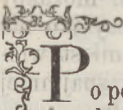
— Cóż ty gadasz Wojciechu?... więc nie chcesz wieczorków literackich?...

— Owszem, owszem, zgoda... niech będą... co dwa tygodnie! ale szarady z wyrazu wieczorki ułożyć niepodobna. Możnaby konkurs ogłosić, nikt nie ułoży....

W skutek tej umowy, w kilkanaście dni potem miał się odbyć w domu państwa Błonicznych pierwszy wieczorek literacki. Państwo Wojciechostwo zaczęli awansować w opinii sąsiadów; dom ich uczonym został domem.

— Było to w roku, w którym stanowiliśmy sonet, mawiał o tem później pan Wojciech.

III.

 o powzięciu tej decyzji, pan Wojciechabrał się do zreformowania domowego budżetu. Potrzeba było pouszczuplać rozmaite pozycje, ażeby znaleźć fundusz na wieczory literackie.

Pan Wojciech nie był skąpym jak jego ojciec. Zasadą protoplasty było ograniczać coraz bardziej wydatki, bez względu na to że dochody rosły; zasadą potomka, nie przekraczać nigdy w wydatkach najwyższej granicy, jaką stanowi dochód; pamiętając przytem, że wypaść mogą potrzeby nieprzewidziane, zmniejszenie się chwilowe dochodów, brak pracy, nieszczęście, na które zapas jest niezbędnym. Dwie te zasady, rozdziela cała nieskończoność stopniowań, słownik zaś pierwszą sknerstwem, drugą oszczędnością nazywa.

Takiego się trzymając prawidła, pan Wojciech skromnemi dochodami swojemi gospodarował z rachunkiem, z krédką i główką, jak to mówią. Starał się przewidywać i naprzód obli-

czać wydatki, a każdy zbytek w jednej gałęzi zarządu domowych finansów, zastępować natychmiast oszczędnością z drugiej. Tym sposobem zawsze związały się końce, był w domu zapas na ciężkie czasy, posag pani Wojciechowej zostawał nietykany na procencie; a przecież w życiu domowem nie znać było kurczenia się, można było sobie nawet pozwolić czasem jakiego drobnego zbytku, każde bowiem podobne odstępianie od zasady, ujmą w innym względzie się wynagradzało.

Było to postępowanie rozsądne, sposób używania grosza rozumny. Pan Wojciech nie wiedząc o tem, wynalazł kombinację, do której odkrycia zbyt wielkiej nie przywiązywał wagi, a która była jednak najlepszą receptą na dobrobyt. Jako odkrywca jej, syn pana Cyprjana go-dzien był zostać ministrem finansów, jeśli nie w jakim wielkiem państwie, to chociaż w którym księztewku niemieckiem.

Prawda i to, że zawołanym i namiętym będąc rachmistrzem, pan Wojciech przeprowadzał swoją zasadę z nadzwyczajną pedanterją. Rachunki jego domowe mieściły się w grubych foljałach i nie mało niepotrzebnie zabierały mu czasu. Wszystko to jednak nie ujmuje w niczem kombinacji samej, która by się niejednemu ministrowi finansów domowych, którego budżet nie

przenosi kilku tysięcy pensji biurowej, bardzo a bardzo przydać mogło.

Zamknawszy się w swoim pokoju, pan Wojciech obrachował, że przyjęcie każdorazowe gości kosztować będzie około sześciu reńskich.

— Spraszać ludzi nie będę po to, myślał, żeby nie dosłuchawszy moich matematycznych wywodów, albo poezji mojej żony, wynosili się chyłkiem przed dziesiątą, bojąc się żeby nie pozamykano restauracji. Duch się posili na moich wieczorach, niechże i ciało nie będzie głodne. Dwadzieścia sześć wieczorów rocznie, uczyni sto pięćdziesiąt sześć reńskich... Hm!... to sumka nielada!... Zkąd ją wziąć?...

Inny jaki ojciec i mąż, mniej zdolny finansista powiedziałby sobie po prostu: pożyczyć lub zaczerpnąć z kapitału, choć tym sposobem przyszłe dochody się zmniejszą. Tak się pokrywają zazwyczaj deficyta państw większych i mniejszych; dla czegoż nie możnaby tak samo pokrywać braku domowego?

Pan Wojciech przecież nie poszedł tą drogą.

— Brałaś dotąd tygodniowo 12 reńskich na dom,—rzekł do żony,—odtąd dostawać będziesz po 11 i pół. Do teatru chodziliśmy średnio raz na miesiąc, teraz chodzić będziemy dziesięć razy na rok. Z twoich wydatków osobistych, z wy-

datków na Buzię i na mnie, ujmuję po dwa reńskie na każde z nas miesięcznie. Ciastka co niedzielę do kawy na podwieczorek znoszą się i zostaną zastąpione przez bulki, jak w powszedni dzień. Palić będę o jedno cygaro mniej dziennie. To wszystko pokryje kosztą wieczorków, na które dostawać będziesz po sześć reńskich co drugi czwartek.

Małżonka przyjęła decyzję męża i zastosowała się do niej.

Odtąd podwoje domu państwa Wojciechostwa otwierały się co drugi tydzień dla amatorów ciekawych wyrachowań, dla lubowników poezji, dla zwolenników rozmowy o kwiatach, a szczególnie, — bo tych w Krakowie, jak w każdym mieście, było najwięcej, — dla miłośników dobrej herbaty i dosyć obfitych a rozlicznych do niej przystawek, bez ceremonji i nie w formie kolacji, ale za to w dostatecznej ilości i gościnnie podawanych.

Pierwszy tylko wieczór w domu państwa Wojciechostwa, i to tylko w pierwszej połowie, był systematycznie literackim.

Pan Wojciech zagaił go odczytem stu czterdziestu czterech obliczeń, mających na celu wskazać obrazowo, jak wielką jest odległość naszej planety od słońca.

W czasie tego odczytu, goście z trudnością tłumili ziewanie, chociaż niektóre numera były rzeczywiście oryginalne.

— Wyobraźmy sobie, — czytał pan Wojciech, — gigantyczny kałamarz, mający sto dziewięćdziesiąt dwa metry kubiczne objętości...

— Czemuby na ejmery wiedeńskie nie obliczyć?—wtrącił z uśmiechem jeden z gości.

— Obliczam na miary dziesiętne, bronił się pan Wojciech z powagą interpelowanego ministra, bo mają podstawę naukową. Otóż wyobraźmy sobie taki gigantyczny kałamarz, napełniony po wręby atramentem. Wyrachowałem z całą dokładnością, że aby nakreślić jak najcieńszą linię, długości równej odległości ziemi od słońca, potrzebaby wypisać wszystek atrament z tego kałamarza, pilnując skrupulatnie żeby ani jedna kropla nie rozlała się i nie wyschła.

Tu jeden z młodych gości szepnął swemu sąsiadowi:

— Słuchaj, kto od jutra naszego Amfitryona nazwie inaczej jak gigantycznym kałamarzem, z nas wszystkich co się u Fuchsa na kielbaskach schodzimy, musi postawić butelkę węgierskiego za renia.

Prelegent czytał dalej:

— Wyrachowałem podobnie ścisłe, że aby utworzyć włos tak długi jak odległość słońca od ziemi, wiążąc ze sobą pojedyncze włosy, potrzebaby w tym celu ogolić głowy wszystkim mieszkańcom Francji, Austrii i wolnego miasta Bremy.

— Barbarzyństwo!... okropność!... protestujemy!...—odezwały się siedzące na kanapie panie.

— Gdyby choć tych Bremeńczyków oszczędzić, — wstawił się ktoś z gości.

— Niepodobna,—rzekł nieubłagany pan Wojciech,—nie wystarczyłoby włosów.

— No, to czemużby zamiast Bremy nie wziąć Lubeki albo Hamburga?

— Hamburg za duży, a Lubeka za mała,—zadecydował stanowczo pan Wojciech;—Bremy, Bremy trzeba koniecznie.

Po odczycie męża, pani domu zadeklamowała jeden ze swoich utworów. Utwór był dosyć długi; wielu z gości spoglądało na drzwi i gdyby poemat był dłuższy o kilka zwrotek, jużby niezawodnie okazała się w szeregach dezercja. Szczęściem poezja zakończyła się wprzód, nim pierwszy zły przykład dać się kto odważył, i jeszcze ostatnia końcówka ostatniego wiersza brzmiała w ukołysanych harmonją słowa uszach słuchaczy, gdy pod dyрекcją Buzi weszła słu-

ząca, z tacą zastawioną szklankami herbaty, poczem niezwłocznie druga taca z zakąskami nastąpiła.

Rozpogodziły się oblicza gości i po niejakiem czasie, obie tace, pozbawione swego ładunku, świeciły się i wyglądały tak gładko, jakby wyglądały zapewne głowy nieszczęśliwych Bremeńczyków, gdyby projekt pana Wojciecha wprowadzić chciało w wykonanie.

Po herbacie, według programu, Buzia miała wprowadzić rozmowę na botanikę; była to przecież część ceremoniału wcale do wykonania niepodobna. Młode dziewczę szczęśliwe było, że potrafiło kiedy niekiedy brać udział w ogólnej rozmowie, do kierowania zaś nią, do poddawania jej przedmiotów, córka matematyka i poetki nie czuła się na siłach, i mimo wszelkich oczekiwań ojca i matki, rozmowa nie zwróciła się do kwiatów, lecz toczyła się po rozmaitych przedmiotach, aż nakoniec przeszła na gry towarzyskie, któremi pierwszy wieczór się zakończył.

Następne wieczory, chociaż im firma literackich pozostała, przerodziły się powoli w zupełnie nieliterackie. Pan Wojciech, co prawda, brał czasem którego z gości na stronę i prawił mu, że gdyby człowiek przez lat pięćdziesiąt nie obcinał paznogi, ani ich w inny sposób nie zużywał, toby mu one na pięć ćwierci łokcia

wyrosły; pani Wojciechowa odczytywała niekiedy ulotne wiersze, lub obszerniejsze nieco poemata; Buzia opowiadała, ile razy i w jakich godzinach kwiatki swoje podlewać zwykła, — ale tłem zebrań u państwa Wojciechów stawała się coraz bardziej rzeczywista zabawa, a nie nauka i sztuka.

Do gier towarzyskich, wkrótce przyłączył się taniec, był bowiem w domu fortepjan, na którym jedynaczka przechodziła szkołę Hüntena; więc z gości to jeden, to drugi poświęcał się dla towarzystwa, wygrywając polkę lub kadryla.

Tym sposobem życie państwa Błoniczich stawało się coraz więcej ożywionem; matka cieszyła się serdecznie, że o zięcia nie będzie miała kłopotu, i nieraz w rozmowach z córką starała się ją wybadać, czy jaka pjerwsza skłonność w jej młodem serduszku się nie budzi, czy jaka iskierka miłości tleć w niem nie zaczyna, pragnąc ją dopatrzyć zawczasu i zagasić albo rozdmuchać, jak okoliczności doradzą.

— Moja Buziu,—pytała nieraz,—kto ci się też podobał, z tych co u nas bywają?

— O! podobało mi się wielu,—odpowiadała Buzia.—Pan Dzierzgoński, bo takie śmieszne opowiada facecje...

— Zmiłuj się, moja Buziu, pan Dzierzgoński żonaty i ojciec dzieciom.

— Cóż to znaczy, moja mamó?.. czyż przez to jego facecyjki mają być mniej dowcipne?—tłumaczyła naiwnie córka.

— No, to ten podobał ci się dla facecji; ale czy ci też który nie wpadł w oko ot tak... dla siebie samego?...

— Owszem mamó, pan Karol Wytycz, co takie zabawne gry wymyśla; nasz kuzynek Staś Lubieja, co mi się zdaje taki śmieszny z wąsami; pan Edmund Blicki, co tak wybornie gra do tańca...

— Moje dziecko, tylu naraz?

— Ależ mamó, to jeszcze nie wszyscy...

I Buzia wyliczać zaczęła innych jeszcze gości, w każdym odmiennie upatrując przynioty.

— A tak szczególnie... dla ciebie, nie spodobał ci się też który?—badała dalej matka.

— Szczególnie... dla mnie?... ja nie wiem jak mama to rozumie, ale mnie się zdaje że nikt... Ale... prawda!... pan Julian podobałby mi się pewno, gdyby nie chodził tak sztywno i nie był tak przymuszony.

Z takich badań i z własnych obserwacyj, matka przekonywała się, że serce córki nie mogło być zajęte, gdyż Buzia była jeszcze dzieckiem.

Tak przecież wiecznie być nie mogło.

Dwa lata już przeszło trwały wieczory literackie, Buzia już skończyła lat szesnaście, a zapytana przez matkę czy jej się kto podobał, nie wspominała już o facecjach pana Dziergońskiego, o grach wynalazku pana Karola, o wasach Stasia i muzykalności Edmunda, lecz wprost i ze świadomością rzeczy przecząco kiwała głową.

Zaczął się karnawał dosyć ruchliwy i ożywiony, jak na Kraków.

W domu państwa Wojciechostwa zaczęli bywać, oprócz dawniejszych, nowi goście.

Byli to trzech młodzi ludzie.

Dwóch z nich znano w całym Krakowie jako przyjaciół od serca. Jeden był synem byłego urzędnika, właściciela dwóch kamienic, nazywał się Stefan Pogoda, miał lat dwadzieścia cztery, utrzymanie porządne i czasu wolnego dużo, od paru lat bowiem, po ukończeniu szkół, trudnił się rozmyślaniem nad obiosem stanu. Drugi Antoni Ochlicki, o rok od pierwszego starszy, odziedziczył po rodzicach czystą wioskę i pewien kapitał, który jednak dosyć szybko wy-czerpał. Był on niby rolnikiem, lecz nie pracował na roli; wieś wypuścił w dzierżawę, a sam używał życia i razem ze Stefanem należał do lwów krakowskiego towarzystwa.

Obaj przyjaciele nie różnili! się więc prawie pozycją socjalną; byli pasożytami, żyjącymi nie własną pracą, lecz zapasami jaki dla nich praca rodziców nagromadziła, budującymi przyszłość nie na własnej zasłudze i trudach, lecz na widokach bogatego ożenienia. Prezentowali się obydwaj dobrze, dbali bowiem przedewszystkiem o jasne rękawiczki, stojące kołnierzyki i o lakerki nieposzlakowanego połysku. Wygadani, kłaniający się podług zasad, umiejący po francuzku, biegli w sztuce bawienia towarzystwa, tańczący prześlicznie, noszący ufryzowane czuby, byli oni pod względem wartości moralnej, sposobu życia, stosunków z ludźmi, ukształcenia i zapatrywania się na świat braćmi bliźniakami, których tylko po pewnych cechach zewnętrznych rozróżnić było można.

Stefan był blondyn, a Antoni szatyn; Antoni miał wąsik elegancki i twarz podłużną, Stefan żadnego nie mógł się dochować zarostu na swoim okrągłym obliczu; rolnik przytem był wyższym i tęższym od wychowanka miasta. Otóż podobno wszystko co jednego odróżniało od drugiego, chybaby jeszcze dodać to, że Pogoda miał pretensję do śpiewu, lecz nie umiał sobie akompanjować, a Ochlicki nie śpiewał, lecz za to z łatwością dobierał akompanjamentu do piosnek przyjaciela, chociaż o nutach najmniejszego nie

niał wyobrażenia. Dwaj przyjaciele w ten sposób uzupełniali się wzajemnie, jako ludzie muzycalni.

Trzecim nowym gościem w domu państwa Błonicznych był pan Zygmunt Starża.

Był to młody człowiek w zupełnie innym rodzaju, i z innej ulepiony gliny od dwóch poprzednich.

Chociaż pochodził z bardzo zamożnej rodziny, był przecież ubogim. Sierota, odziedziczył tylko czyste i głośnie niegdyś imię. Fortunę ojca jedno po drugim pochłoniły nieszczęścia, tak, że po jego śmierci syn jedyny pozostał na łasce rodziny. Stryj, miljonowy właściciel dóbr w Rzeszowskiem, przez wzgląd na imię rodzinne,łożył z hojnością, odpowiednią dumie i stanowi jakiego zajmował, na wychowanie synowca. Tym sposobem pan Zygmunt skończył uniwersytet i miał następnie wyjechać za granicę, w celu poznania świata i z bogacenia swej wiedzy. Nie było przecież nadziei, żeby po stryju jaki większy spadek mógł przypaść kiedy na pana Zygmunta; stryj bowiem miał syna jedynaka, którego kochał, na którym całą przyszłość rodu i imienia budował, a którego silna budowa, zdrowy organizm i nieprzeciążony naukami umysł, zapowiadały długoletnie życie.

Inny stryj pana Zygmunta od lat już dawnych bawił za granicą i bardzo mało o nim wiadzano, prócz tego, że był niezmiernie uczonym.

Pan Zygmunt, jakkolwiek od młodych lat z łaski stryja otoczony temi wygodami, jakie daje dostatek, nie zapomniał na chwilę że jest biednym, że przyszłość swoją winien będzie tylko pracy własnej, i ciągłą pamięcią o swem położeniu wyrobił w sobie charakter prawdziwie męzki, któremu wrodzone uczuciowe usposobienie dodawało wdzięku i powabu. Wykształcenie też systematyczne, które nie jako syn pański, od kolebki przeznaczony do spożywania przodków puścizny, lecz jako człowiek mający umieć na chleb zapracować otrzymał, poważny pogląd na ludzi i życie, uczyniły go jak niebo do ziemi niepodobnym do takich lalek towarzyskich, jakimi byli naprzykład pan Antoni i pan Stefan.

Tamtych życie było wiecznem kłamstwem i udawaniem; tego szczerością i prawdą. Oni błagą zastępowali wiedzę i robili sobie rozgłos uczonych; jego dojrzałej nauki pod obłonami naturalnej skromości bystre tylko i znawcze dopatrzyć mogło oko. Oni bawili się i próżnowali; on się kształcił i pracował. Im się uśniechała nadzieja posagu; on gardził ludźmi co

kosztem skłamanej u stóp ołtarza przysięgi, nie wzdrygają się kupić sobie dobrobytu. Oni wreszcie lgnęli do świata, żyli w jego gwarze; on się trzymał na uboczu i rzadko gdziekolwiek zaglądał, w szczupłym kółku kilku przyjaciół i uniwersyteckich kolegów zamykając świat swój cały.

Jedno przecież, przy tak wybitnej odrębności, w losach wszystkich tych trzech młodych ludzi było podobnem: każdy z nich zabierał się do wyjścia ze sfery, do której urodzenie przeznaczać się go zdawało. Antoni i Stefan wyszli z klasy ludzi, co pracą umysłu i dłoni zdobyć sobie muszą mienie, a po drabinie małżeństwa pragnęli wydrapać się wyżej. Zygmunt urodzony wśród kasty przywykłej do próżniaczego wegetowania, chciał się wmieszać między rzeszę pracy, to jest, wedle utartych towarzyskich wyobrażeń, ze stanowiska na którym go urodzenie postawiło, zstąpić o pewną liczbę szczebli niżej. Dążyli więc po jednej drodze wszyscy trzej, tylko że w przeciwnych kierunkach. Dwaj przyjaciele serdeczni chcieli wypłynąć na wierzch, Zygmunt opadał na dno społeczne.

Tak też zazwyczaj bywa w życiu... Prawdziwa wartość, waga, siła, ukrywa się pod powierzchnią wody, a pęcherze i bańki mydlane wspaniale pływają po falach.

Jakim sposobem przy takich usposobieniach ci nowi goście zaczęli bywać w domu pana Wojciecha... Stafan i Antoni, chociaż tam nie czuć było ładownej złotem szkatuły, Zygmunt, chociaż nie bardzo lubił pokazywać się w świecie a w czczych zabawach nie znajdował uroku i pojęty, — leżało to w tajemnicach krakowskiego żywota.

Stara stolica nie odznacza się w ogóle rozwojem towarzyskiego życia. Kilkakroć mniejsza od Warszawy, mniej jeszcze, niżby stosunkowo do jej ludności być powinno, bywa ożywioną i wesołą. Przytem, jak zwykle w mniejszych miastach, ludzie tam daleko lepiej się znają, a leży to już w naturze towarzystw, że im bliżej ich członkowie są pomiędzy sobą znajomi, tem na więcej dzieli się koterji. Ztąd kto chce bywać w towarzystwach i bawić się w Krakowie, choćby żadnego zaproszenia nie odmawiał, zawsze mu zbywać musi dość czasu, a zabawy i zebrań, właśnie dla nie wielkiej swej liczby, rzadko jedno drugim stają na zawadzie.

Jeżeli dla pragnącej się bawić młodzieży nie jest łatwem obrócenie na zabawę całego czasu jakiby jej poświęcić chciała, jaki naprzykład w Warszawie filary i frotery salonowe na nią poświęcają, to zadanie gospodarza pragnącego

w swym domu perjodycznie zgromadzać przyzwoitą liczbę osób, jest może jeszcze trudniejszem, zwłaszcza dla ludzi nie zajmujących wywybitnej towarzyskiej pozycji, do jakich właśnie należał pan Wojciech. Niema w Krakowie tan cerzy do najęcia, którzy tyle humorystycznego materiału dostarczali w swoim czasie i znów dostarczać zaczynają pismom warszawskim; przyjdzie na wieczór do nieznanego domu, pod opieką jakiego z gości, który się zobowiązał sprowadzić pewną liczbę nóg męzkich do tańca, byłoby w Krakowie faktem tak niesłychanym, że gdyby się zdarzył kiedykolwiek, niezawodnie nazajutrz wszystkie dewotki śpieszące na prymarje do trzydziestu ośmiu kościołów, o niczem innemby nie mówiły.

Wszystko to tłumaczy, że kto chce bywać, bywa wszędzie gdzie bywać może, i choćby mu ziewać przyszło, sposobności przepędzenia wieczora nie zaniedbuje, a kto chce dawać wieczory, sprowadza na nie kogo tylko zna, choćby go za kołnierz ciągnąć trzeba było. Antoni więc i Stefan przychodzili do pana Wojciecha, bo nie mieli na razie co robić z wieczorem. Zygmunt przychodził, bo się wymówić nie potrafił natarczym naleganiom gospodarza.

Powiedzieliśmy już, że z pokazaniem się tych nowych gości, rozmowy Buzi z matką inny przybrały charakter.

Stało się to bardzo prostym, choć nie bardzo zwyczajnym sposobem.

Jeden z wieczorów literackich przypadł w adwencie, naturalnie więc zabawa w taniec zamieścić się nie mogła. Pan Wojciech rozповідаł wszystkim wypadek swego najnowszego obliczenia: ile much idzie na funt wiedeński. Gospodyni-poetka popisywała się z piosenkami, utworzonymi dla synów stróża domu, mających obnosić szopkę. Niektórzy goście ślęczyli nad szaradą, pomyslaną przez pana, a obrobioną przez panią domu. Mamy na kanapie bawiły się w ploteczki i córkom swym wzajemnie oddawały pochwały mniej lub więcej słuszne, aby je później, przy zdarzonej sposobności, tem niesłuszniej poobmawiać. Pan Dzierzgoński opowiadał facecje, pan Edmund Blicki patrzył smutnie na fortepjan, na którym popisywać się nie miał sposobności, a reszta młodzieży bawiła się w gry niewinne, improwizowane i dyrygowane przez pana Karola Wytycza.

Po grach zaczęło się sądzenie fantów, za które winnych skazywano na spowiedzie, prosze-

nie pieca w kumy, budowanie mostu, zbieranie bukietu i tym podobne pokuty.

Stefan Pogoda i Antoni Ochlicki brali udział w tych grach, do których, oprócz Buzi, kilka dosyć posażnych Krakowianek należało. Na twarzach modnych paniczów błąkał się półuśmiech, nudę przez grzeczność tajoną, czy też politowanie nad błahością zabawy wyrażać mający. Z tym uśmiechem, według jednomyślnego zdania panien, było im przecież do twarzy.

Zygmunt, załapany do mróczka, był mruczkem, a kiedy mu za fant kazano zbierać bukiet, zbierał bukiet. Bawił się nie tyle zabawą, bo w niej wiele zabawnego nie było, ale tem że się inni bawili; był naturalny i swobodny, a jednomyślne zdanie panien osądziło, że mu z tem jeszcze bardziej do twarzy, jak wymuskany serdecznym przyjaciołom z eleganckim półuśmiechem.

W ciągu sądzenia fantów wypadło, że jedna z panien skazaną została na nie wiemy już jak technicznie nazywaną pokutę, dość że jej wypadło wybrać sobie dwóch mężczyzn, z których następnie jednego powinna była odstąpić innej, stosownie do jej instynktowego wyboru.

Podzielając zapewne jednomyślne zdanie panien, że panu Stefanowi i panu Antoniemu było

bardzo do twarzy z półśmiechem, panna Melania, owa pokutująca Krakowianka, wybrała dwóch serdecznych przyjaciół, nadała im sekretnie imiona, stosownie do warunków pokuty, i wraz z nimi stanęła przed Buzią.

— Co wybierasz, Buziu, radość czy wesele?

Być może że złośliwa pokutnica blizkoznacznikom salonowym umyślnie blizkoznaczone podawała nazwiska, a może miała w tem i wyrachowanie ukryte, bo jej się lepiej podobał pan Antoni, więc go nazwała weselem, licząc zapewne na to, że Buzia głośno *wesela* zapragnąć się nie odważy, a tym sposobem pan Antoni dłużej z nią pokutować będzie.

Na podobne zapytanie zazwyczaj odpowiada się bez namysłu; tym razem przecież Buzią zakłopotła się i przez chwilę stała milcząca, patrząc w młodzieńców przedstawionych sobie do wyboru.

Zdało jej się, że tu naprawdę jednego wybrać było trzeba i trudnym był dla niej ten wybór.

Po za dwoma przyjaciółmi danymi do wyboru, stał przypadkiem pan Zygmunt i wpatry-

wał się z zajęciem w skłopotaną twarz dziewczęcia.

Buzia piękną była w swoim kłopotcie, tą niezrównaną pięknością dziecka, co się przebudzać zaczyna dziewczęcą, pięknością co nawet nie uderzające i mniej wymowne twarze prawdziwym oblewa urokiem.

Mimowolnie oko jej drgnęło i padło na twarz Zygmunta.

Jakby dostrzegła, że podpatrywał jej wahanie, zarumieniała się lekko i szybko chcąc zrobić wybór, zamiast wymówić jedno z nadanych nazwisk, wyciągnęła dłoń prawą do pana Antoniego...

Niestety!... w tym samym czasie druga jej rączka podniosła się do pana Stefana.

— Obu naraz nie można, — zawołała z uśmiechem panna Melania. Wybieraj Buziu: radość czy wesele?

Dłuższe wahanie się było niepodobnem.

— Wesele, — szepnęła na oślep Buzia, i pan Antoni ujął jej rękę.

W bawialni państwa Wojciechów wesołym śmiechem powitano wybór Buzi.

— Winszujemy!.. winszujemy!.. w ten karnawał, — odezwało się kilka głosów.

— Drugie w spak litera, a trzecie pierwsze nie prawe, wszystko Buzia wybrała, — wołał pan Wojciech. Zaraz to moja żona wierszem skomponuje.

Pani Wojciechowa była w natchnieniu i zaimprowizowała bezzwłocznie:

*Trzecie pierwsze nie prawe,
Drugie w spak litera:
Buzia lubi zabawę,
A więc wszystko obiera.*

-- Brawo! brawo! — oklaskiwali goście.

— Godne druku, daję słowo, godne druku, — rzekł pan Dzierzgoński.

— Niestety, żadne pismo krakowskie szarad nie unieszcza, — westchnęła pani Wojciechowa.

W parę godzin potem zabawa się skończyła, goście się porozchodzili, a matka z córką zostały same.

— Moja Buziu, — rzekła pani Wojciechowa, — czemuż ty to wesele obrała? Gdyby nie ojciec, co mi poddał szaradę, którą złagodziłam wszystko, byliby się śmieli z ciebie, że tak tęsknisz za weselem.

— Ale mamó, — tłumaczyła się córka, — kiedy mi doprawdy trudno było wybrać jednego z tych dwóch panów. Stali przedemną i mnie się zdawało że mi się podobają, ale to inaczej jak inni... ot, tak jak mama mówi... szczegółnie... dla mnie samej...

— Jakto?... obaj?...

— Obaj, mamó, — odrzekło dziewczę spokojnie. Trudno mi było wybrać, więc na los wybrałam wesele.

— Trzeba było wybrać radość, to nie byłoby dało powodu do śmiechu. No, ale kiedyś już wybrała wesele, to nie trzeba myśleć o radości.

— Jakto mamó?

— Wybij sobie z głowy pana Stefana.

— A pan Antoni?..

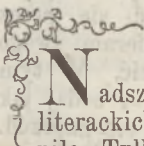
— Pan Antoni może pozostać.

Buzia, nie bardzo rozumując powody które skłoniły matkę do tak stanowczego zakazu myślenia o panu Stefanie i zalecenia pana Antoniego, zastosowała się przeciw do jej woli, i długo, długo w nocy, nim się jej powieki zamknęły, myślała o panu Antonim, a może i o... weselu.

Tymczasem pan Zygmunt Starża wracał do siebie, na Wesołą i dumiał:

— Są twarze, które na pierwszy rzut oka zdają się niczem nie przemawiać do duszy, lecz w danej chwili stają się idealnie pięknymi... Tyłem razy ją widział, a do dzisiejszego wieczora śmiałbym się, gdyby mi kto powiedział że to taka cudna dziewczyna...

IV.

 Nadszedł karnawał i nic się na wieczorach literackich u państwa Wojciechów nie zmieniło. Tylko gospodarz i gospodyni coraz bardziej zobowiązująco zapraszali Antoniego, z którym regularnie przychodził serdeczny przyjaciel Stefan; — tylko pan Zygmunt coraz stawał się punktualniejszym w bywaniu na czwartkowych zebraniach, chociaż pan Wojciech, przez żonę-poetkę nauczony dyplomacji, mniej natarczywie jak przedtem o przychodzenie na niego nalegał.

Buzia, w duchu instrukcji macierzyńskiej, nie myślała o panu Stefanie, a pan Antoni coraz więcej jej się podobał. Ile razy znalazła sposobność, nie zaniebyszała z niej skorzystać, ażeby zacząć rozmowę o... kwiatkach.

Pan Antoni zdawał się bynajmniej nie spostrzegać tego upodobania jakie wzbudził, ani zabiegów ojca, uparcie zapraszającego go do siebie, nie rozumieć. Z Buzią był grzecznym i uprzej-

mym, jak z córką gospodarza domu, bo trzeba wiedzieć że w Krakowie nie upowszechnił się jeszcze zwyczaj przyjęty po większych miastach, emancypujący lwów salanowych od uszanowania dla dam, pozwalający im rozwalać się po fotelach, niedelikatnych lub dwuznacznych używać wyrażen, pięknościom przypatrywać się przez szkiełka i innemi tego rodzaju manierami swego menażeryjnego pochodzenia dowodzić. W tym względzie Kraków pozostał w tyle i bodaj jak najdłużej nie pomyślał o posunięciu się naprzód. Wszystko tam dotąd po staremu. Lwy krakowskie są bardzo potulnemi lwami, w towarzystwach zaś odróżnia się przyzwoitość od nieprzyzwoitości, wiadomo co wypada, a co nie wypada; kogo proszą siedzieć w salonie, temu się kłaść nie wolno, a wydobywanie forsowne rumieńców na lica płci pięknej, za pomocą dykteryjek niezbyt niewinnych, uważałoby się za skandal, czyli za *szkandal*, jak mówią poczciwi Galicjanie, którzy bardzo wielkie w języku porobili postępy, gdyż konsulów nazywają *konzulami*, a sprawy nieletnich sprawami *sierocińskimi*, zapewne dla uczczenia pamięci gramatyka Sierocińskiego i dla lepszego wbicia w pamięć, że nieletni mogą mieć sprawy, nawet nie będąc sierotami.

Nie dostrzegając w postępowaniu Antoniego żadnych oznak starania się o rękę swojej jedy-

naczki, pani Wojciechowa zaczęła się niepokoić. Co drugi czwartek niepokój wzrastał, aż wreszcie trzeba było koniec mu położyć i czegoś stanowczego się dowiedzieć.

Najprostszym sposobem, którego niekiedy używają jeszcze mamy dawniejszej nieco daty, byłoby spytać się pana Antoniego w jakich zamiarach bywa w domu. Zapytanie takie stawia się kawalerowi jako dylemma znaczące: żeń się jegomość, albo się wyrzecz moich dwóch szklanek herbaty.

Jednakże pani Wojciechowa nie mogła zadać takiego pytania. Wieczory jej zwały się literackimi, bywanie zatem na nich nikogo nie zobowiązywało do niczego. Każdy zapytany po co przychodzi, miał prawo wywinąć się bardzo grzecznie odpowiedzią, że korzysta ze sposobności zachwycania się talentem poetycznym pani domu.

Nie mogąc wprost, troskliwa matka zaczęła działać ubocznie. Nasadziła na pana Antoniego swego kuzynka Stasia Lubieję, który był tak śmieszny z wąsami, a ten, wszedłszy z nim w zażyłą przyjaźń, zdołał po kilku libacjach u Rzońcy i innych winiarzy wybadać kandydata na zięcia i przekonać się nie tylko o tem, że o żenieniu z Buzią wcale nie myśli, ale i o tem w dodatku, że serce jego tylko za grube pieniądze było do sprzedania.

Na taką wiadomość zwykle matki wymawiają młodemu człowiekowi dom; że jednak wieczory nosiły firmę literackich, więc i tego zrobić nie wypadało.

Pozostał jeden tylko sposób: odwołanie się wprost do Buzi.

— Moje dziecko, powiedz mi,--spytała się jej pani Wojciechowa,--czy ci się w istocie pan Antoni i pan Stefan jednakowo podobali?...

— Jednakowo, mamó.

Z tej odpowiedzi, po dość długim przeciągu czasu powtórnie danej na to pytanie, matka powinna była wyrozumieć, iż serce Buzi, chociaż już przebudzone, dotąd jeszcze pilnowało się swej pani i nikomu się nie oddało na serjo.

Gdzie się dwóch jednako podoba, tam żaden nie może być wybranem. Zajęcie się jedynaczki panem Antonim, było sobie po prostu upodobaniem dziecięcym i tylko niedoświadczenie Buzi mogło to upodobanie wzięść za miłość.

Matka nie potrafiła zrobić tej analizy uczuć swojej córki i odpowiedziała tylko:

— No, to wybij sobie z głowy pana Antoniego i myśl o panu Stefanie.

— Czemuż to, mamó?...

— Pan Stefan równie dobra partja jak pan Antoni. Pogoda wart Ochlickiego, a pan Antoni cię nie chce...

„On cię nie chce,“ — słówko to wywarło magiczny skutek. Miłość nie zwykła ustępować przed tego rodzaju zaklęciem, lecz takie upodobanie jakie miała Buzia, pierzcha przed niem w jednej chwili. Miłość własna jest daleko potężniejszą od tego rodzaju zakochań; ażeby z nich wyleczyć, dosyć ją zadrasnać.

Matki mające zakochane córki, gdy nie są pewne czy to miłość czy kaprys gospodaruje w ich serduszkach, jeśli okoliczności są po temu, niech użyją tych czarodziejskich wyrazów, lecz w sposób taki, żeby im córki uwierzyły, a poznają z pewnością, czy to jest miłość prawdziwa; jeżeli to zaś będzie tylko jakie naśladowanie, jaki surogat miłości, to go się z łatwością pozbędą.

Odtąd z panem Stefanem zaczęły się odbywać też same manewra, jakie się wprzód odbywały z panem Antonim.

Ojciec zaproszeniami najżyczliwszemi szturmował do jego uczuć; Buzia z nim prowadziła rozmowy o kwiatach, matka nie zaczynała czytać najświeższego swojego poematu, dopóki go w liczbie słuchaczy nie spostrzegła, a kiedy mu pan Wojciech zadał jedną ze wspólnie ułożonych szarad do zgadnięcia, podpowiadał mu jej słowo, ażeby nazbyt długiem poceniem się na sławę niedomyślnego nie zarabiał.

Lubo nie zapraszany jak poprzednio, pan Antoni przychodził ciągle ze swoim serdecznym przyjacielem, Buzia obrażona na niego, wypowiedziała mu rodzaj szpilkowej wojny, w której po raz pierwszy objawiać się zaczął naturalny i swobodny jej dowcip. I dziwna rzecz... od czasu jak jedynaczka przestała myśleć o nim i mścić się nad nim poczęła, pan Antoni zaczął przychodzić do przekonania, że panna Buzia w nim się kocha.

Śmiał się z tego serdecznie przed Stefanem, a Stefan, nie domyślając się wcale, że to on jest przedmiotem upodobania dziewczęcia, śmiał się także z serdecznym przyjacielem; na wieczorach zaś literackich ile razy Buzia zaczęła atakować Antoniego, trzymał jej stronę i dopomagał jej wesoło, co znowu dziewczę uważało za oznakę wzajemności.

Ta ślepa babka uczuć nie była jednak dostateczną dla matki. Widziała grzeczność Stefana, ale po za nią nie widziała nic więcej. Niepokoje znów powróciły i znów wzrastały bardzo szybko; aż wreszcie po wielkiej nocy Staś Lubieja obarczony został nową dyplomatyczną misją, z której się wywiązał doskonale, innego przecież rezultatu jak z panem Antonim nie otrzymawszy. Pogoda również wysoko cenił swoje serce jak Ochlicki i tylko za gotówkę zbyć je myślał.

Buzia dostała rozkaz wybicia sobie z głowy pana Stefana. Magiczne słówko skutecznem było lekarstwem. Cała operacja wyjęcia pana Pogody z serduszka jedynaczki, kosztowała pacjentkę zaledwie łoż kilka.

Gdy przyszedł czwartek następny, łyzy te już oschły.

Powtórnie obrażona duma zaostrzyła jeszcze bardziej dowcip córki pana Wojciecha, który już świadomości siebie nabierać zaczynał.

Tym razem żądło jego ćwiczyć się zaczęło na panu Stefanie. Antoniemu pofolgowano nieco, a niezadługo potem pan Stefan sądził że mu się otworzyły oczy i że spostrzega iż nie jego przyjaciel, lecz on sam jest przedmiotem uczuć panny Buzi. Powiedział o tem panu Antoniemu; serdeczny przyjaciel przyznał, że w istocie zmianę symptomatów spostrzega, obaj śmieli się znowu, i odtąd pan Antoni został naturalnym sprzymierzeńcem Buzi w pastwieniu się niewinnem nad panem Stefanem.

Ćwiczenia dowcipu niedostatecznem przecież były zajęciem dla podwójnie zawiedzionej Buzi. Serduszek jej, zadrażniony dwukrotnie, wyleczyło się z blizn swoich bardzo szybko, czuło jednak jakąś próżnię, czczość jakąś. Ten brak nie znany, nie wytłumaczony, często chmurką powlekał czoło

dziewczęcia, i nie raz samotna i smutna, z westchnieniem mówiła do siebie:

— Obydwaj mnie nie chcieli!... nikt mnie nie zechce, bo nie mam wielkiego posagu...

Córka pana Wojciecha nie wiedziała i nie domyślała się nawet, że był ktoś coby ją wziął bez worka złota w dodatku, że ten ktoś bywał także na wieczorkach literackich, śledził każde jej poruszenie, badał każdy wyraz jej twarzy, każdym słówkiem się poił, każdego jej uśmiechu uczył się na pamięć...

Był to pan Zygmunt Starża.

Od chwili owego pamiętnego wieczoru, na którym szarada pani Błonickej zażegnała coś gorszego od burzy, bo śmiech uszczypliwy, Zygmunt poczuł, że mu się w sercu inaczej jakoś robić zaczyna...

Zastanowił się nad swoim położeniem i uznał, że pierwszy krok jaki serce jego zrobiło, był krokiem postawionym na drodze nieszczęścia.

Zygmunt Starża był biednym, urodził się jednakże i wychował w dostatkach. Ztąd poszło, że życia w mierności nie rozumiał, że jeżeli nie majątek sam, to to co on daje, wygody, komfort, wolność od troski o chleb na jutro, uważał za konieczne w życiu. Widząc się skazanym na życie pracy, rezygnował się na nie z pewnym siebie, ufającym we własne siły zapałem; lecz ta pew-

ność siebie i ufność miała granicę, po za którą wykroczyć zdawało jej się już nie zuchwalstwem, lecz niedorzecznością. Wierzył, że sam dla siebie wywalczyć może być, ale nie pojmował jak dwie ręce zapracować mogą na dwoje. Przeczuwał że mężczyzna ująć sobie może i ograniczyć się powinien, kiedy mu na zaspokojenie potrzeb nie wystarcza, ale nie rozumiał jakby do takiej rezygnacji przyjść mogła kobieta. Dlatego do tej chwili, w której serco jego uderzyło, nie pomyślał nawet o ożenieniu się. Nie ślubował dozgonnego kawalerstwa, nie zakazywał sobie małżeństwa, lecz jak rozsądny prawodawca nie umieszcza w kodeksie zakazów i kar przestępstwa, których możliwości nie przypuszcza, tak i on w prawach sobie przepisujących o bezżenństwie nie mówił, bo w możność ożenienia się nie wierzył.

Tymczasem po owym wieczorze serce uparcie szeptać mu zaczęło, że ożenienie się było możliwem, nawet w takich warunkach, w jakich się znajdował.

Pan Zygmunt wzdrygnął się zrazu na tę myśl. Jakto? on, człowiek zacny, on, człowiek pojmujący miłość, ale przedewszystkiem rozumiejący obowiązek, on miałby się zaślepić do tyła, żeby szlachetnie ukochane dziewczę wciągnąć w to czarne piekło z niedostatku i nędzy, do którego sam wchodzi z odwagą wprawdzie, ale nie bez

wstrętu, jakim go ciemność tej przepaści i niewiadomość drogi najwłaściwszej do jej przebycia koniecznie przejmować musiała?... On miałby upaść, zapomnieć się, splamić tak dalece?...

— Nie!... nigdy!.. — odpowiadał sobie uroczyście.

I postanowił pan Zygmunt, że już się więcej nie pokaże na wieczorach literackich u państwa Wojciechów.

Ale gdy przyszedł czwartek, na który zebranie tego rodzaju przypadało, serce gwałtownie upominać się zaczynało, żeby się nie pozbawiał tej naukowej rozrywki. Aby go tem łatwiej oszukać, nie mówiło mu nic o Buzi tylko o matematyce i poezji. Od cyfr pana Wojciecha pożyczało wymowy i wykazywało mu najoczywiście, że bardzo a bardzo mały procent tych co bywają na wieczorach, żeni się z córkami tych co je wydają. Godząc w miłość własną pana Zygmunta, mówiło mu, że niepójście byłoby nędznem tchórzostwem, cofnięciem się z placu walki, z obawy porażki; wskazywało mu całą wielkość zwycięstwa jakie odniesie nad sobą, jeżeli je odniesie pod strzałami tych właśnie oczu, które hart jego i stałość złamać były zdolne.

Walczył pan Zygmunt jak potrafił, pragnąc pokonać tę obfitą w argumenta wymowę swego serca i tę jego dziwną a tak nagle roz-

budzoną namiętość do szarał i kombinacji matematycznych; serce przecież tak wytrwale oblegało rozsądek, że ten ostatni musiał kapitulować.

— Pójdę,—mówił do siebie,—pójdę, ale najmniejszym skinieniem, jednym westchnieniem, spojrzeniem lub słowem nie dam się jej niczego domyśleć... Pójdę, bo wstyd się cofać przed walką z samym sobą... pójdę, bo pójdęcie wyleczyć mnie nawet może z tej choroby... Będę na nią patrzył, będę ją obserwował, będę badał, rozbierał, zimno, obojętnie, skalpelem anatoma... Pod tą tak uroczą powłoką dziecka, znajdą się pewnie usterki i wady, które się rozwiną w kobiecie. Gdy je spostrzegę, będę uleczony, a niczego więcej nie pragnę.

I poszedł pan Zygmunt i patrzył, a patrzył tak pilnie, krytykował każdy ruch i każde słowo Buzi tak niemiłosiernie, tak zawzięcie, że poszukując coraz nowych wad i usterek, coraz nowe odkrywał przymioty, i cieszył się nimi jak Kolumb nowym światem, który mu miał przynieść nieszczęście.

Powtarzało się to tyle razy ile razy przyzwoitość pozwalała nawiedzać dom państwa Wojciechów.

Za każdym razem, wracając do siebie, p. Zygmunt dawał sobie słowo, że więcej nie odwiedzi uczonego

domu, i za każdym razem łamał postanowienie uroczyste.

Pod jednym przecież względem nie wykroczył dotąd przeciw swoim postanowieniom; jednego warunku kapitulacji rozum pilnował się, i za nic w świecie odstąpić go nie chciał.

Ani jednym słowem lub giestem pan Zygmunt nie okazał uczucia jakie żywił w swej piersi. Widać to było ztąd przynajmniej że Buzia niczego się nie domyślała, może tylko dla tego, że nie bardzo, jak już widzieliśmy, była biegłą w odgadrywaniu uczuć i poznawaniu ich rzeczywistej wartości.

Ostatni warunek kapitulacyjny byłby zapewne wystarczył panu Zygmuntowi na bardzo długo, gdyby nie zaszedł niespodziewany wypadek.

Pan Zygmunt odebrał list od stryja, wzywający go aby doniósł co z sobą nadal zrobić zamysła; znajdował się już bowiem, zdaniem jego opiekuna, w tym wieku i w tem położeniu, że powinien być być pozostawionym własnym siłom. Stryj proponował mu podróż za granicę, na którą łożyć przyrzekał przez lat parę.

„Człowiek, jak ty, — pisał do niego, — z twojem imieniem i przy ukształceniu jakie już posiadasz, paroletnim pobytem za granicą uzdolnić się może tak dalece, że mu nadal wrota naj-

światniejszej przyszłości staną otworem. Za powrotem mógłbyś obrać karierę dyplomatyczną, wstępując do ministerjum w Wiedniu. Przyjęcie za pomocą moich stosunków będzie łatwe; na nie jednakże więcej, oprócz ułatwienia go, nie zechcesz pewnie liczyć z mojej strony.“

List kończył się następnym dopiskiem:

„Jeżeli by ci ten projekt podróży, na którą sześć tysięcy reńskich przeznaczam, nie przypadł do smaku, postąp jak myślisz i jak za stosowne uznasz, w niczem nie tamuję twej woli, bo wiem że nazwisku jakie nosisz, niewłaściwym obiorem zawodu, ze względu na mnie, ubliżyć nie zechcesz. Na początek posłużyła by ci przeznaczona przezemnie na podróż suma, a zresztą... masz młode siły.

„Weksel na trzy tysiące reńskich załączam. Drugie tyle odebrać możesz w każdej chwili, bez legitymowania się nawet do czego ci są potrzebne.“

Przeczytawszy ten list, Zygmunt zaczął rozmyślać o przyszłości.

Rozum doradzał posłuchać propozycji stryja i wyjeżdżać za granicę; ze strony serca jednak odezwały się gwałtowne protestacje.

Walka była długą i bolesną.

Serce wygrało, chociaż nie stanowczo.

Wygraną serca, zwycięstwem miłości nad chłodnem rozumowaniem było to, iż całe rusztowanie argumentów jakie pan Zygmunt nagromadził na dowiedzenie, że ożenienie się byłoby z jego strony nie do darowania zbrodnią, do szczytu zburzonem zostało. Pokonany wymową uczucia, bohater nasz przyznał nareszcie, że jeśli życie pojedynczego człowieka walką być musi, to walką z losem może być podobnież życie dwojga; że jedna i druga walka skończyć się może zwycięstwem, a przynajmniej rozpoczynać ją trzeba z tą pewnością, że się nie inaczej zakończy, bo bez takiej pewności nie ma i nie może być zwycięstwa; że nie tylko nie jest zbrodnią liczyć na własne siły w pocziwych zamiarach, ale nawet obowiązkiem, i że nie tylko nie należy zabijać czystej miłości, gdy się w sercu zrodzi, lecz że nawet podobne morderstwo jest zbrodnią.

Czy to wszystko było sofizmatem, czy prawdą, o tem pan Zygmunt nie wiedział dokładnie; serce jednak broniło się tak dobrze, iż rozum w żaden sposób nie mógł go pokonać.

Zwycięzkie na tem polu uczucie, poniosło przecież porażkę na innem a bardzo ważnem. Przekonało, że miłość p. Zygmunta miała prawo do bytu, nie mogło jednak przekonać, że miała prawo starać się o wzajemność, jeżeli ta wzajemność nie istnieje jeszcze.

— Jeżeli nieszczęście już się stało,—mówił rozum,—jeśli chcąc nie dopuścić kroku, który ja odradzam, nie jedno, lecz dwa serca zatruć by potrzeba, w takim razie ustępuję. Lecz jeżeli do tego nie przyszło, jeżeli to czyste dziecko, nie mające może wyobrażenia o miłości, nie spostrzegło jeszcze tajonego uczucia i nie odpowiedziało na nie, byłoby haniebnem samolubstwem ciągnąć na zgubę drugą istotę, dla tego tylko, że sami znajdujesz się w niebezpieczeństwie.

Jednem słowem rozum zdawał się przekonany, lecz nie o tem żeby ożenienie się było bezwzględnie dobrem, tylko o tem, że w danym razie mogło być złem najnniejszem.

Pan Zygmunt zdecydował się zatem na związanie losów Buzi ze swojemi, jeżeli ona tego będzie chciała; ale nie zdecydował się na taktykę najwłaściwszą, żeby jej skłonność pozyskać.

Wypadało, zdaniem serca, pokazać powoli i w najkorzystniejszym świetle oczom wybranego dziewczęcia to uczucie gorące i czyste, które wola aż dotąd usilnie tała; wypadało odślaniać je częściowo, starać się ująć i pozyskać ją sobie, a wtedy dopiero wymówić stanowcze słowo, z jakąś nadzieją że ono mile usłyszaniem będzie.

Bohater nasz postanowił inaczej.

Niezupełnie, jak widać, otrząśnięty ze wszystkich obaw i skrupułów, jakie miał co do godziwości skazywania ukochanej istoty na życie pozbawione innych widoków, oprócz cierpień i zapasów z losem, pan Zygmunt uznał za niewłaściwe i zdrożne nawet zastawianie sieci na uczucie, które zakrwawić mogło życie tej, coby się ująć i podejść dała.

—W takim tylko razie,—mówił do siebie,—nie mam prawa zabić tej miłości, jeśli ją ona już podziela. Zabójcą jej serca być nie mogę; nie wolno mi jednakże pracować nad obudzeniem w niem uczucia, które by mogło być dla niego fatalnem.

Na tem rozumowaniu oparł pan Zygmunt gorączkowe może lecz szlachetne postanowienie: iść natychmiast do państwa Wojciechów, opowiedzieć ich córce stan swojej duszy, wyznać tę miłość tak długo tłumioną, ofiarować jej do podziału tę burzliwą i niepewną przyszłość jaką dlań los przygotował, i jeśli ją przyjmie, stanąć do boju z losem, potężny miłością, a jeśli odrzuci z rozdartem sercem jechać za granicę, czekać aż się rana zablizni, potem zaś wziąć się do pracy, na wieki marzeń zabraniając sobie...

Cóż to rozpaczne postanowienie znaczyło?...

Możemyż posadzać pana Zygmunta o to, że mniemał iż miłość jego, nawet tajona, znalazła

oddźwięk w sercu Buzi, że przypuszczał iż jego wybranka już nim była zajęta; lub też może iż jego oświadczenia się żadna panna, a przynajmniej panna Błonica odrzucić by nie mogła?...

Nie... byłoby to śmieszną zarozumiałością, a Zygmunt do niej nie był zdolnym.

Rozpaczne postanowienie jego było krokiem, na który bardzo nie wielu ludzi zdobyć by się potrafiło.

Zygmunt był człowiekiem charakteru i woli; co postanowił, co uznał za dobre i właściwe, tego potrafił dopiąć i dotrzymać, chociażby siebie poświęcić przyszło. Ale właśnie dla tego, że był człowiekiem charakteru, że rozum jego i uczucie były w najlepszej harmonji i symetrii, właśnie dla tego że miał wolę silną i ku szlachetnym skierowaną celom — miłość, gdy się zbudziła w jego sercu, musiała być potężną, wielką, niezwalczoną.

Nieszczęście chciało, że ta miłość zrodziła się w warunkach, na które rozum nie mógł przystać. Zaczęła się więc walka, walka krwawa. Człowiek najdzielniejszego charakteru, nie jest przecież człowiekiem z żelaza. Łatwo zwyciężyć jakąś część siebie, lecz niepodobna się pokonać, gdy z całym swym jestestwem walczyć wypadnie.

Zygmunt upadł... miłość przemogła.

Upadł, lecz nie dał za wygraną.

Nie mogąc się zwyciężyć, postanowił się oszukać. Rzucił wszystko na jedną kartę, wiedząc że ta karta przegrać musi. Szedł się oświadczać nie tylko nie mając najmniejszej nadziei że będzie przyjętym, lecz mając prawie pewność, że odrzuconym zostanie.

Nie zdołał wyrwać z siebie miłości, którą uważał za naganną; chciał więc by mu ją ta wydarła, której spojrzenie początek jej dało... Wiedział, że w razie odmowy, a odmowa było prawie niezawodną, już ze względu na same nieprzygotowanie i nagłość oświadczyn, w walce z sercem przybędzie mu za sprzymierzeńca obrażona duma, zranione miłość własna... Wiedział że po odmowie potrafi uciec od tego, co słusznie czy niesłusznie uważał za nieszczęście i występki, nim zaś odmowa nastąpi, nie znajdzie nigdy dosyć siły na starganie więzów, którymi się oplótł mimowolnie.

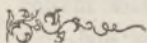
Nie wchodźmy w ocenienie słuszności zasad, wniosków i rozumowań pana Zygmunta. Bohater nasz może błędził, że popełniał samobójstwo swych uczuć, błędził jednakże w dobrej wierze, biorąc to co robił za obowiązek. Błąd taki, jeżeli to był błąd nawet, zasługuje na szacunek. Nie sądząc więc i nie krytykując pobudek,

przyznajmy że krok jaki przedsiębrał Zygmunt, godziwym był i pięknym.

Powziąwszy takie postanowienie, nasz bohater nie odwlekał spełnienia go.

Ubrał się śpiesznie i wyszedł na miasto.

V.



Był to prześliczny dzień majowy, jeden z tych dni, w które z marjackiej wieży widzieć można na horyzoncie blade zarysy karpackich szczytów.

Piękne okolice Krakowa, przystrojone świeżą, zieloną szatą wiosny, wyglądały czarownie i uśmiechać się zdawały do grodu, w około którego się rozsiadły, jakby pragnąc z niego wywołać spokojnych mieszkańców, żeby pokosztowali ich rozkosznego powietrza i podziwiali ich wdzięki.

Na ulicach miasta ruch był większy niż zwykle, a po drogach zamiejskich weseli roili się przechodnie. Dzień był powszedni, lecz ruch w mieście i po za miastem, woń najpiękniejszej pory roku obficie rozlana w powietrzu, zdawały się wszystkiemu nadawać cechę świąteczną.

Dzień ten w domu państwa Wojciechów przejść był powinien, o ile przewidywać należało, tak jak przechodzą wszystkie dnie powszednie.

Nie zamierzono żadnego spaceru, nie spodziewano się gości. Pan Wojciech miał iść do kantoru, jak zwykle, a za powrotem do domu obliczyć ilu by ludzi pomieścić się mogło na kuli ziemskiej, gdyby ich poustawiać tak ciasno, jak to niekiedy bywa na odpuszcie. Pani Wojciechowa miała zadysponować obiad, a potem do swojego zbioru *pieśni majowych*, rozpoczętego jeszcze za panińskich czasów, dopisać jedynasty już swego pióra wiersz pod tytułem: *do wiosny*, wyśpiewany przed kilku dniami przez jej wiecznie płodną muzę i na ostatnim czwartku zaprodukowany, w obec bardzo uważnie słuchających gości. Buzia miała podlewać swe kwiatki, a potem dokończyć książki, którą jej przyniósł Staś Lubieja, a która mówiąc nawiasem, bardzo ją mało interesowała, i z nasepionego czoła nie mogła spędzić jakiejś czarnej chmurki.

Takim był program dnia; wypadki przecież bardzo go zmieniły.

Z samego rana przy herbacie, którą w domu państwa Wojciechów pijano o ósmej, bo na dziewiątą pan Wojciech potrzebował już być w kantorze, podczas spokojnej rozprawy małżonków o tem, czy z wyrazu *Majówka* da się czy nie da utworzyć szarada, rozprawy w której Buzia nie brała udziału, — otworzyły się drzwi

z łoskotem i wpadła przez niezadyszana, jedyna państwa Wojciechów służąca.

— Jezus Marja!... pan starszy umarł! — krzyknęła w progu.

— Co?... z kąd znowu?... kto powiedział... — pytał pan Wojciech.

— Spotkał mnie chłopak od piekarza na rynku i dalej gadać: „A to panna nie wie?“ — „A, nie wiem, albo co? — Tak on znów, że cała Gołębia ulica tylko o tem gada... a ja znowu: „ale o czym?“ a on jeszcze: ale jużci bo taki stary, to nie dziwota!“

— Żył lat osiemdziesiąt siedem, sześć miesięcy i dni pięć, — obrachował szybko pan Wojciech, — szczególny zbieg cyfr: osiem, siedem, sześć, pięć, każda od poprzedniej o jeden mniejsza...

— A ja, proszę państwa, — opowiadała dalej służa, jak nie krzyknę ze złością: „ale kto?“ A on w śmiech: „no jużci nie ja“, powiada...

— Dosyć już, dosyć Petronelo, — przerwała opowiadanie pani domu, idź, zajmij się obiadem, a nas pozostaw teraz rzewnym uczuciom boleści rodzinnej. Tylko pamiętaj, żeby kluski lane nie rozbełtały się na kaszę, jak zrobiłaś w przeszłym tygodniu... a pianę ubij dobrze.

Wiemy już jakie były stosunki pana Wojciecha z ojcem. Widywali się najwyżej raz na miesiąc, niczego wzajem od siebie nie potrzebując. Synowa i wnuczka jeszcze rzadziej odwiedzały pana Cyprjana, w którego zaszłem sercu nie było dla nich żadnego głębszego uczucia.

Nic więc dziwnego że wiadomość o nagłym skonie osiemdziesięcio-siedmio letniego starca nie wywołała w domu państwa Wojciechów tych objawów rozdzierającej rozpaczey a nawet boleści, jakie wiadomość o śmierci ojca pośród dzieci budzić zwykła. Interes pieniężny nie przyczyniał się także do podwyższenia wrażenia, jakie wywołała śmierć starca; — pan Wojciech był przekonanym, że ojciec jego nie zostawia nic, albo tyle prawie co nic.

Westchnął więc tylko syn, a synowa poniosła chustkę do suchych oczu, bo wymagania przyzwoitości są tak silne, że im się niekiedy mimowolnie, nawet w obec siebie tylko samego, zadość czyni; — w oczętach pocziwej Buzi zakręciły się dwie łezki, i na tem skończyć się miało wszystko, co serca osieroconych wspomnieniu straty swojej ofiarować mogły.

Plany przecież na cały dzień musiały uleść zmianie — dzień zwykły stał się niezwykłym.

Potrzeba było zająć się pogrzebem; bezwzględnie zatem państwo Wojciehostwo udali się na ulicę Gołębią. Pan Wojciech tylko wstał po drodze do kantoru, ażeby ostrzedz, że tego dnia do południa interesa przyjść mu nie pozwalają. Była to nieregularność, jakiej się nie dopuścił od lat kilkunastu.

Ciało pana Cyprjana leżało w brudnej izdebce, na nędznym łóżku drewnianem. Liche sprzęty meblowały pokój; nie nie pozwalało się domyślać nietylko bogactwa i dostatku, lecz nawet miernego dobrobytu i skromnej wygody. Zewsząd przeświecała bieda.

Syn zbliżył się do łóżka, żeby po raz ostatni rzucić okiem na zagasłą twarz starca, który mu dał życie i kazał go nauczyć tej arytmetyki, co mu i chleb dawała i tyle sprawiała przyjemności.

W tem spojrzeniu pan Wojciech zwrócił uwagę, że nieboszczyk trzymał w ręku dosyć gruby łańcuch żelazny.

Łańcuch ten był przykuty do ściany, a prowadził pod łóżko. Starzec konając pochwycił za kilka jego ogniw i nie wypuścił go już po śmierci...

Pod łóżkiem, przyrzucona kupą butwiejących papierów, przykuta łańcuchem do ściany, stała szkatuła żelazna.

Było to odkrycie zupełnie niespodziewane.

Na piersiach pana Cyprjana wisiał klucz. Zdjęto go i otworzono szkatułę.

Widok złota, banknotów, dowodów notarialnych i drobno, z największą oszczędnością papieru, prowadzonych rachunków, uderzył olśniane oczy pana Wojciecha i jego małżonki:

— Trzeba przeliczyć, choć z grubego, — rzekł pan Wojciech do żony, — ty zaś Anno pobiegnij do kantoru i powiedz że ja i po południu dzisiaj przyjść nie mogę.

Poetka uszczęśliwiona, że wszystkie jej żądze znalazły odtąd tak wyborny rym jak pieniądze, pobięła spełnić wolę męża.

Bez straty czasu pan Wojciech zabrał się do liczenia wszystkiego; niepodobna jednak było myśleć o dokładnem na prędce przerachowaniu całej sumy.

Choć biegły rachmistrz, pan Wojciech po godzinnej przeszło pracy otrzymał tylko przybliżony wypadek...

-- Musi być najmniej trzykroć sto tysięcy reńskich, zawołał.

Widząc się dziedzicem tak ogromnego mienia, o jakim przez całe życie nie marzył, zostając nagle właścicielem tak wielkiej sumy, jaką tylko niekiedy w kasie u swojego bankiera widywał, pan Wojciech przedewszystkiem porwał

za pióro i napisał do swego pryncypała list następujący :

Panie !

Pracowałem w kantorze pańskim nieprzerwanie przez 23 lata, 8 miesięcy i dni 8, czyli w ogóle przez dni 8649. Pozwól pan, że nawiasem nadmienię, iż liczba ta jest już z tego względu szczególną, że jest kwadratem z 93.

Ośmielam się sądzić, że praca moja pozyskała zadowolenie pańskie.

W obecnej chwili odziedziczywszy po zmarłym dzisiaj ś. p. ojcu moim znakomity majątek, zamierzam oddać się w zupełności moim pracom naukowym; dla tego też nadal w biurze pańskim obowiązków pełnić nie mogę.

Z żalem opuszczając miejsce, które mi przez połowę życia (w tej chwili bowiem właśnie mam lat 47, miesięcy 4 i dni 16) chleb dawało, zastrzegam sobie zgłoszenie się wolniejszym czasem do kasjera pańskiego, po odbiór pensji za ostatnie dni osim, to jest po dzień wczorajszy włącznie, która w stosunku do płacy mojej rocznej 1500 zł. reń. wyniesie 33 reń. 33 centy (cztery trójki).

Racz pan przyjąć... i t. d.

Wojciech Błonicki.

Po wyprawieniu tego listu, małżonkowie złożyli walną naradę, na której postanowiono przywdziać żałobę na rok i sześć niedziel, ze zwykłemi podziałami, wyprawić nieboszczykowi najwspanialszy pogrzeb, na jaki Kraków zdobyć się może, a potem kupić piękną kamienicę z wielkim ogrodem na Zwierzynieckiem przedmieściu i w niej nadal częstsze a okazalsze wieczory literackie wydawać.

Do tych postanowień pani Wojciechowa dodała jeszcze jedno. Zamierzyła ona napisać na zgon starca elegję, której egzemplarze pysznie wydrukowane, w szerokich czarnych obwódkach, miały być rozdawane osobom znajdującym się na pogrzebie.

O wszystkich tych postanowieniach zawiadomiono jedynaczkę.

— Masz teraz milion posagu — mówiła matka.

— Miljon, mam? — odrzekła uśmiechnięta Buzia, a zamyśliwszy się przez chwilę, dodała. — Więc mnie teraz wszyscyby chcieli?... i pan Antoni? i pan Stefan?...

— Wszyscy, Buziu, możesz wybierać i nie masz potrzeby się śpieszyć.

— A!... — westchnęła Buzia, — być dodatkiem do miliona, — jakże to smutne, upokarzające i przykre,

— Wiesz Buziu, — odpowiedziała na to pani Wojciechowa, — że to wcale poetyczna uwaga. Winszuję ci jej.

Panna Buzia jednakże nie winszowała sobie tej uwagi. Wolałaby ona, i słusznie, żeby milion był dodatkiem do niej, niż przeciwnie, i owo poetyczne spostrzeżenie krwawiło jej serce...

Matka jednakże nie widziała tego. Pobiegła ona na miasto, zamawiać suknie żałobne, kapelusze krepowe i różne tym podobne potrzeby, mające służyć do wystąpienia w dzień pogrzebu w całej pompie odpowiedniego majątkowi żalu.

Ojciec także nie siedział w domu, lecz godził, zamawiał i kupował wszystko, co było niezbędnem do wspaniałej pogrzebowej ceremonji.

Buzia została więc sama w domu, zadumana, milcząca, smutna. Patrzyła w książkę i widziała w niej szeregi czarnych głosek, poustawianych równo i sztywnie. Jaka myśl te drobne topograficzne czcionki w takim a nie innym uszykowała porządku, o tem Buzia z tego wpatrywania się wcale się jakoś dowiedzieć nie mogła. I nie ciekawiło jej też to wcale. W jej biednej główce kręciła się myśl natrętna, zapytanie żywo i zbliżka ją obchodzące, na które

przecież w żaden sposób odpowiedzieć sobie nie potrafiła.

— Każdy mnie zechce, — myślała, — mogę wybierać. O Boże! ale jak poznać, kto z tych co mnie zechcą, wybierze mnie, a nie pieniądze?...

Takiemi myślami, nie przelotnem jednym i drugim upodobaniem, które im się zdaje wytrwała na wszystkie próby miłością, takimi myślami dojrzewają moralnie młode dziewczęta. W takim dumaniu powoli Buzia otrząsała się z reszty pieluch dzieciństwa i poważnie w świat patrzeć zaczynała.

O, jeżeli teraz ktoś stanie na drodze Buzi, ze spojrzaniem mówiącem „kocham“, z sercem bijącym gorączkowo, z dłońmi złożonemi błagalnie, — Buzia nie będzie łatwowierną, jak była względem wymuskaney miny pana Antoniego, względem wyszukanego uśmiechu pana Stefana, którzy, jak jej się zdawało, serce mieli na ustach i lada chwila zakochać się byli gotowi; — Buzia nie będzie wierzyła ani zakłębciom, ani przysięgom, ani górnym słówkom, ani pieśczoneym westchnień szelestom; jeśli posądzi o obłudę, to odpędzi bez wahania się, jeśli będzie przypuszczać szczerobóć, to ją wystawi na próby, na doświadczenia...

Tak sobie myślała Buzia.

W ciągu tych dumań dziewczęcia zapukano do drzwi, a że nie było nikogo w domu, bo nawet służąca wysłana została za sprawunkami, więc milionowa od kilku godzin panna sama pośpieszyła otworzyć.

Był to pan Zygmunt.

Wieść o sukcesji spadłej na pana Wojciecha błyskawicą obiegła Kraków. Wiedzieli o niej wszyscy, powtarzali ją sobie, coraz nowe szczegóły obiegały rynek, planty i przedmieścia. W drewnianych domkach nad Rudawą, albo nad starą Wisłą trzęsły się ściany od powtarzania cyfr tętniących krociami, a oznaczać mających teraźniejszą fortunę pana Wojciecha. Gdy kto przyszedł do *trafiki* (*) kupić cygaro za sześć centów, to mu mówiła trafikantka:

— Ot, żeby to panu taka fortuna. jak panu Błonickiemu, toby mi pan dopiero dał utargować...

Dość że nie można było prawie stąpić kroku, żeby o tej sukcesji nie usłyszeć.

Są przecież ludzie, którzy błyskawic nie widzą, grzmotów nie słyszą, i trzęsienia ziemi by nie poczuli...

Są to zakochani.

(*) Tak nazywają w Austrii dystrybucje tytoniu i tabaki.

Miłość w ogólności jest ślepą, ale bywa także głuchą niekiedy... tylko niema nie często bywa. Namietności-bo wszystkie w ogóle są kałkami, a jeżeli na czele ich stoi miłość, to na tej zasadzie, na jakiej klub garbatych w Londynie najgarbatszego obiera prezesem...

Zygmunt był zakochanym, więc nie dziw że się nie dowiedział o niczem, i przyszedł się oświadczać, nie licząc na przyjęcie, lecz pragnąc tylko rozedrzeć swoje serce, z którego inaczej wyrwać nie można było gorączkowego, młodzieńczego uczucia.

Buzię musiało uderzyć to przyjęcie, wizyty bowiem młodych ludzi w domu jej rodziców, po za obrębem literackich wieczorów, były rzeczą bardzo rzadką. Pragnąc niby odgadnąć co go sprowadziło, Buzia przyjrzała się baczniej Zygmuntowi: z niewinną śmiałością dziewczęcia, które jeszcze nie pokochało nikogo, spojrzała w jego wielkie, błękitne, piękne oczy, dziwnym błyskające płomieniem, objęła wzrokiem poważną, bladą, sympatycznie narysowaną twarz, na której głębokie malowało się wzruszenie, i w tym przeglądzie szlachetnej postaci odwiedzającego ją młodzieńca, prawdziwą uczuła przyjemność.

Był przecież czas, że sądziła iż kocha pana Antoniego, że była pewną iż pan Stefan w jej serduszkę gospodarzy. Na jednego i na drugiego

w owym czasie miło jej było patrzeć, ale ujrzenie ich nigdy tak błogiej nie robiło jej przyjemności, nigdy tak żywą nie napawało jej rozkoszą, jak dziś spojrzenie na pana Zygmunta. W spotkaniu z Antonim, ze Stefanem nigdy jej serce nie pukało, tak jak pukać zaczynało teraz. W uśmiechu do jednego lub drugiego z tamtych, nigdy tyle nie było słodczy, jak w dzisiejszym uśmiechu do pana Zygmunta.

Czem się to działo? — ktoś odgadnie?... Dla czego się tak stało dziś, kiedy tak przedtem nie bywało? — ktoś wytłumaczy?...

My się pewno silić nie będziemy na rozwiązanie tych zagadek, dość że tak było.

Wierny swojemu postanowieniu, Zygmunt rozpoczął rozmowę.

Pierwiastkowym jego zamiarem było wystąpić z prośbą o rękę Buzi natychmiast po przyjściu, bez żadnych ogródek, bez najmniejszego starania się o przygotowanie jej w jakikolwiek sposób do tej prośby. Zygmunt wiedział, że im więcej żądanie jego będzie miało w sobie obcesowości, im na mniej przygotowaną natrafi, im gwałtowniej odbiegnie od rutyny zwykłego w takich razach postępowania, tem mniej będzie miał szanse powodzenia, i dlatego w ten aż do niegrzeczności oryginalny sposób postąpić zamierzał.

— Przyznałem w sumieniu swojem, mówił do siebie, — że nie powinien długą konkurencją starać się o to by mnie pokochała, bo jej szczęścia i bytu zapewnić nie mogę. Jeżeli, zamiast długich zalotów, zechcę ją zjednać sobie i zdobyć długą i namiętną przemową, czyż to nie będzie tak samo niegodnem?...

Tak wyrozumował sobie pan Zygmunt, ale tak przecież nie postąpił.

Zaledwie przeszedł progi mieszkania państwa Wojciechów, że wszystkich rozumowań jakie porobił, pozostało w nim tylko jedno wewnętrzne przeświadczenie, że się bez dalszej zwłoki oświadczyć powinien; ale wszelkie postanowienia, że te oświadczyzny umyślnie uczyni takimi, iżby ich przyjąć było niepodobna, pierzchnęły i rozwiały się bezpowrotnie.

Serce objęło nad nim całą swą władzę, skoro tylko stanął przy Buzi. Już nie myślał o oszukaniu go, lecz drżał na myśl: że pomimo całego uczucia jakie w swoje słowa chciał przelać, może zostać odepchniętym.

Przychodził z nadzieją że odrzuconym będzie; lecz gdy stanął na miejscu, wstąpiła weni nadzieja, że może przyjętym zostanie.

Zaczął mówić i mówić długo, z ogniem, porywająco.

Dziewczę rozkoszowało się jego słowy, jak słuchacz, po raz pierwszy słuchający gry prawdziwego mistrza, rozkoszuje się tonami wybiegającymi z pod jego palców, tak bez porównania wznioślejszemi od tych jakie jarmarczni grajkowie i wiejscy organiści dobywać zwykli ze swych instrumentów.

Mówił jej pan Zygmunt o sobie, o swej przyszłości, o swych widokach. Bez przesadnej skromności, lecz bez zarozumiałości, skreślił przed nią inwentarz swoich zasobów moralnych, z szczerością i prawdą wyznał, że co do materialnego mienia, oprócz dwóch zdrowych rąk i głowy pocziwie myślącej, oraz kilku tysięcy reńskich danych przez stryja na początek, nie posiada zupełnie nic.

Tak przedstawwszy siebie i swoje położenie, zaczął zmierzać do głównego swojej rozmowy przedmiotu. Mówił o tem jak pojmuje uczucie, a słowa z ust jego płynące coraz mu żywszą przyjaźń i sympatję jego pięknej słuchaczki zjednywały. Mówił dalej o życiu, które choć bez dostatków, upłynąć może szczęśliwie i spokojnie, jeżeli je ozłoci takie uczucie, jakie on pojął i przedstawił. Słuchająca uważnie Buzia, ochoczo w duchu podzielała jego zdanie.

— Po tem wszystkiem co powiedziałem, — kończył — jeżeli pani wierzy, że, świadomie

przynajmniej, nie skłamałem, może pani poznać mnie i ocenić, pomimo krótkiej i niedość blizkiej naszej znajomości. Odkryłem przed panią duszę moją, a uczyniłem to nie bez celu... Od tej chwili, od pierwszego słowa, jakie pani teraz wyrzeczy, zależeć będzie cała przyszłość moja. Zechcesz pani, to z rozdartem sercem opuszczę kraj, pojedę daleko i tam będę się starał zapomnieć o tem, czego zapewne nigdy się nie zapomina. Wezmę to za cel życia, a choć celu nigdy nie dopnę, życie usiłowaniem zapełnione będzie... Zechcesz pani, to złożę u stóp twoich, takie uczucie, jakie pojmuję, do jakiego czuję się zdolnym, uczucie jakieś pani obudziła we mnie, a przy świetle i cieple tego uczucia życie przejdzie nam wspólnie jasne i błogie, chociaż w mierności i pracy. A więc twe słowo pani... czy mam jechać daleko, czy też zechcesz swą rękę oprzeć na mej dłoni, żebym ci w drodze życia towarzyszył?...

Było to pierwsze oświadczenie miłosne, jakie w swem życiu usłyszała Buzia. Dźwięczało ono w jej uszach jakąś niebiańską harmonją, bo wychodziło z ust człowieka, co pierwszy w jej życiu umiał dobrać wyrazów, których echo odbijało się z całą siłą w każdym uderzeniu jej serca.

Nic więc dziwnego, że kiedy Zygmunt zażądał od niej, żeby dłoń swoją na jego dłoni

oparła, Buzia, żywym oblana rumieńcem, mimowiednie ku niemu wyciągnęła rękę.

Był to przecież ruch instynktowy tylko.

Nim jeszcze Zygmunt zdołał spostrzedz to poruszenie i ująć za tę dłoń, która mu podawała szczęście, już ręka Buzi drgnęła i opadła.

Z twarzy jej znikł ów karminowy rumieniec rozkoszy, jaką ją słuchanie słów Zygmunta napawało; po czole białem przesunęła się ciężka, ołowiana chmura.

Chwila ubiegła w głuchem i złowrogiem milczeniu.

Wreszcie Buzia podniosła oczy i spojrzała na pana Zygmunta.

Ale te oczy, które przed chwilą jeszcze patrzyły nań z tak sympatyzującym wyrazem teraz przybiły go do miejsca wzrokiem pełnym surowości i pogardy.

— Jedź pan, — rzekła doń sucho, i nie spojrzawszy na niego powtórnie, piękna, lecz zimna jak posąg, wyszła z pokoju...

Przez mgnienie oka, które upłynęło od wyciągnięcia dłoni do Zygmunta, aż do jej zadrżenia i cofnięcia, nawał myśli przebiegł główkę Bożenney i żywą jej sympatją, rodzącą się miłość, zmieniły w obojętność i pogardę.

Treścią tych wszystkich myśli było, że Zygmunt grał komedję, że się dowiedział o spadku,

i ażeby go kto nie ubiegł, oświadczył się natychmiast, kłamiąc miłość, która mu poprzedniego dnia jeszcze nietylko w sercu, ale nawet w myśli nie powstała.

— Nędzny komedjant! — z oburzeniem mówiła do siebie Buzia, — obrał umyślnie tę chwilę, ażebym mogła sądzić, że się jeszcze nie dowiedział o sukcesji.

Ta chwila, tak dla pana Zygmunta fatalna, podyktowała jej postanowienie.

Wyrok był straszny. Wykonanie go rozdzielało serce tej, która go wydała i spełnić musiała. Uznać za brudną obłudę, za nikczemną intrygę, to co się zrazu wzięło za pierwsze w życiu, prawdziwe, głębokie uczucie, czyż może być zawód boleśniejszy? Zobaczyć nagle pospolitym, zwyczajnym spekulantem człowieka, dla którego serce inaczej jak dla innych uderzać zaczynało, zobaczyć go komedjantem w tej chwili właśnie, kiedy dlań uczucie się rodzi i z pączka w kwiat bujny rozwija, czyż może być straszliwsze rozczarowanie?

Bohaterka nasza przeniosła ten cały ogrom boleści i postąpiła tak, jak jej przekonanie, obrażona duma, zawiedzione uczucie nakazywały. Była już kobietą.

Gdy wyszła z pokoju, Zygmunt pozostał chwilę nieruchomy, skamieniały.

— Jedź pan,—jęknął nareszcie, jakby przypominając sobie wyrzeczone dopiero dwa wyrazy, które tyle rozwiały nadziei.

Z temi słowy opuścił dom państwa Wojciehostwa.

W godzinę potem odchodził pociąg kolei żelaznej. W jednym z wagonów znajdował się pan Zygmunt jadący do Berlina, do tej chwili nie wiedząc nic o wypadku jaki spotkał państwa Wojciechów i tak stanowczo wpłynął na postanowienie ich córki.

O tej samej porze pani Wojciechowa powróciła do domu i zastała swą jedynaczkę zalaną łzami.

— O mamó! mamó!--mówiła Buzia z płaczem, rzucając się matce w objęcia, ja jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

Takim był pierwszy dzień panny na wydaniu, mającej miljon posagu.

VI.



Izaak Newton był Anglikiem i jako Anglik był oryginałem.

Widząc raz spadające jabłko, zadał sobie pytanie, dla czego ono spada na dół a nie do góry. Śmieszne pytanie, nad którym, dziwna rzecz, że uczony człowiek mógł myśleć, i to tak długo, aż zrezuiniał siłę przyciągania i imię swoje, jako odkrywca prawa atrakcji, złotemi głoskami do księgi dziejów nauki zapisał.

Gdyby był Newton drzemał w chwili spadania jabłka, lub gdyby poprzestał na objaśnieniu, że jabłko spadło na dół, ponieważ od niepamiętnych czasów wszystkie jabłka tak spadały, do odkrycia siły przeciagającej miałyby najlepszą sposobność jedyny syn i uniwersalny dziedzic p. Cyprjana, pan Wojciech Gracjan Błonicki.

Zostawszy nagle milionerem, mógł on wybornie poznać, jaką siłę atrakcyjną mają pienią-

niądze, oraz obliczyć, że ta ich siła jest w stosunku prostym do masy.

Dopóki utrzymywać musiał swój dom z wielkiej stosunkowo pensji pobieranej od bankiera, pan Wojciech miał z ludźmi stosunki wcale nie-liczne, tak dalece, że liczba jego znajomości ledwie na zapełnienie literackich wieczorów co drugi czwartek była dostateczną. A i te jeszcze wieczory, gdyby nie usilne zapraszania, gdyby nie przyjęcie, względnie do majątkowego położenia gospodarstwa dość hojne, gdyby wreszcie nie małe rozwinięcie towarzyskiego życia w Krakowie, byłyby puste i głuche.

Teraz, gdy niespodzianie został panem, ze wszystkich stron tłoczyły się do domu pana Wojciecha wizyty i listy. Ktokolwiek choć raz w życiu przed kilką laty z nim mówił, ktobądź miał kiedyś jaki interes u bankiera, w którego kantorze pracował, z kimkolwiek był choć w najdrobniejszym i chwilowym jakim stosunku, każdy zdejmował przed nim na ulicy kapelusz i czapkę, podaną przezeń dłoń ścisnął w dwóch dłoniach, nachylony ku sobie policzek całował z namaszczeniem, przypominał lub kłamał dawną swą przyjaźń i życzliwość, tysiącznemi wreszcie przymilał mu się komplementami.

Gdy tak jedna chwila zmieniała położenie pana Wojciecha i na wydatniejsze przerzuciła

go stanowisko, zdumiał się, zobaczywszy ilu ma przyjaciół, o których serdecznej sympatji nic przedtem nie wiedział.

Jeżeli pan Wojciech, czy rzeczywiście, czy pozornie, dawał się komu łapać na te grube wędkę, jeśli na kogo spozrzał przychylnie, jeśli kogo uśmiechem i grzecznem słówkiem udarował, jeśli komu powiedział, że mu pierwszemu zwierza wypadek swego najnowszego obliczenia, — to mógł zaraz widzieć po radości, jaką względy tego rodzaju oblekały oblicze zaszczyconego, jaką wagę przywiązywano do podobnego faworu.

Dawniej, kiedy pan Wojciech prawił komu o swoich kombinacjach matematycznych, każdy zazwyczaj zagadywał czem innem, lub odpowiadał że nie ma czasu; dziś wszyscy słuchali go z cierpliwością niczem niezrażoną i każdy pomysł, każde spostrzeżenie, każde obliczenie znajdowało licznych wielbicieli.

Talent pani Błonickiej dotychczas nie był uznanym; za oczy szydzono sobie z niego, nazywano ją nie poetką, lecz *poetyczką*, a jej męża mężem dla rymu, albo mnożenia tabliczką, co także z poetyczką rymowało; teraz wiersze pani Błonickiej stały się prawie popularnemi, tyle im pochwał oddawano.

Buzia, będąc biedną, z trudem dochować się mogła kilkunastu doniczek kwiatów na oknach

mieszkania i rzadko kiedy miała sposobność przybrać bukietem stół przed kanapą. Teraz ja-koś przypominano sobie, że była miłośniczką Flory. Kwiaty i bukiety przysyłano jej prawie codziennie, znoszono rzadkości i osobliwości ogrodnicze i najwyszukańsze nasiona.

Ludzie bowiem lubią dawać podarki tym tylko, co je sobie kupićby mogli bez żadnego uszczerbku, a nawet kupićby woleli,

Wszystko troje Błoniccy stali się rodzajem planet świetnych na cały Kraków i licznymi otoczonych księżycami.

Ktokolwiek znalazł wstęp do ich domu, wchodził do niego w pewnym uroczystym na- stroju ducha, a zawsze w odświętnem ubraniu. Będąc już w przedpokoju, każdy starannie prze- glądał swą garderobę i najdrobniejszy pyłek z niej strzepywał. Będąc jeszcze na ulicy, każdy się liczył ze swemi siłami intelektualnemi i sto- sownie do tego czy był zdolniejszym do prowa- dzenia rozmowy o rachunkach lub o szaradach, o wierszach albo o kwiatach, stawiał się satelitą ojca, matki albo córki.

Każde z nich tym sposobem miało jakby dwór w koło siebie, a ponętą przywabiającą dwo- raków, zdawało się być teraz to, od czego przed- tem jawnie prawie stronili: matematyka, botanika i poezja.

Wielu ludzi zazdrościło im szczęścia, chociaż bardzo starannie zazdrość tę tajono; byli jednakże i tacy, co się serdecznie cieszyli ich niespodziewanem powodzeniem.

Do liczby ostatnich należeli ci wszyscy pomiędzy krakowską młodzieżą, na których Buzia choć raz jeden przychylnie okiem rzuciła. Każdy z nich był przekonany, że spadkowy milion jemu się dostać musi w postaci posagu; każdy przecież żałował, że nie miał wężu i że się choćby na tydzień, choćby na parę godzin przed śmiercią pana Cyprjana nie oświadczył. Mimo jednakże tego opóźnienia i obawy, że zbogacona nagle jedynaczka może się drożyć ze sobą zechce, żaden nie tracił nadziei, każdemu miłość własna podszeptowała, że współzalczników zwycięży.

Kiedy wieść o sukcesji doszła do pana Stefana Pogody, zatart ręce z radości i pobiegł co prędzej do przyjaciela.

— Antoni, zawołał wchodząc, daj mi słowo że sobie w łeb nie palniesz, bo ci inaczej nie nie powiem.

— Cóż takiego? — śmiejąc się zapytał przyjaciel.

— Niesłychana nowina!... nie miałaś przecucia... Kochała się w tobie, tyś jej nie chciał, bo nie miała nic... Odkochała się, pokochała się

we mnie, i ażeby się zemścić na tobie za nieczułość, została raptem miljonerką!...

— Kto?... Buzia?...

— Buzia, doprawdy Buzia! — potwierdził zacierając ręce Stefan.

— Zmiłuj się, kpisz Stefanie? — rzekł Antoni i przygryzł wargi.

— Nie kpię bynajmniej, owszem szczerze cię żałuję. Wojciech Błoniecki po ojcu, jakimś starym Harpagonie, co guił na złocie pod strychem, odziedziczył kilkakroć sto tysięcy reńskich.

— Kilka tysięcy reńskich, powiadasz?...

— Kilka kroć sto tysięcy, mówię, — ani o centa mniej.

— Tysiąc nocy i jedna! — nie dowierzając jeszcze rzekł Ochlicki.

— Masz rację... tysiąc nocy, a przynajmniej jedna z tysiąca, — prawil rozradowany Stefan. — Co za wyborną myśl miał ten stary, żeby zebrać taki wielki majątek...

— Prawda, że myśl nielada.

— I pomyśl, że ta dziewczyna kocha się widocznie we mnie, a notabene nie bez wzajemności.

— W tobie?... — spytał Antoni.

— We mnie. Wszak sam przyznałeś, że jej serce widocznie ku mnie się przechyla.

— Przeciwnie,—odrzekł zimno Antoni, — ja uważałem, że nie do ciebie, lecz do mnie się miała.

— Do ciebie?...—spytał z kolei Stefan.

— Tak, i to notabene nie bez wzajemności — odparł Antoni zgryźliwie, przedrzeźniając przyjaciela.

Stefan popatrzył na niego chwilę. Widział gniew w jego oczach! gniew ten przecież nie był dlań przvkrym, bo go wywołała zazdrość.

— Zazdrości mi, myślał, a kiedy zazdrości, widać że jest czego zazdrościć.

Przybrał poważną minę i rzekł:

— W takim razie jesteśmy rywalami.

— Możesz to nazwać jak ci się podoba, — odpowiedział opryskliwie Ochlicki.

Rozmowa się urwała, Stefan się zamyślił.

— Widocznie chce mi przeszkadzać i sam się wyforytować, mówił do siebie, a wojna z nim nie łatwa. On jest tak samo odpowiednią partją jak ja... No, ja może odpowiedniejszy, lecz czy to panny znają się tak dobrze na wewnętrznej wartości człowieka?... Jeśli z nim zerwę, a on widocznie chciałby tego, nie będę wiedział jego planów i mógłby mi figla wypłatać. Trzeba go zażyć z mańki, jak to mówią.

Tu pan Stefan ustawił się w uroczystej pozycji, rozpostarł ramiona i rzekł poważnym,

a nawet jakieś niezłe odegrane wzruszenie malującym głosem:

— Antoni, jesteś pocziwym chłopcem! chodź, niech cię uściskam!

Pan Antoni nie wiedział coby to wzruszenie znaczyć miało.

— Czyby mi panny chciał ustąpić, — pomyślał. — Nie!... to niepodobieństwo, choć po tym głupcu wszystkiego spodziewać się można... W każdym razie zgoda z nim nie zawadzi.. łatwiej go będzie wyprowadzić w pole.

Tak myśląc, powstał z krzesła, wydobył z repertoaru używanych uśmiechów jakiś dobrze zszarżany i nie mówiący, przybrał nim twarz i upadł w roztwarte ramiona pana Stefana.

— Bądźmy przyjaciółmi, Antosiu, — rzekł z uczuciem Stefan.

— *Soyons amis, Cinna*, — odpowiedział poważnie Antoni.

Chwilę trwało milczenie po tym uścisku, wreszcie Stefan znów zaczął:

— Uczono nas w szkole, jeśli nie zapomniałeś łaciny, że *clara pacta claros faciunt amicos*. Wszak przyznajesz słuszność temu zdaniu?...

— Najchętniej.

— A więc ułożmy nasze pakta i pozostaniemy przyjaciółmi. Daj mi rękę.

Antoni wyciągnął prawicę, Stefan uścisnął ją silnie i zaczął znowu:

— Kocham Buzię...

— A!... — przerwał Antoni.

— Poczekaj, wiem co chciałeś powiedzieć... i ty ją kochasz także.

— Kocham.

— Otóż widzisz, kochamy się w niej obaj. Kwestja jest postawioną na właściwym gruncie. Wiemy obydwaj z jakiego punktu wychodzimy.

— A raczej do jakiego dojść chcemy, — przerwał Ochlicki.

— To wszystko jedno... Teraz posłuchaj i przyznaj, czy nie mam racji... Rzeczą jest więcej niż niezawodną, że obadwaj jednej pauny dostać nie możemy.

— Jeżeliś to tylko miał powiedzieć, to zaprawdę nie bardzo nowe i nie bardzo oryginalne robisz spostrzeżenie.

— Tak, ale jest i drugie, — mówił niezrażony Pogoda; — przypuścić bowiem można, że nie dostaniemy jej obaj...

— A to dla czego?...

— Najprawdopodobniej dla tego, że sobie wzajem będziemy przeszkadzali... Gdzie idzie o posag, tam nie można być zanadto przewidującym; powinniśmy więc pamiętać, że jeden odkosz jest koniecznym, ale dwa odkosze są możliwe. Mam rację.

— Być może... a nawet tak jest... — przyznał Antoni; — w tej niebezpiecznej grze, jak w preferansie, obaj wistujący wpaść mogą.

— Widzisz więc Antosiu, że nam nasza przyjaźń potrzebna, dziś bardziej niż kiedykolwiek. Prawda, że gdy jeden z nas ją dostanie, to szczęście jego zamałcone będzie tą smutną myślą, że przyjacielowi los nie dopisał...

— Ta myśl mnie już z góry rozrzewnia, — wtrącił śmiejąc się Antoni.

— Ale, — kończył Stefan, — o ileż boleśniej-szem byłoby dla ciebie na przykład, gdybyś... czego nie przypuszczam... dostał odkosza, i nie miał na pociechę tej błogiej myśli, że twój przyjaciel jest szczęśliwym.

— Życzę ci szczerze, ażebyś doznał tej pociechy... wyznał otwarcie Ochlicki.

I to oświadczenie nie zbiło z tropu Stefana.

— Widzisz tedy, — mówił nie przerywając sobie, — że lepiej będzie, gdy zamiast przeszkadzać, pomagać spróbujemy jeden drugiemu.

— Ciekawym w jaki sposób, — zarzucił Antoni. — Czy pójdziesz może jako dziewczosław, prosiś o jej rękę dla mnie?

— Nie, o takich rzeczach nie mówię; ale rywalizujemy z sobą jak dwaj przyjaciele, i kiedy już skazani jesteśmy na współzawodnictwo, niechże ono godnem będzie tych związków, jakie od szkolnej ławy nas łączą. Jeśli ty ją dostaniesz, to ja ci pierwszy powinszuję.

— Szczerze, Stefanie?

— No, choćby nawet i z bolem serca; przekonasz się jednak, że ci nie będę podstawiał stołka.

— Prawda, że tu tylko o to chodzi.

— Otóż, widzisz Antosiu, w naszym wspólnym interesie leży, żeby i twoje postępowanie było takim samem względem mnie.

— Tak... tylko że ja tu bardzo wspólności interesu nie widzę, — odparł Antoni.

— Jakto? — tłumaczył Stefan, — idzie przecież o to, żeby nam się ten posag nie wymknął.

— Ba! jeśli ty go weźmiesz, to się wymknie mnie...

— Wiesz co Antoni, przychodzi mi myśl praktyczna... Moglibyśmy sobie zagwarantować coś za bezinteresowność. Rewalizacja niech będzie szlachetną: żadnych dołków, żadnych stołków, żadnej intrygi, a zato ten co weźmie pannę, temu co dostanie odkosza, wypłaci po ślubie dwadzieścia tysięcy reńskich. Damy sobie na to wzajem obligi, płatne po ożenieniu się z panną Bożenną Błonicą.

— Niezła myśl, przystaje! — rzekł pan Antoni.

Od tej rozmowy, która odbyła się w sam dzień śmierci pana Cyprjana, Ochlicki i Pogoda rozpoczęli wspólnie konkurencją o rękę wnuczki zmarłego na strychu milionera.

Konkurencja ta była oryginalną z tego względu, że obaj zakochani, w najlepszej z sobą będąc komitywie, trzymali się jednakowego sposobu postępowania.

Już na pogrzebie starca okazało się to podobieństwo zabiegów, ta osobliwa rywalizacja, która bynajmniej najlepszej harmoniji między współzawodnikami nie psuła.

W chwili gdy ciało zmarłego postawiono ponad otwartym grobem, gdy nad niem uproszony kapłan rozpoczął panegiryk pośmiertny, po obu stronach trzech osób składających nientoloną w żalu rodzinę, stali dwaj przyjaciele, jak dwie wierzby płaczące, a strój, ruchy i wyraz twarzy jednego, zdawały się fotografią ubrania, gestów i fizjognomji drugiego.

Po skończonej ceremonji, obydwaj jednomyślnie przystąpili do osieroconych i towarzysząc im do powozu, dobierali pocieszających wyrazów. Słowa jednego brzmiały tym samym minorowym tonem, jak rzewna drugiego wymowa.

Gdy po upływie sześciu tygodni, na urządzonem już wystawnie pierwszym piętrze własnego domu, państwo Wojciechostwo zdecydowali się przyjąć znajomych, najpierwszymi co przestąpili ich progi byli Stefan z Antonim, ujęci pod ręce.

Podczas zebrania, które z powodu żałoby nie nazywało się zabawą, choć było dosyć wesołem, co tylko zrobił pan Stefan, natychmiast naśladował pan Antoni, z czem tylko wystąpił Ochlicki, z tem samem zaraz odezwał się Pogoda. Naśladowanie następowało tak szybko po pierwowzorze, że jedno łatwo wziąć było można za drugie, a najłatwiej przypuścić jakąś nadzwyczajną

czajną i najdokładniejszą tożsamość uczuć i usposobień dwóch przyjaciół:

Gdy jeden zbliżał się do Buzi, drugi już musiał być przy niej. W chórze komplementów i grzeczności, jakimi zebrana młodzież karmiła uszy ulubienicy fortuny, dwa tylko głosy brzmiały zawsze *unisono*, — były to głosy Stefana i Antoniego.

Pani Wojciechowa na żaden sposób zrozumieć nie mogła, który z nich dwóch uważniej jej poezji słucha... Pan Wojciech się zdumiewał, że na to, o co jednego pytał, najczęściej dwóch odpowiadało.

Mimo tak rażącego podobieństwa wszelkich czynności, podobieństwa które każdego z dwóch przyjaciół czyniło doskonałym sobowtórem drugiego, widocznem było że obaj oni rywalizowali z sobą, obaj szalenie kochali się w Buzi. Grali wybornie, do złudzenia, komedję przyjaźni, a jeszcze lepiej, jeśli to było możliwe, komedję miłości.

Bożenna nie zwracała zrazu uwagi na tych Menechmów, którzy, gdyby im, jak bohaterom komedji Plauta, dać podobieństwo rysów twarzy byliby nie do rozróżnienia.

W sercu jej krwawiła się rana świeża. Oko jej łzawe patrzyło ciągle w jakąś dal mglistą,

w której się wznosiła świątynia dobra, piękna i prawdy... Za dłuższem wpatrywaniem się w tę budowę, płaszcz mgły rozdzierał się przed jej okiem i w świątyni tej spostrzegała na wyniosłym piedestale stojący posąg mistrzowskiego dłuta. Posąg ten miał rysy Zygmunta... Bożenna patrzyła weń okiem zachwyconem, długo, długo, aż do chwili, w której do świątyni wchodziła poważna, zimna, blada rzeczywistość, uchylała posagowych draperji, zrywała maskę piękna z twarzy i przerażonym oczom dziewczęcia ukazywała karłowatą postać, w larwie fałszu i obłudy, garbatą nędznem sobkostwem, brudem chciwości ohydłą.

Ze wstętem i zgrozą zamykała Bożenna oczy, a gdy po chwili otworzyła je znowu, stał przed niemi, jak wprzód, ów wyidealizowany, posagowy młodzieniec, na którego widok podnosiło się serce, oko pałało, myśl potężniała, usta od ptasząt majowych pożyczać chciały języka, aby śpiewać jego pochwały; a przecież ten wybraniec, po bliższem wpatrzeniu się w jego postać, znowu się tylko garbatym karłem okazywał.

Czuła w swem sercu coś, co ją ciągnęło do tej spodlonej, obrzuconej błotem postaci. Ile razy stanął przed nią w jej marzeniach Zygmunt, ty-

lekroć widziała go czystym, i dopiero pamięć, ta najtrudniejsza do przebaczenia uraz i najzawziętsza z naszych władz moralnych, musiała przywoływać i stawiać jej przed oczy krok, jakim ten ideał w jej pojęciu się pokalał, ażeby od obrazu w który spoglądała z rozkoszą, odwróciła załzawione oczy.

Pamięć jednakże pracowała nie nadarmo, rozum pokonywał chorobę wyobraźni, i powoli, powoli, Buzia patrzeć zaczęła na otaczający ją świat.

Na tym świecie. jak daleko okiem zasięgnąć mogła, krążyły postacie jedna do drugiej stereotypowo podobne, pospolite, zwyczajne, żadną wyższością nie nacechowane, postacie uśmiechające się wprawdzie do niej, gotowe na jej skinienie otworzyć ramiona lub zgiąć kolana, które jednak nęcić jej tą swoją gotowością do ubóstwienia nie mogły... Czemu?... bo na tej skwapliwości do służenia jej i składania hołdów ciążył ten sam grzech pierworodny, co na oświadczeniu się pana Zygmunta; bo ci wszyscy, co dziś zda się tylko na jej przelotny uśmiech czatowali, aby się do najśmielszych zachęcić nadziei i miłością niczem niepohamowaną zagorzeć, wszyscy ci adoratorowie, konkurenci i aspiranci, przed śmiercią pana Cyprjana nie okazywali bynajmniej symp-

tomatów tej gwałtownej gorączki, jaką sukcesja dopiero w nich rozwinęła.

Rozpatrując się dosyć długo w ludziach, którzy ją otaczali, ulegając wreszcie wpływowi rad matki, która usilnie ją namawiała, żeby swe serce chore na Zygimunta, rozsądkowi w systematyczną oddała kurację, — Buzia doszła nakoniec do tego, że rana jaką jej zadał bolesny zawód, powoli zablizniać się zaczęła, wymarzony ideał coraz się bardziej oddalał w jej pojęciu od osoby człowieka, w którym jej wyobraźnia pragnęła go mieć wcielonym, a przesuwające się przed oczyma postacie poczynają cokolwiek budzić interesu.

Gdy serce Buzi weszło w ten perjod rekonwalescencji, musiało ono wyróżnić z pomiędzy całego tłumu wzdyhaczy Antoniego i Stefana.

Dwaj konkurenci, będący zarazem nierozłącznymi i na oko bardzo serdecznymi przyjaciółmi, byli w istocie czemś niezwykle. Rywalizacja niepodkopująca przyjaźni, musiała naturalnie uderzyć wrażliwy umysł Buzi.

Zaczęła myśleć o nich.

— Obaj kochają się we mnie, — mówiła do siebie, jest to widoczne, choć może udane. Przypuśćmy że to udanie, że im pachnie majątek jaki spadł na rodziców moich po dziatku.

W takim razie ta mniemana ich miłość jest prostem wyrachowaniem, interesem. Tak, to jasne... Lecz znowu, proszę mi powiedziedzieć, jakim sposobem dwaj ludzie, którzy razem wyciągają rękę po jeden worek pieniędzy, a wiedzą że go podzielić nie będą mogli, jakim sposobem dwaj tacy ludzie, mogą pozostać przyjaciółmi?... To niepodobna... Trzeba zatem przypuścić, że ta miłość nie jest udaniem i że mama niestłusznie ich posądzała o polowanie na pieniądze.

W jakikolwiek sposób zaczęła rozumować Buzia, zawsze dojść musiała do tego wniosku:

— Pan Stefan i pan Antoni są nierozłącznymi przyjaciółmi; ja jestem, jak mnie zowią, miljonową panną. Starając się o mnie, starają się zarazem o miljon. Inaczej być nie może; czy ja, czy miljon głównym dla każdego z nich jest celem, każdy się starać musi o oboje. Gdyby to byli ludzie goniący za groszem, czyżby swą przyjaźń cenili drożej od miliona?... czyżby nie starali się potępiać i oczerniać jeden drugiego przedemną, ażeby poniżając współzawodnika, wywyżżyć siebie samego? Tak robią inni, czemużby oni tak robić nie mieli?... Jeżeli tak nie robią jak inni, to dlatego, że są lepsi od innych. Jeżeli przyjaźni nie poświęcają dla pieniędzy, to są bezinteresowni w przyjaźni, jakże ich o uda-

wanie miłości dla interesu posądzić?... Nie... to niepodobna.

Buzia niemało kłopotala się nad temi myślami.

Ile razy jakie złe przypuszczenie stanęło w myśli bohaterki naszej i podało w wątpliwość szlachetność dwóch rywali, tyle razy rozumowanie jej odpychało.

Trzeba przyznać że rozumowanie miało bardzo wiele do roboty, żeby wszystkie te złe przypuszczenia oddalić, bo się one w myśli często bardzo, nawet bez powodu, ot tak instynktownie jakoś, rodziły.

Instynkt nie był w zgodzie z rozumowaniem.

Nieraz, gdy już zważyła wszystkie *za i przeciw* i gdy szlachetność dwóch rywali wychodziła z analizy rozumowej zwycięzko, głos jakiś wewnętrzny nie chciał ufać jeszcze wnioskowi rozumu i uparcie mówił do niej:

— Wszystkie te wywody i wnioski mogą być tylko złudzeniem, pomysłką... Żeby dokładnie zbadać prawdę, należałoby koniecznie rozłączyć miłość od miljona; bo dopóki staranie o pozyskanie miłości, musi być koniecznie staraniem o pozyskanie miljona, kwestja czy to staranie jest

szlachetne, czy interesowne, nigdy nie będzie dosyć jasną.

— Ba! — odpowiadała Buzia temu wewnętrznemu głosowi, — taki rozdział mojej osoby z mojem położeniem, należy do liczby urojeń... O Boże! Boże! więc te pieniądze co mi dałeś, ten majątek, którego tylu ludzi mi zazdrości, to całe szczęście, które, jak powiadają, spadło na mnie, spadło tylko po to, żeby me serce przynieść kamieniem niepewności co do najdroższych uczuć, które są życia ozdobą!... Więc wolno mi jest kochać, wolno mi może być kochaną, tylko mi wiedzieć nie wolno że kochaną jestem!.. A!... co za fatalne położenie!...

I myśl zakłopotanej jedynaczki odbiegała od panów Antonich, Stefanów i wszystkich innych co do niej wzdychali, i puszczała się samopas w świat, daleko, goniąc za ideałem, który zdawał się jej przez chwilę wcielonym w postać Zygmunta; lecz zaledwie dobiegła do niego i wpatrywać się weń zaczęła, wnet cofała się znowu, drżąc, nieośmielona, z opadłemi skrzydłami.

Czas na wszystko jest lekarzem, i jak każdy wolnopraktykujący lekarz, najlepiej leczy choroby, które się nie mogły rozwinąć nim go wezwano. Co do chorób zadawnionych, chronicznych, jest on również dzielny medyk i wyleczył-

by z nich niezawodnie, gdyby życie człowieka nie było tak krótkiem, a siły jego żywotne tak ograniczone.

Miłość Buzi dla Zygmunta nie miała jeszcze sposobności rozwinąć się i spoteżnić, gdy nagle rozczarowanie i odjazd Starży, czasowi oddało ją w kurację. Kuracja tedy skutkowałą.

Myśl pacjentki coraz rzadziej puszczała się w obce kraje za Zygmuntem, i z tych coraz rzadszych wycieczek powracała z mniejszą boleścią. Było to już ważnym symptomatem, zapowiadającym wyzdrowienie.

Buzia powoli zaczęła patrzeć na pana Antoniego i Stefana, jako na ludzi pełnych bezinteresowności i szlachetnych uczuć; ów głos instynktowy, który temu zaprzeczał, odzywał się coraz ciszej: — był to symptom jeszcze ważniejszy.

Najważniejsza wreszcie oznaka rekonwalescencji, pozwalająca ufać, że niebezpieczeństwo minęło, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na długo, objawiła się także.

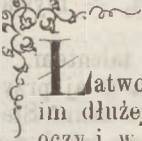
Buzia zadała sobie pytanie: który też z dwóch, pan Stefan czy pan Antoni, jest bezinteresowniejszym i szlachetniejszym?...

Potrzeba było tylko, żeby jeden z dwóch młodych ludzi uderzającym wyobrażnię czynem odpowiedział na to pytanie, a walka byłaby skoń-

czoną, i Buzia zgodziłaby się może słodką nagrodę tego turnieju uczuć przyznać zwycięzcy, bez utracenia nawet szacunku i sympatji dla zwyciężonego.

Do takiego wypadku walki potrzeba było przecież, żeby uczucia, które w niej występowały w zapasy, nie były kłamstwem i udaniem.

VII.

 Latwo się domyślić, że Ochlicki i Pogoda, im dłużej byli zniewoleni udawać przyjaźń za oczy i w oczy (starali się bowiem nawet siebie wzajem przekonać, że dołków pod sobą kopać nie myślą), tem się serdeczniej nienawidzili. Nienawiść, krępowana przyzwoitością lub interesem, wzmaga się właśnie przez to, że wybuchnąć nie może; jest ona jak ów ogień we wnętrzu ziemi, którego istnienia nawet domyślić się nie byłoby podobna, gdyby niekiedy, wrąc i szalejąc w ciasnej swej klatce, ścian tej klatki nie rozrywał.

Przez cały ciąg konkurencji, która trwała przez wiosnę i lato, wzajemna nienawiść dwóch serdecznych przyjaciół nie rozerwała jeszcze trzymającej ją w swych pętach powłoki, którą była obawa utraty miliona. Rozum górował nad namiętnością i osiodłał ją tak dalece, że przez pół roku żaden z dwóch współzawodników nie dopuś-

cił się kroku, któryby drugi za intrygę przeciw sobie skierowaną mógł poczytać.

— Ten głupiec myśli, że ja go naprawdę jak kota od mleka nie odsadzę, — mówił do siebie zadowolony ze swej taktyki Stefan.

— Miałem go za przebieglejszego, a on uwierzył że ja tak bez skrzywienia przyjmę głupie dwadzieścia tysięcy, zamiast miljona, — myślał również kontent z siebie Antoni.

Obaj grali komedję z wysokim talentem.

Nadeszła jesień, i jednego dnia dwaj przyjaciele znajdowali się razem w mieszkaniu Stefana. Rozmowa, która im dawniej szła tak żywo, teraz urywała się co chwila. Widocznie mieli coś ważnego u siebie.

Jedną z dłuższych chwil takiego milczenia przerwał Stefan.

— Wiesz Antoni, — rzekł do przyjaciela, — mnie się zdaje że warto naszą partję rozegrać.

Wyrażenie to nie potrzebowało komentarzy dla Ochlickiego. Wiedział on równie dobrze jak Pogoda, że ich konkurencja była grą hazardową.

— W istocie, — odrzekł, — gra djabelnie długo się ciągnie.

— A więc.... oświadczmy się.

— Myślałem już nieraz o tem, — odpowiedział Antoni, — tylko że....

— No, coś?..

— Bo widzisz, obaj razem oświadczyć się nie możemy, a ten co się pierwszy oświadczy, ma daleko więcej szansy... Panny wybadać niepodobna... Zdaje się, że żadnemu z nas nie daje dotąd stanowczo pierwszeństwa... Rodzice również i dla ciebie i dla mnie nieźle są usposobieni.

— A dlaczego by nie oświadczyć się razem?..

— zaprojektował Stefan.—Ja na przykład oświadczyłbym się pannie, a ty rodzicom tegoż samego dnia, o jednej godzinie... albo ty pannie a ja rodzicom...

— Nieźła myśl... tylko że w takim razie możemy być obydwaj przyjęci.

— Nie przypuszczam tego, — odrzekł Pogoda.—Już to tam w rodzinie muszą istnieć układy na każdy wypadek... Wszak chyba ślepy nie poznałby, że my się obaj formalnie staramy... Ale gdyby nawet nas obu przyjęto, to się przecież rodzice z córką ułożyć będą musieli, i jeden z nas dostanie.. dwadzieścia tysięcy reńskich.

— Zgoda, — przystał Ochlicki.—Więc ko muż tybys się chciał oświadczyć?..

— Ja?... doprawdy, to mi wszystko jedno... Niech więc będzie pannie, — odrzekł Stefan, z nieźle udaną obojętnością.

— A!... — kwaśno odpowiedział Antoni,—przyznam ci się, że i ja bym wolał pannie.... i

bynajmniej nie powiem, że mi to wszystko jedno. Kiedy więc dla ciebie to obojętne.... to ty się oświadczyć rodzicom.

Stefan przygryzł wargi.

— Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, — rzekł po chwili, — to i ja się rozmyślałem inaczej... i ja wolę oświadczyć się pannie... inaczej szansa nie byłaby równa.

— Ułożyliśmy przecież, że się jeden oświadczy pannie, drugi rodzicom; jakże więc będzie?..

— Ja nie wiem, — niechętnie odpowiedział przyjaciel.

Znów długie, przykre nastąpiło milczenie.

Tym razem przerwał je Antoni.

Wszak nie odstępujesz od danego mi słowa, że rywalizacja nasza będzie tak honorową, jak każda gra uczciwa?..

— Nie, — odpowiedział Stefan bez wahania.

— A więc podam ci sposób wybrnięcia z trudności. Ot, zdajmy się na los, niech on rozstrzygnie kto ma pójść do panny, a kto do matki lub ojca.

— W istocie, to oryginalne, — rzekł Stefan, — pociągnijmy węzełki.

— Przy kim zostanie węzełek, ten pójdzie do panny.

— Zgoda,

Stefan wyjął chustkę od nosa, zawiązał na jednym roku węzelek, ukrył go w dłoni tak, że końca od niego wcale widać nie było, dwa zaś inne rogi, na których nie było węzełków, wysunął.

Było to szachrajstwo w grze... przyznać należy pierwsze, jakiego się pan Stefan w swem życiu dopuszczał, ale jak na pierwsze, bardzo zręczne, bo go się Antoni nie domyślił.

Sumienie zrobiło graczowi jakąś przelotną co do tego czynu uwagę.

— W grze o milion wszystko uchodzi, — odpowiedział mu w duchu Stefan i dał Antoniemu dwa rogi do wyboru.

Ochlicki pociągnął i wysunął naturalnie róg bez węzełka.

Stefan szybko wypuścił chustkę z ręki. Udało mu się.

— Ty więc oświadczasz się rodzicom, — rzekł do Antoniego.

— Tak... a ty pannie, — kwaśno odpowiedział przyjaciel.

— Stało się!... więc dziś wieczorem.

— O! dziś wieczorem jeszcze nie.

— Przyznaj że w grze o tak grubą stawkę, — rzekł Stefan, — honor wymaga, żebyś mi powiedział o powodzie tej zwłoki.

— Z miłą chęcią, — odpowiedział bardzo niechętnie Antoni. — Muszę się przygotować do tak ważnego kroku i postarać o jaką poezję odpowiednią.

— A!... więc uderzysz do matki?...

— Do matki.

— I rozpoczniesz oświadczyzny od wierszy?..

— Tak... za parę reńskich dostanę od Dziadziakiewicza jaką wyborną odę okolicznościową. Do pani Błonickiej iść bez wierszy, to tak jak do szturmów bez armat.

— Rzeczywiście. A zatem, kiedyż oświadczyzny?...

— Za trzy dni.... dzisiaj wtorek, więc w piątek.

— Zmiłuj się, — zaprotestował Stefan, — piątek!... to feralny dzień!...

— Co?... i ty w takie głupstwa wierzysz?
— roześmiał się przyjaciel.

Stefan odpowiedział poważnie:

— Nie śmiej się, Antoni... tam gdzie idzie o miljon, wierzę we wszystko, nawet w strachy, nawet w kabałę...

— No, to ja tak przesadnym nie jestem. A nawet dowiodę ci, że to głupstwo.

— Ciekawym jakim sposobem?...

— Bardzo prostym... Gramy z sobą w dzień feralny, jeden wygrał, a drugi przegrał... dla czegoż dzień feralny dla jednego był szczęśliwym, a dla drugiego....

— Ba!... — odparł Stefan, — to przykład dobry, ale nie na swoim miejscu...

— Czemu?...

Bo tu obaj przegrać możemy.

— Ach! prawda! — zawołał uderzając się w czoło Ochlicki, — więc nie w piątek ale w sobotę.

— Zgoda... w sobotę będę gotów, — odpowiedział Stefan, a teraz pozwól, że cię pożegniam....

— Śpieszy ci się, — podchwycił Antoni, widząc że i ty przygotować się myślisz.

— Może, — odrzekł sucho Pogoda.

— W jakiż sposób?

— Zdaje mi się, że to dla ciebie obojętnem być powinno.

— Tak... jest to dla mnie najobojętniejsze, — usprawiedliwiał się Ochlicki, — tylko że, widzisz, kiedy ja ci powiedziałem jaką bronią chcę walczyć, wypada według przepisów uczciwej gry...

— A!... masz słuszność Antoni; więc przed tobą tać nie będę, że i ja się także postarać muszę

o jaką osobliwość ogrodniczą... Do panny Buzi zawsze łatwiej z kwiatkami...

— Rób jak chcesz, mnie to zupełnie wszystko jedno i jak przyrzekłem, pierwszy ci powinszuję gdy mnie zwyciężysz.

— Ja podobnież.

Dwaj przyjaciele podali sobie ręce i tak się silili obydwaj, żeby mocnym uściskiem dowieść szczerości swoich uczuć, że aż im obu wykrzywiły się twarze.

— Złapałem — go! mówił do siebie wesoło Stefan, wychodząc na ulicę.

— Chyba bym nie był Ochlickim, żebym mu stołka nie przystawił, — myślał Antoni, ledwie się drzwi za przyjacielem zamknęły.

W chwilę potem pan Antoni się ubrał i poszedł do Dzidziakiewicza.

Kryspin Dzidziakiewicz był poetą brukowym krakowskim. Był to jeden z tych ludzi, którym sama natura dała jakąś zdolność do wierszowania, na których czaszce Gall odkryłby zapewne dwa jakie rymujące guzy, lecz którzy tlejącą w duszy iskierkę talentu zagasili życiem lekkim, pustem, zmarnowaniem, sztukę zrozumieli jako rzemiosło, a za cel wszystkich zabiegów położyli sobie zrazu zadowolenie żołądka i gardła, później zaś już tylko samo zaspokajanie nałogowego pragnienia,

Przed dwudziestu laty, zeszedłszy ledwie z ławy szkolnej, Dzidziakiewicz miał swoje świetne czasy. Kilka jego wcale niezłych wierszyków wydrukowały pisma i pisemka zbiorowe krakowskie i lwowskie, wiele innych okolicznościowych krążyło w odpisach i lekką treścią a zgrabnem obrobieniem zabawiało towarzystwa. Dzidziakiewicz zrazu poił się tą drobną sławą i nadymać się zaczął, jakby już był wielkim w istocie. Potem rozgłosu było mu już za mało, zapragnął pieniędzy i zaczął fabrykować rymy na cześć bogatszych, aby od nich podarki wydłubać. Z początku przynosiło mu to dochód dość znaczny, za pracę stosunkowo żadną. Za zyskane tym sposobem pieniądze zaczął tedy hulać i pić. Później, gdy już wszystkich co dać mogli wyeksploatował, datki zinniejszać się zaczęły, a pociąg do hulanki i pijatyki codzień się zwiększał. Wreszcie ody na cześć wielmożnych często odrzucano i niekiedy tylko mógł wpłynąć z tego źródła jaki reński, lub kilkadziesiąt a nawet kilkanaście centów. Nie wystarczało to na uraczenie siebie samego, tak jak się lubił raczyć wierszorób. Nieraz noc przespać musiał na trzeźwo, a w jednej z takich nocy ujrzał przed sobą czarną przyszłość i postanowił jej uniknąć, nie pisząc już więcej panegirycznych wierszy, chyba w razie przyjazdu do Krakowa jakiego niewyeksploatowanego dotąd pana, nato-

miast zaś biorąc się do pracy. Pracą tą było pisywanie na obstalunek listów, prośb, wierszy nawet, cena zaś wszystkich tych wyrobów stosowała się nie do rozmiarów lub trudności obrobienia, lecz do możliwości zamawiającego.

Dochód z tego rzemiosła, bardzo często wykonywanego w szynkowanych izbach, był tak mały, że choć wino tanie w Krakowie, nie mógł jednak na nie wystarczyć; zastąpił je więc prostą wódką, i tak pędził dalej życie znany całemu miastu i o nie jednej tajemnicy miejskiego żywota z referatów swoich wiedzący Kryspin Dzidziakiewicz.

Do tego to wieszczę przyszedł Ochlicki, oznajmiając mu, że potrzebuje wiersza oświadczającego matce miłość jego dla jej córki.

— Niech tylko będzie dobry, a już ja nie źle zapłacę,—mówił.

— Ile? — spytał rymotwórca.

— Cztery reńskie.

— Za cztery reńskie piszą się wiersze dla lokai z pałacu Jabłonowskich,—odrzekł Dzidziakiewicz — od pana najmniej pięć mieć muszę. Jeżeli się pan drożej cenisz, to pan da dziesięć lub piętnaście... ja nie bronię, ale od pięciu nie ustąpię.

Był to właściwy Dzidziakiewiczowi sposób wbijania w dumę swojej klienteli. Zdarzało się, że niekiedy wcale nieźle wychodził na tego rodzaju

impertynencjach, czasem jednak zmywano mu za nie głowę, co znosił bardzo potulnie.

Nie wiemy czy panu Ochlickiemu bardzo to pochlebiało, że był aż o reńskiego droższy od lokaja z pałacu Jabłonowskich, dość że przystał na pięć i nie otaksował się wyżej.

— A długie to być ma?—pytał Dzidziakiewicz.

— Ile możności krótkie.

— Dobrze... a czy to ma być sonet, akrostych, madrygał, rondo, tryolet, śpiewka, oda, balada, dytyramb, epigramat?... U mnie panie wszystkiego dostać można.

Antoni się zamyślił przez chwilę, a gdy sobie przypomniał, że pani Błonica przygotowywała do druku tom sonetów, odpowiedział:

— Niech będzie sonet.

— Dobrze, proszę o reńskiego zadatku, poemat będzie na czwartek rano.

— Ależ nie poemat, tylko sonet,—przypomniał Ochlicki.

— Sonet jest, proszę pana, także poematem,—odpowiedział na to Dzidziakiewicz.—Wie pan co, ja bym panu dał z parę lekcyj poetyki po reńskim, to byś pan na drugi raz nie mówił, że sonet nie jest poematem.

Pan Dzidziakiewicz powtórnie okazał się niezbyt delikatnym. Taki już był jego zwyczaj: z rana niekiedy bywał potulny, gdy dzień poprzedni

nie bardzo mu dopisał, lecz po południu kto tylko od razu ostro się nie postawił, mógł być pewnym, że go język Dzidziakiewicza nie oszczędzi. Zeszedłszy nawet do tak podrzędnego stanowiska jakie zajmował, Dzidziakiewicz dumnym był jeszcze ze swej roli, podnosił głowę wysoko, ilekroć jej pijaństwo pod karczemną nie zważyło ławę i używał jak rozumiał przywilejów talentu, był bowiem przekonany, że ta odrobina rymotwórczej rutyny, którą się posługiwał, była pierwszej wody talentem.

Naturalnie, że Dzidziakiewicz nie wziął się tego samego dnia do pisania sonetu, wprzód bowiem trzeba było reńskiego przepuścić przez gardło.

Tym razem odłożenie roboty wyszło wierszoklecie na dobre. Gdyby był siadł zaraz do stolika i zamówiony sonet napisał, praca nie zdała by się na nic i trzeba by ją było przekreślić. Na-
zajutrz bowiem rano, zaledwie wieczorna libacja wyszumieć zdołała z głowy Dzidziakiewicza, do brudnej izdebki, zajmowanej przez niego w jakimś mizernym zajeździe na Kleparzu, wszedł elegancki pan Stefan i długą miał z nim konferencję.

Co na tej konferencji uradzono, to się na czas jakiś domyślności czytelnika zostawia; dość że gdy przyszło do ugody pieniężnej, która była częścią nieodzowną wszelkich narad z Dzidziakiewiczem, i gdy pan Stefan zapytał handlarza

końcówek, ile mu się będzie należało za zrobienie żądanej przysługi, Dzidziakiewicz nie mówił nic o lokajach w pałacu Jabłonowskich, tylko zaśpiewał z góry:

— To gruby interes, panie. Jeżeli pan Ochlicki porywczy, a wygląda na takiego, to podobna sprawka kijem pachnie... kijem szpikowanym sękami. Pytasz pan o cenę mojej skóry?... nie oddam taniej jak za sto reńskich...

Stefan znał lepiej charakter Dzidziakiewicza jak Antoni. Usłyszawszy tę cyfrę, zerwał się, kapelusz nasadził na głowę i nie oglądając się, wyszedł.

Już był na schodach, gdy wierszorób puścił się za nim.

— Pięćdziesiąt... dwadzieścia pięć.. trzynaście, siedem... Jakem żyw, taniej jak za siedem nie mogę.

Usłyszawszy cyfrę siedem, Pogoda zatrzymał się.

— A wróćże pan nareszcie,—wołał poeta,—od siedmiu centa nie odstąpię, moje kości także coś warte.

— Dam pięć, — targował się Pogoda.

Dzidziakiewicz już był przy nim i ciągnął go za połę do siebie.

— Tak tanio duszę gubić!.. zlituj się pan... i to jeszcze moja!... stary djabeł dałby więcej na cyrograf.

— Ja nie dam.

— Przecież to nadużycie zaufania... ogromna przysługa.

— Coż znów za nadużycie zaufania!... ot, prosty figiel przyjacielski.

— No, niech będzie i za pięć, kiedy figiel... tylko jak zechcę moje plecy w jakiej kompanji ubezpieczeń zaasekurować, to mi więcej każą zapłacić. Zgoda na pięć, byle z góry.

— Z góry, z góry, — przystał Stefan, dając mu banknot pięcioreński; — tylko pamiętaj, natchniony Kryspinie, że jeśli nie dotrzymasz słowa, to już lepiej na prawdę zaasekuruj swoją osobę... Ja bez łaski nigdy nie chodzę.

Po takim pożegnaniu, Dzidziakiewicz schował pięć reńskich do kieszeni, siadł do stolika i zaczął pisać, ale nie pisał sonetu, tylko najrozmaitsze krótkie zdania, liczył w nich litery i kreślił, mrużąc pod nosem:

— Aż dwadzieścia jeden... przeholowałem.. dziewiętnaście... i to zawiele... siedem, to dopiero połowa... szesnaście... jakby z parę wyrzucić?... Natchnienie mi coś dziś nie służy!... pokrzepić je trzeba.

Sięgnął do szafki, gdzie stała w większej połowie już wypróżniona butelka; kieliszka nie było pod ręką, lecz nie mozolił się nad szukaniem go, wprost szyjkę do ust przyłożył i z niej zaczerpnął pomysłu.

Pierwsze wyrażenie jakie napisał miało trzynaście liter.

Jednej brak... no, lecz o jedną łatwo... zamiast *miljona*, napiszę *miljonka* i będzie jako tako...

Zadowolony tym pomysłem, zabrał się do napisania sonetu, który ciężej mu nieco szedł niż zwykle, i nie dziwnego, miał bowiem zadowolić sprzeczne życzenia dwóch rywali...

Stefan tymczasem szukał osobliwości ogrodniczej.

Poszukiwanie było dość trudne, ale czegoż nie dokaże wytrwałość, ożywiona żądzą zdobycia miliona!.. Nad wieczorem już pan Stefan był na tropie znalezienia czego szukał, to jest czegoś co by ująć mogło za rzadkie w oczach panny, której od pół roku tyle już osobliwości botanicznych naskładano w podarku.

We czwartek rano pojechał do Krzeszowic; tam znalazł jakiegoś amatora cudów Flory, od którego, przy pomocy sutego śniadania i sutszych jeszcze obietnic, dostał osobliwość nad osobliwościami... kwiat z Sumatry, kwiat, którego

okaz, jak utrzymywał właściciel, był jedynym w Europie, a którego piękność przewyższała wszystkie dotychczas w ogrodach Europy widywane piękności...

— Gdyby z tych pochwał choć czwarta część była prawdą już by to był skarb wart stokroć tyle, co mnie kosztuje, — myślał p. Stefan.

Kwiat ów miał swoją długą i arcyciekawą historję. Pierwszy jej rozdział opowiadał, jakim sposobem dostał się z Sumatry na okręt odpływający do Europy; drugi traktował o przybyciu jego do Antwerpji; w kilku następnych rzecz była o różnych peregrynacjach, jakie z Antwerpji odbywał po Europie; ostatnie poświęcone były opowiadaniu, jakim sposobem doszedł do rąk obecnego właściciela, który go wspaniałomyślnie, za śniadanie i obietnice, odstąpił panu Stefanowi, przyjacielowi jednego ze swych przyjaciół.

Długiej tej historji opowiadać nie będziemy, dla tej prostej przyczyny, że nie moglibyśmy za jej autentyczność zaręczyć. Nie byliśmy na Sumatrze, w peregrynacjach po Europie spotkaliśmy się z nim raz w Dreźnie, z kąd wiemy, że przez Dreźnie przybył do Krakowa. Przyglądaliśmy mu się z cziłą należą jego historji, chociaż historja wydawała się mytem. Mamy wielką słabość do mytów.

Cudowny kwiat z Sumatry, ażeby mógł tak długie odbywać podróże, nie był naturalnie w rozkwicie, lecz w zarodku.

Wyglądał jak prozaiczny kartofel (ziemniakom i bulwom czyni zaszczyt to podobieństwo), obłożony starannie ziemią z wyspy ojczystej i umieszczony w pudełeczku drewnianem...

Osobliwość, na oko, nie bywa wcale osobliwą. Był jednak dołączonym do niej rysunek kolorowany, przedstawiający ją w całej okazałości rozkwitu.

Przyszedłszy do posiadania tego skarbu, pan Stefan powrócił do Krakowa i natychmiast pospieszył do Ochlickiego.

— Patrz, Antosiu, — rzekł słodkawym głosem, — patrz jaką mam osobliwość...

I rozpoczął opowiadanie historii czy legendy o kwiatku.

Ochlicki bacznie okiem przyglądał się nabytkowi współzawodnika... Zdawało się, że mierzył wielkość, wbijał sobie w pamięć kształt i upakowanie rzadkości botanicznej. Za to opowiadania o jej losach słuchał tylko jednym uchem.

— Szczęście ci sprzyja widocznie, — rzekł sucho, gdy Stefan skończył.

— No, a jakże tobie, Antoni?... Dzidzia-kiewicz dotrzymał słowa?...

— Dotrzymał.

— Pokaż że mi te sławne wiersze?...

— O!... takiś ich ciekawy? — odezwał się Ochlicki.

— Daruj,—odrzekł na to Pogoda,—że tak ci odpowiem, jak mi odpowiedziałeś przedwczoraj. Kiedy ja ci pokazałem moją broń, wypada...

— A! a! dobrą masz pamięć i wielki jesteś formalista... Nie nie szkodzi!... przeczytam ci, pokażę, możesz nawet przepisać jeśli chcesz.

-- Są one dla mnie obojętne; wymagam jednak od ciebie szczerości, bo sam jestem szczery we wszystkim, usprawiedliwiał się Stefan.

Antoni pokazał arcydzieło Dzidziakiewicza.

— Wybornie!.. — zawołał Stefan, zaledwie rzuciwszy na nie okiem.

— Jakto? przeczytałeś tak prędko że już chwalisz?—podchwycił Ochlicki.

— Nie... to jest... — zająkał się Pogoda, — tylko poznałem od razu, że to sonet. Pani Wojciechowa lubi sonety,

— Więc dobrze się wybieram?...

— Doskonale, winszuję ci.

Gdy się rozeszli dwaj przyjaciele, p. Stefan zacierał ręce i wołał:

— Mam go!

A pan Antoni tarł ręką czoło i mówił do siebie:

— Muszę go mieć!..

Dzień następny, piątek, był wigilią dnia oświadczyn.

Zrana o dziesiątej pan Antoni przyszedł do Stefana. Pogoda o tej porze nie bywał w domu, tym razem jednak Ochlicki zastał go, a zastawszy, skrzywił się.

Po kwadransie obojętnej rozmowy rozstali się dwaj ludzie, którzy nazajutrz spotkać się mieli w starciu o miljon. Ochlicki, wychodząc, zřecznie porzucił w jednym z kątów pokoju swój pugilares.

O pierwszej pan Stefan miał zwyczaj wychodzić na obiad do Heurteux'go w Saskim hotelu, tym razem jednak spóźnił się o kwadrans, i właśnie biorąc za klamkę zobaczył Antoniego przychodzącego powtórnie.

Ochlicki zmarszczył się znowu, widocznie było mu to nie na rękę.

Stefana uderzyły te dwie wizyty w jednym dniu.

— Czego on może chcieć?... czy aby czego nie knuje,—myślał.

Ale Antoni od razu rozproszył tę obawę.

— Wiesz Stefanie. — rzekł do niego, maskując swe niezadowolenie,—stała mi się śmieszna przygoda...

— Jakaż to?

— Zgubiłem wiersze Dydziakiewicza.

— Och!—zawołał Stefan z niekłamanem tym razem nieukontentowaniem, — to źle.

Po chwili przecież opamiętał się i dodał:

— Nic straconego... poeta musi mieć bruljon.

— Zapewne, — odrzekł Antoni, — zawsze to jednak nie miło; nie wiedzieć w jakie ręce wpaść mogły..... Czym czasem nie zostawił u ciebie pugilaresu?

Zaczęli szukać i naturalnie Ochlicki znalazł swą zgubę. Mimo to jednak, rozstawszy się z Pogodą, był zły.

— Żeby to wszyscy djabli wzięli, — klął w duchu, już drugi raz go zastaje!.. Dobrze żem sobie pretekst przygotował, bo mógłby się czego domyśleć.

Nad wieczorem Antoni po trzeci raz spróbował szczęścia.

— Janie, jest pan? — zapytał wchodząc służącego.

— Nie ma, — była odpowiedź, — nie wróci aż o jedynastej.

— Muszę wejść do pokoju i zabrać jedną książkę, co mi potrzebna.

— Niech pan będzie łaskaw.

Antoni zbyt był dobrze znajomym służącemu Stefana, ażeby go miał podpatrywać, pozostał więc sam w pokoju.

Szybko i bacznie zaczął rozglądać się po mieszkaniu przyjaciela i po krótkiem poszukiwaniu, znalazł pudełko z kwiatem z Sumatry.

Zrobił z tem pudełkiem jakąś tajemniczą manipulację, coś wyjmował z kieszeni i coś do niej wkładał, a nareszcie, po ukończeniu tej niezbyt długiej czynności, ustawił je napowrót na swym miejscu, starannie uważając, żeby stało najzupełniej tak samo jak je zastał.

Wychodząc, rzekł do Jana:

— Lubisz miód?...

— Lubię, co prawda, to nie grzech, proszę Pana — odpowiedział Jan.

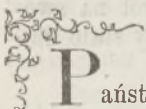
— No, to masz tu reńskiego, napij się.

Nie czekając podziękowań za tak hojny i nie zwykły datek, Ochlicki wyszedł na ulicę i aż podskakiwał z zadowolenia.

— Udało się wybornie!... Jan się spije i zapomni że byłem... znam ja go dobrze. Złapałem cię, Stefanku.

Takie były przygotowania obustronne do sobotniej walki.

VIII.



Państwo Wojciechostwo, ani ich córka, nie przewidywali bynajmniej scen, jakich nowonabyty ich dom na zwierzynieckiem przedmieściu miał być w owę sobotę widownią.

O godzinie dwunastej w południe dwaj rywale, jeden zbrojny starannie przepisany wierszem Dżidziakiewicza, drugi z pudełkiem zawierającym dziwo, jakim przyroda uposażyła Sumatrę, ująwszy się pod ręce, szli przez Zwierzyniecką ulicę i układali się jeszcze o drobniejsze szczegóły swojej uczciwej gry, na przykład o to, którymi drzwiami który do domu państwa Wojciechów miał wchodzić.

Gdy stanęli przed domem, rozłączyli się. Pan Antoni poszedł jednemi drzwiami, Stefan drugimi; pierwszy kazał się prowadzić do pani domu, mówiąc że do niej ma interes osobisty, drugiego wprowadzono do salonu.

Było to po raz pierwszy od czasu iak zawarli kontrakt o Buzię, że dwaj przyjaciele nie razem przestępywali progi domu państwa Wojciechostwa.

W salonie znajdowała się Buzia, nie przy fortepianie, ani też z książką w ręku, nie z robotką lub nad krosienkami, lecz po prostu na krzeselku przy oknie, ze wspartą na ręku główką, której tłoczącym się gromadnie myślom wolny bieg dawała.

Czy była piękną w tej zadumanej postawie? nie obchodziło to bynajmniej wchodzącego Stefana. Za to ona widząc przed sobą jednego tylko z nierozłącznej dwójki, nie mogła na to nie zwrócić uwagi.

— A! dzień dobry panu, — rzekła wstając, i dodała niezwłocznie: — a pan Ochlicki czy nie chory przypadkiem?

Stefanowi nie bardzo się spodobała ta troskliwość o rywala.

— Zdrow, pani, — odrzekł, — dziś jednak wolałem przyjść bez niego... Są dni tak uroczyste w życiu, że ich świętości nawet z prawdziwym przyjacielem dzielić się nie chce, bojąc się ją sprofanować.

W myśli Bożenny przedstawiło się pytanie:

— Dla czego to dzisiaj dzień taki uroczysty dla pana Stefana?

Chwilkę zastanowiła się nad tem pytaniem, nie uważała jednak za właściwe w tym przedmiocie głosu zabierać. Milczała, czuła przecież, że jej serduszek czegoś niepokoić się zaczynało.

Głos pozostał przy panu Stefanie.

— Przynoszę pani osobliwość, — rzekł, wyjmując z kieszeni pudełko, — kwiat niezwykły, kwiat z wyspy Sumatry, nieznany dotąd w Europie, kwiat mający ciekawą historję, kwiat symboliczny.

I rozpoczął pan Stefan opowiadać w skróceniu dzieje kwiatka, opisywać jego piękność, przedstawiać rzadkość, wyliczać zalety, a wreszcie oddał jej rysunek.

Buzia przypatrywała się rysunkowi i słuchała dość uważnie opowiadania, chociaż jej przeszkadzało znowu toż samo pytanie, tym razem jednak w kategorięczniejszej przedstawiające się postaci:

— Dla czego dzień wręczenia mi tego kwiatka ma być aż taką uroczystością?..

Przyszła nareszcie kolej na określenie symbolicznego znaczenia owego kwiatu z Sumatry. Pan Stefan nie zanieczywał tego uczynić, chociaż posądzamy go bardzo, że cała ta symbolika była jego pełnym twórczości pomysłem.

— Kwiat ten ma barwy płomienne, jak miłość prawdziwa... kwitnie raz i jeden, jak miłość,

która w sercu raz jeden się rodzi. Ztąd kwiat ten na Sumatrze jest godłem miłości... Prosty, w kolebce jeszcze pod względem cywilizacyjnym zostający mieszkaniiec tamtych krain, gdy chce wybrance swojej ofiarować serce, składa jej kwiat ten jako symbol uczuć prawdziwych. Pani!... mnie uderzyła głęboko piękność tego niewinnego zwyczaju, i dziś, gdy serce moje uczuło tego żywą potrzebę, ośmielałam się zapytać, czy mi pani pozwoli złożyć jej w darze ten kwiat w tej samej myśli, jaką dar podobny wyraża w jej dalekiej ojczyźnie.

Tu Pogoda zatrzymał się. — Cekał.

Pudełko stało przed Buzią i zdawało się również oczekiwać odpowiedzi.

Bohaterka nasza nie od razu przecież ją wyrzekła.

Gdy usłyszała, że słowa Stefana były formalnem, w elegancką, a nawet poetyczną formę obłożonem oświadczeniem, zapragnęła zebrać myśli, lecz było to próżne usiłowanie.

Błąkały się one daleko, daleko... Stała wśród nich załzawiona postać Zygmunta, z błagalnie złożonymi rękami... One krążyły koło niego i przywołać je do porządku biednemu dziewczęciu było trudno.

Milczała.

—Pani!—rzekł nareszcie pan Stefan, przygotowany prędzej na odpowiedź odmowną, niż na zagadkowe milczenie, — pani! ta chwila jest chwilą nadziei i obawy, najcięższą w życiu do przebycia. Czyż zechcesz ją przedłużyć?... Pozwól mi raczej cieszyć się myślą, że nie odepchniesz mej ofiary.

Buzia machinalnie sięgnęła ręką po pupelko: — pan Stefan był u szczytu szczęścia, brał to bowiem i miał prawo brać za przyjęcie swego podwójnego daru.

Już miał paść na kolana, i ten ruch bowiem obmyślił zawczasu, już miał patetycznym wykrzyknikiem wyrazić swoje zachwycenie, gdy Bożenna prawie machinalnie odsunęła pokrywę pudełka i pan Stefan oniemiał z przerażenia.

Zdawało mu się, że weń piorun uderzył.

Zaledwie deszczułka zasuwająca wierzch pudełka ustąpiła z miejsca, poruszona ręką Buzi czarna ziemia Sumatry poruszyła się i rozsypała, jakby czemś rozszerzajacem się elastycznie z wewnątrz wypchnięta, i zdumionym oczom obojga ukazał się zamiast bulwy, mieszczącej w sobie zaród płomieniejąco - barwnego kwiatu, dość duży, płomiennie-barwny, wiewiórczej rudości kok, siatką elastyczną ściśnięty.

Buzia pudełko wypuściła z ręki...

— To ten szatan Antoni!... — zawołał Stefan. — O pani! czyliż zechcesz mnie karać i odpychać za niegodny podstęp człowieka, który dla osobistych widoków pragnąłby zatruć twe życie?... Łaski! litości! przebaczenia!... panno Bożenno.

Takiemi słowami pan Pogoda starał się zakłąć burzę, co nad jego głową zawisła, wywikłać się z trudnego położenia i wymykający się z rąk miljon schwycić na nowo.

Taktyka ta jednakże go zawiodła.

Miłość jego dla Buzi, tak samo jak miłość Antoniego, mogła się wydawać prawdziwą tylko przez pryzmat ich wzajemnej przyjaźni. W umyśle bohaterki naszej, jak to już widzieliśmy, przyjaźń ta była kamieniem probierczym ich serc. Gdy przyjaźń okazała się komedją, maską, obłudą, miłość musiała się także okazać tem, czem w istocie była: interesem, wyrachowaniem, spekulacją.

Bożenna uczuła w sercu ból dotkliwy. Zawodem nowym, obaleniem przekonania, tak długą walką z samą sobą zdobytego, zakrwawiło się jej serce. Cios był tem dotkliwszy, że spadał w chwili, gdy niedawna rana zaledwie się zablizniła. Zdało jej się że słabnie, że jej sił brakować zaczyna; zaczerpnęła ich przecież

w godności własnej, jeszcze jednym ciosem dotkniętej.

Wstała z krzesła i posągowo - poważna te tylko słowa Stefanowi rzuciła:

— Pani!... nie życzę sobie tej rozmowy... i żadnej więcej.

Po tych słowach odeszła.

Z wściekłością w duszy, nie śmiąc już próbować nowych usiłowań, wybiegł pan Stefan na ulicę.

Tymczasem w pokoju pani Błonickiej inna odbywała się scena.

Gdy służący oznajmił Ochlickiego, przychodzącego w interesie i gdy pani Wojciechowa zobaczyła, że wchodził sam, nieobecność nieodstepnego przyjaciela uderzyła ją tak samo jak córkę, i rozmowa zaczęła się podobnem pytaniem jak to, które Buzia w tym samym czasie zadawała panu Stefanowi.

— A pan Pogoda?...

— Dziś pani, — odpowiedział Ochlicki, sadząc się na dowcipną niby igraszkę wyrazów, — dziś w sercu mojem będzie pogoda lub burza, stosownie do wyroku pani.

— Jakto panie? — spytała matka.

— Bywają dni w życiu, w których nawet człowiek nie obdarzony przez naturę twórczym

geniuszem, człowiek niepowołany do bujania wyobraźnią w krainie ideałów, staje się poetą.

— O! to prawda, — odpowiedziała pani Błonica. — Naprzykład mój mąż... człowiek który nigdy w życiu dwóch wierszy nie napisał, czyż nie był poetą, gdy mi czwórkę w album wpisywał?...

Historja albumowej czwórki była doskonale znaną wszystkim gościom państwa Wojciechów, Ochlicki mógł więc odpowiedzieć:

— Tak pani, każdy człowiek musi raz w życiu podobną czwórkę napisać, w dniu który o całej przyszłości jego rozstrzyga. Dniem takim jest dla mnie dzień dzisiejszy.

— I napisałeś pan?... — zapytała żywo poetka.

— Sonet, pani.

— A dajże pan, dajże, niech przeczytam.

— Jest to pierwsze, jedyne i najdroższe dziecię mojego ducha, — prawil patetycznie Antoni, — w niem cała treść istnienia mego, cała nadzieja mej przyszłości!... Składał je w pani macierzyńskie dłonie i z synowską pokorą czekam wyroku, który mnie do szczytu szczęścia wynieść, lub na dno rozpaczy ma zepchnąć.

Pani Wojciechowa nie bardzo słuchała i nie starała się zrozumieć wszystkich ozdób retorycz-

nych i przezroczystych napomknien tej naprzód przygotowanej i na pamięć wyuczonej przemowy. Szybko ujęła podany sobie przez pana Antoniego papier, rozłożyła go i odczytała z przesadną nieco deklamacją następny wiersz brukowego poety :

Dla ciebie pieśń, o matko!.. Tyś szczęśliwa!
Los dał ci skarb!.. Postaci twojej córy
Aniołby mógł zazdrościć śnieżnopióry,
Jej bowiem wdzięk anioły nieb zaćmiewa.

Edeński czar z jej oczów w okół spływa,
Jej głos tak brzmi, jak ptasząt rajskich chóry,
Majowych róż czem w obec niej purpury?
Iskrzących gwiazd czem w obec niej jest niwa?

Lot pragnień mych od młodu był już chyży,
Jam pragnął wciąż wzlatywać wyżej, wyżej,
O samych nieb aż oprzeć się podwoje!..

Nad marzeń mych budowę przecież całą,
Kładę dziś myśl, — myśl może zbyt zuchwałą:
Ażebyś mi oddała dziecię twoje.

Gdyby ten wiersz był choć cokolwiek więcej niedorzecznym, mógłby się ubiegać o wywołanie humorystycznego efektu, tak rozlane w nim

patos mało odpowiadało usposobieniu mniemanego autora. Przy takim jednak obrobieniu w jakim go sprzedał Dzidziakiewicz, wiersz ten dowodził tylko, że najemny poeta krakowski był dosyć zręcznym fabrykantem rymów i przeciw formom przepisany nie grzeszył, ale za to w rymach jego czuć było niezmierną próżnię myśli, wykwintnemi i napuszonemi pokrytą wyrazami, a niekiedy nawet autor wchodził w nieporozumienie ze zdrowym rozsądkiem, jak naprzykład w porównaniu Buzi do niwy gwiazd iskrzących, lub na ołtarzu końcówki składał ofiarę z dobrego smaku i stawał się tak płaskim, jak we wzmiance o chyżym losie mniemanych pragnień Antoniego.

Pani Wojciechowa nie spoglądała przecież zbyt ostro krytykującym okiem na utwór sobie poświęcony, i wiersz miłością tak żywą, chociaż prawidłowie na wrotki podzieloną, dla jej jedynaczki tchnący, — znalazła zachwycającym.

— Wie pan, — rzekła do Antoniego, — że jak na kogoś, co pierwszy raz wierszem pisze, ten sonet jest arcydziełem godnem Petrarcki.

Pochwałę tę przyjął Ochlicki ze wzruszeniem. Coś co zakrawało na rumieniec skromności, odbiło się na jego twarzy.

— Estetyczna wartość tego sonetu, — wtrącił skromnie Antoni, — jest może żadna. Nie o to mi jednak chodzi. Uczynisz mnie pani najszczęśliwszym lub najnieszczęśliwszym z ludzi, odpowiadając na wiersz ostatni. Miłość moja dla panny Bożenry jest prawą i szlachetną. Czekam wyroku i ufam macierzyńskiemu sercu pani.

Pani Wojciechowa miała wielką ochotę przychylnie odpowiedzieć na prośbę Antoniego, zdawało jej się bowiem niewłaściwym, jeśli nie oczywiście niemożliwym, odmawiać ręki córki człowiekowi, który przez miłość dla niej stał się nagle poetą i stworzył „jak na pierwszy raz“, godne Petrarki arcydzieło. Niepodobna przecież było tego uczynić, gdyż mimo twierdzenia Stefana, że w rodzinie muszą istnieć układy na wszelki wypadek, układów takich rzeczywiście nie było, i matka nie dowiedziała się jeszcze od córki, na którego z konkurentów chętniejby przystała, własnowolnie zaś nie chciała rozporządzać ręką swego jedyne go dziecięcia.

W czasie wahania się poetki, które już miało się zakończyć jakąś odwlekającą odpowiedzią, pan Wojciech wszedł do pokoju żony.

— Obliczyłem... — zaczął już w progu.

— Patrz, mężu, — przerwała mu żona, — jakie wiersze pan Ochlicki do mnie napisał.

Pan Wojciech założył okulary, wziął wrękę papier, przypatrywał mu się i mówił:

— Dwie strofy po cztery wiersze i dwie po trzy - to sonet. Sonet, jest to piękna forma poezji. Lubię ją bardzo. Wiesz pan, panie Ochlicki, że my przed czterema laty stanowiliśmy sonet?...

— Lecz przeczytajże mężu, — zaczęła żona, — to jest prawdziwie wzniosły utwór, a oprócz poetycznego, ma jeszcze wcale inne znaczenie.

— Dobrze,—odrzekł pan Wojciech i znowu zaczął przyglądać się papierowi.

Antoni był jak na szpilkach... Chwilka czekania na przysądzenie miljona, lub na odsądzenie od niego, jest rzeczywiście chwilą bardzo przykłą, a tu jak na złość, ta chwila przedłużała się bez końca.

Wreszcie pan Wojciech zaczął czytać, a raczej sylabizować.

Antoni nie wierzył swoim uszom. Ojciec Buzi, patrząc na papier, wymawiał wyrazy, których według najgłębszego przekonania Ochlickiego, na tym papierze nie było i być nie mogło.

Sylabizowanie było, jak sądził, nową torturą, umyślnie wynalezioną przez pana Wojciecha, ażeby go udręczyć.

D, l, a, dla, — zgłoskował pan Błoniczki, —
j, e, j, jej... dla jej... *m, i, l, mil...* dla jej mil...
j, o, n, jon... dla jej milion...

Tu nagle zatrzymał się i zawołał:

— Co to jest?... żono.... panie Ochlicki!...
 co to jest?...

— Ależ mężu, — rzekła pani Wojciechowa,
 — rzecz najprostsza, choć zarazem najpoetycz-
 niejsza w świecie: pan Ochlicki oświadcza mi się
 o rękę Buzi.

— Dla jej milionka!... — wołał z trudnoś-
 cią powstrzymując gwałtowny wybuch gniewu
 pan Wojciech.

— Ale któż ci powiedział, że dla piene-
 dzy?... Ludzie spekulujący na pieniądze nie
 piszą takich wzniosłych wierszy.... Przeczytaj
 tylko, a przekonasz się że twe podejrzenie jest
 niesłuszne.

Poetka broniła poety, lecz matematyk nie
 słuchał obrony.

— Niesłusznie? — odparł, oddając jej pa-
 pier, — wszak sam napisał to wyraźnie. Czytaj
 tylko.

— Przywidziało ci się i basta, — odparła
 wzruszając ramionami małżonka. Posłuchaj
 tylko, ja ci przeczytam, a sam osądzisz czy to
 nie wzniosłe,

Dla ciebie pieśń o matko!... tyś szczęśliwa!...
 Los dał ci skarb!...

Pan Wojciech przerwał deklamację żonie.

— Ależ nie tak, nie tak, powiadam, czytaj!.... To akrostych. Powiedziałaś mi przecież co to akrostych i dziś się sama nie spostrzegasz.

— Akrostych, to co innego — odpowiedziała pani Wojciechowa i zaczęła czytać pierwsze litery każdego wiersza, to jest sylabizowała je jak mąż poprzednio i w te same układała wyrazy.

Jakie męczarnie przechodził przez cały ten czas osłupiały Antoni, nie będziemy się starali opisać.

Zdawało mu się, że mu jakaś fatalność wydziera z serca nie obraz Buzi, bo go tam nie było, lecz poważny sześcioma pękatem i zerami miljon posagu. Co chwila ubywało zeń jedno zero, aż nareszcie została jednostka tylko, i od tej, za każdym uderzeniem pulsu, odpadał jakiś ułamek. To działanie arytmetyczne sprawiało mu boleść moralną, sroższą od najstraszniejszej operacji chirurgicznej.

Ze wszystkich tortur najcięższą było dlań sylabizowanie, którem się posługiwali trzymający los jego w swych rękach małżonkowie. Było

ono nożem rozkrawającym wszystkie jego nadzieje widoki na najdrobniejsze cząsteczki.

Przykrość położenia Antoniego, potęgowało jeszcze to, że ani wiedział, ani się mógł domyślać jaką była istota i doniosłość grożącego mu nieszczęścia.

— Dla jej miljonka! — powtórzyła matka, po odczytaniu głosek stanowiących akrostych. — O! panie Ochlicki, to jest szyderstwo krwawe, które tylko panu ubliża... Cóż my winniśmy, że nam los dał fortunę?

— Pani!.., — chciał się tłumaczyć Antoni.

— Dla jej miljonka! — przerwał mu pan Wojciech. — Mogłeś sobie panie tak myśleć, ale po co to było pisać?... Drwić w żywe oczy z ludzi, wtenczas kiedy się spekuluje na ich majątek, kiedy się godzi na szczęście i spokój ich dziecka, panie, to jest czwarta, to jest dziesiąta potęga niegodziwości!

Tu Ochlicki przemocą dobrał się do głosu.

— Państwo, zrozumiejmy się... bądźcie łaskawi mnie wysłuchać. Dwa słowa powiem tylko.

W tej chwili uchyliły się drzwi i ukazała się w nich Bożenna szukająca matki, żeby się z nią swą nową boleścią podzielić.

Nikt z obecnych nie spostrzegł, że weszła i zatrzymała się w progu, przyćmionem boleścią

okiem przypatrując się odgrywanej przed nią scenie.

Antoni tak się tłumaczył:

— Nie wiem bynajmniej, co się znajduje tak nagannego w wierszu, który państwu oddałem. Gdybym był spekulantem na posag waszej córki, nie dałbym wam z pewnością dobrowolnie w ręce czegoś, coby interesowność moją zdradzić mogło. To rzecz jasna. Teraz pozostaje mi tylko powiedzieć, że jeżeli wiersz ten mieści w sobie ukryte, ubliżające pannie Bożennie, a mnie kompromitujące wyrażenie, jest to niezawodnie skutkiem intrygi jednego z najzawziętszych moich nieprzyjaciół, człowieka zdecydowanego na wszelką zbrodnię, byle mnie w oczach waszych potępić i zastawić sieć na waszą córkę. Jest to dołek wykopany podemną przez pana Stefana Pogodę. Spodziewam się, że państwo pogardzicie nim, jako człowiekiem bez zasad i serca, który za najszczerzą przyjaźń, tak czarną mi się niewdzięcznością odpłacił. Dla tego, ufny w sprawiedliwość waszą, ponawiam prozą prośbę o rękę panny Bożenny.

Był to ze strony Antoniego krok heroiczny i rozpaczny. Widząc grożące niebezpieczeństwo, Ochlicki chwycił się brzytwy.

— W istocie, że to ze strony pana Stefana niegodziwie, — rzekł pan Wojciech.

— Tylko jakim sposobem pan Stefan mógł wpłynąć bez wiedzy pańskiej na układ pierwszych liter w wierszach napisanych przez pana?... — spytała pani Wojciechowa, nie chcąc pozostać nieświadomą okoliczności, która się poezji tyczyła.

Ochlicki otworzył usta, ale nie wiedział jak odpowiedzieć. Bywają pytania, na które odpowiedź przecząca czy twierdząca, zarówno jest niebezpieczną. Do takich pytań należało właśnie zadane przez panią Wojciechową. Przyznać się że wiersz kupił, było to pozbawić się uroku, jakim go w oczach pani Wojciechowej przyoblekł talent poetycki; nie przyznać się do nieudolności autorskiej, a przecieżyć wytłumaczyć i wykazać swoją niewinność w sposób choćby z daleka do prawdy podobny, było prostem niepodobieństwem. Z tych dwojga złego pierwsze było bezwarunkowo mniej-
szem, choć niezawodnie bardzo przykrem, i byłby się może pan Antoni zdecydował na nie, gdyby mógł się dłużej zastanawiać; lecz namysł potrzebował czasu, a tu czasu było właśnie najmniej. Stał więc z otwartymi ustami, lubo to wcale nie salonowa poza, i byłby tak stał pewnie niewiedzieć jak długo, gdyby po za nim nie dało się słyszeć wcale niespodziewane, ale niestety bardzo prawdziwe objaśnienie.

— Była to wzajemność przyjacielska. Pan Pogoda gospodaruje w wierszach pana Ochlickiego, jak pan Ochlicki w pudełkach pana Pogody. Akrostych wart kwiatu z Sumatry.

Słowa te wyrzekła Buzia spokojnym i nieledwie żartobliwym głosem. Przygoda jaka ją spotkała, lubo bolesna, miała coś humorystycznego w sobie. Przyjaźń dwóch rywali wydawała jej się piękną, żal jej było, że się na niej zawiodła, a raniło ją to najbardziej, iż znowu się widziała traktowaną jako dodatek do miliona. lecz rozczarowanie przychodziło w sposób tak komiczny, wyznania wzajemnej nienawiści dwóch serdecznych przyjaciół tak dokładnie wykazywały całą ich nicość moralną, że nawet w pierwszej chwili, do uczucia bólu jakisprawały świeżo zadane rany, mógł się już uśmiech gojący przyłączyć.

Państwo Błoniccy niewiele zrozumieli z objaśnienia danego przez córkę, ale za to Antoni, obejrzawszy się i zobaczywszy Buzię, w jednej chwili pojął wszystko...

Bożenna zadała mu *coup de grâce*.

W słowach jej i w jej oczach czytał wyrok potępiający jego postąpienie z przyjacielem.

Wypierać się, tłumaczyć, wymową odzyskiwać to co się utraciło czynem, wydało mu się i było już w istocie daremnem.

Porwał za kapelusz i wybiegł z pokoju, unikając nawet wzrokiem spotkania z kimkolwiek z obecnych.

Miljon przypadł...

Dostawszy się na ulicę, pan Antoni szedł szybko i nie myślał o tem gdzie idzie; nie troszczył się bynajmniej o to, czy dąży ku Rudawie, czy ku starej Wiśle.

Przed nim o kilkadziesiąt kroków szedł powoli posepny, osowiały Stefan, w głuchem milczeniu.

Rozpacz jego w inny objawiała się sposób.

Gdy wyszedł na ulicę Zwierzyniecką, zdjął z ręki prawej rękawiczkę żółtą, i póty pastwił się nad nią, póki jej wszystkich palców nie oberwał. Gdy z rękawiczki zrobiła się mitynka, cisnął ją, zdjął drugą z ręki lewej i na te same skazał ją tortury.

Trwała ta zemsta tak długo, aż pędzący zapamiętale i na oślep pan Antoni, potrącił go na plantach, nie poznając.

—A to ty?—rzekł smutnie Stefan.

—To ty?—zawołał z gniewem Ochlicki.

— Ach, człowieku!... gdybyś mi nie był podrzucił tego przekłętego koka, miałbyś już u mnie dwadzieścia tysięcy reńskich!..... Drogo cię ten figiel kosztuje!

— A ty?—odparł z uniesieniem Antoni,—
gdybyś nie przekupił Dzidziakiewicza, żeby mi
ten skandal napisał...

— Stało się!...—westchnął Stefan.

— Stefanie!... ja nie wiem co mnie trzyma,
żem cię dotychczas nie rozszarpał.

— Słuchaj Antoni,—odrzekł spokojnie Pogoda,
nie unos się tylko... ja ci powiem co cię trzyma.
Oto wiesz doskonale, że wszystko stracone.

— Z twojej winy...

— I z twojej...

— Nie mówiłem ci, żebyś dołków nie kopał?...

— A ja tobie nie mówiłem?...

— Nie przepowiadałem, że tak się skończy?...

— A ja nie przepowiadałem?...

— Jednak Stefanie, ja nie rozumiem, dla
czego tak dobrze wiedząc czem to grozi, postą-
piliśmy tak niekonsekwentnie?

— Ja wiem,—odpowiedział Stefan.

— Dlaczegoż?...

— Bośmy głupi obydwaj..... radykalnie
głupi, mój Antoni. Ja tylko tego nie wiem, kto
z nas głupszy.

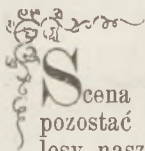
— Ha! jeśli prawdę powiedzieć, to i ja nie
wiem,—przyznał w pokorze ducha przyjaciel.

Po tem wyznaniu dwaj eks-rywale, pojednani
jednocześnie otrzymaną odprawą, sami nie wie-

dząc kiedy, wzięli się pod ręce i poszli do Her-teux'go na obiad.

Nigdy jeszcze obiadu nie znaleźli tak nie-smacznym. Krzywili się na każdą potrawę, wypili tylko po ćwierć butelki wina i przez cały czas uczyły posepnie milczeli.

IX.



Scena podwójnych oświadczeń nie mogła pozostać bez stanowczego wpływu na dalsze losy naszej bohaterki.

Cały jej rozwój moralny, wykształcenie jej serca i duszy, były, jak widzieliśmy, dziełem i wpływem wypadków życia. Bogaty materiał duchowy, niemały zapas czystych i zacnych uczuć, całe to jej mienie wewnętrzne, miało się pomnożyć i wzrosnąć, albo też uszczuplić i zmarnieć, stosownie do wpływów zewnętrznych; rodzice bowiem nie byli zdolnymi do strzeżenia i zużytkowania skarbów, jakimi była uposażoną.

Życie wzięło się do tego dzieła, nie tak jak się zazwyczaj bierze ten niedbały piastun tylu ludzi, których wychowanie ograniczyło się na powierzchownej oglądzie i całą pracę nad wyrobieniem charakteru zdało losowi. Zwyczajne życie, powołane na pedagoga, uczy nas naostatku tego,

co byśmy już na początku wiedzieć powinni, i nim nas o czem stanowczo przekona, długo wprzód błądzić każe po bezdrożach, póki istoty moralnej człowieka nie doprowadzi do samopoznania, póki jej nie wytknie celu wyższego i drogi do niego wiodącej, póki nie wyrobi w nim siły potrzebnej do przebycia tej drogi.

Z Buzią los zdawał się postępować zupełnie inaczej.

Wypadki brały na siebie otworzenie jej oczu na to co ją otaczało, pokazanie jej w świetle niekorzystnem lecz prawdziwem i ludzi co ją otaczali, i własnego jej położenia.

Dzieckiem jeszcze prawie będąc, niespodziewanie zbogacona, powinna była olśnić się bogactwem, jak wszyscy, a przynajmniej niezmiernie wielu z tych, którym fortuna uśmiejchnąć się raczyła, i to co było dziełem majątku, swej osobistej przypisywać wartości. Stałoby się to dla niej źródłem zawodów i gorzkich złudzeń, wspomnianych rozczarowań i niepowetowanych omyłek, jakim zwykle podlegają bogaci.

Z nią przecież było inaczej. Los chciał ją przeprowadzić przez systematyczną szkołę. Pokazał jej jak ludzie zachowywali się względem niej gdy była biedną, dał jej mienie... i wskazał jak się zaraz ich postępowanie zmieniło.

Buzia patrzyła i zmuszoną była powiedzieć sobie :

— Jestem dodatkiem do miljona.

Powiedziawszy te wyrazy z głębokiem, choć może zbyt czarno usposobionem przekonaniem, Bożenna zrobiła krok wielki na drodze doświadczenia: pojęła i uczyniła swoją własnością prawdę, na zdobycie i zrozumienie której wielu innym nieraz życia całego nie wystarcza. Zrozumiała, że to co człowiek zjednywa sobie w życiu u innych: miłość, przyjaźń, poważanie, to może albo wywalczyć swoją osobistą wartością i zasługą, albo też kupić za swoje pieniądze. Zrozumiała że w pierwszym tylko razie owa miłość, przyjaźń, owo poszanowanie u ludzi są tem, czem być powinny i ubiegać się o nie warto, kupne zaś są tylko surogatem i udaniem, niegodnem by się po nie schylano.

Nabycie tej świadomości nie przychodziło bez boleści, za którą wszystko podobno co ma jakąś żywotną wartość na tym świecie kupować trzeba, raz przecież nabyte, służyć mogło za tarczę i drogowskaz w dalszem życiu.

Boleściami temi dojrzawało i duchowo rozwijało się dziewczę.

Droga którą ją los prowadził, nie była więc złą, bo oświecała, była jednakże niebezpieczną.

Idąc nią dalej, można było od pewnika, że bywają uczucia udane i że one niosą nieszczęście, dojść do przypuszczenia, że uczuć prawdziwych nie ma. Należało ją poznać, żeby świadomie chodzić drogą życia, ale nie należało na niej pozostawać, bo prowadziła do zwątpienia.

Los i tutaj dopomógł bohaterce naszej.

Dotknięta krwawo brudnemi, handlarskiemi zabiegami, jakich była przedmiotem, szczęśliwa wprawdzie że maska przyjaźni i miłości, którą zawiść kazała zedrzyć sobie wzajem dwom rywalom, spadła i odstaniając nagą rzeczywistość, nie dała jej się wplątać w nastawione sieci, Buzia była przecież smutną i zboląłą, i długo, długo dumiała, jakim sposobem przyszłość swoją odgrodzić od podobnie gorzkich zawodów.

Serce jej pragnęło miłości; niewyleczony jeszcze z uczucia jakim piorunowo bić zaczęło dla człowieka który w mniemaniu jej okazał się go niegodnym, czuło w sobie potęgę i rwało się w przestrzenie, szukać serca odpowiedniem uderzającego tętnem. Sercem czuła Bożenna że kochać potrafi i że jest godną pokochania; umysł, wsparty doświadczeniem ze świeżych zaczerpnięciem wypadków, prawil jej że bogactwo, jak kula galernika ucepiona do stóp, wiecznie jej ruchy tamować będzie i nigdy jej nie pozwoli wybiedz

gorącym uczuciem naprzeciw również płomien-
nemu uczuciu.

Tę myśl natrętną opowiedziała ojcu i matce:
— ojciec i matka jej nie rozumieli.

Pytała ich o radę, co począć w tem położeniu: — na radę nie było ich stać.

Postanowiła zatem obmyśleć środek sama, i obmyśliła.

Punktem wychodnim jej planów było oddzielenie swojej osoby od majątku. Jak tyle innych panien pragnie być bogatemi, tak ona zapragnęła być biedną, jeżeli nie rzeczywiście, to przynajmniej pozornie, lecz zawsze tak, żeby ludzie w to wierzyć mogli.

— Jeśli mnie biedną kto pokocha, — myślała, — to mnie pokocha prawdziwie... a wtenczas zajdzie jedno z dwojga: albo będę mogła być mu wzajemną, albo nie. Jeżeli zdołam go pokochać, będę szczęśliwą; jeżeli serce moje miłości jego nie odpowie, będę mu wdzięczną i poświęcę się dla niego, tę przynajmniej mając pociechę, że byłam prawdziwie kochaną.

Było to naturalnie marzenie, niełatwe do wprowadzenia w czyn.

Gdyby Buzia sama rozporządzała majątkiem jakiego po najdłuższem życiu rodziców miała być jedyną sukcesorką, możeby, przejęta żywym pragnieniem urzeczywistnienia tego marzenia, oddała

go na kościół lub cel dobroczynny. Tak żeglarz zagrożony burzą zrzuca w morze cały ładunek, zawierający w sobie jego mienie, ażeby tylko skołatana nawę, a z nią siebie od rozbicia i zguby ocalić. Możeby, prawda, potem żałowała tej po-chopności niepowrotnej, tak jak żeglarz żałuje, gdy nagle rozpogodzi się niebo i słońce z za chmur strzeli promieniami, jakby szydząc z jego rozpaczego pośpiechu, — ale już naówczas byłoby zapóźno. Rodzicom propozycji tej zrobić nie mogła, milionowe więc mienie trzymało się jej silnie.

Wiedła biedaczka, myśląc co ma począć. Rodzice niepokoić się zaczęli, proponowali rozrywki, wody, podróż, radzili się lekarzy, lecz wszystko to nie pomogło: aż wreszcie raz Buzia przedstawiła im *ultimatum*, za przyjęciem którego przyrzekła być zdrową i z siłami razem wesołość odzyskać.

— Moje dziecko, ty cierpisz, tyś nie taka jak byłaś dawniej, — mówiła do niej matka.

— Naprzykład w roku, w którym stanowiliśmy sonet, — dodawał ojciec.

— A chce mama, chce ojciec żebym była taką jak byłam dawniej? — zapytała córka.

Odpowiedzi rodziców łatwo się domysleć.

— Ależ moje dziecko, jabym wszystkie swoje poezje popaliła i przepisała na nowo z pamięci,

żeby ci to wesołość i zdrowie przywrócić mogło,
— rzekła matka.

— A jabym wszystkie moje obrachowania
wykonał nanowo, — zrezygnował się pan Woj-
ciech.

— O! tak wiele nie trzeba, — uśmiechnęła
się Buzia.

— Czegoż więc chcesz? moje dziecko, —
zapytali rodzice.

— Potrzeba mi wyjechać na wieś.

— Kupię wieś, — rzekł pan Błoniczki, — za-
prowadzę gospodarstwo postępowe, którego fun-
damentem będzie rachunkowość podwójna.

— Kupimy dobra, — zawtórowała pani
Wojciechowa, — to tak poetycznie na wsi! Księżyc
zachodzi za las... słońce wschodzące przegląda
się w stawie... Różnowzore motyle...

— Ach! mam, — westchnęła jedynaczka,
mnie nie takiej wsi potrzeba.

Państwo Błoniccy spojrzeli po sobie, nie
rozumiejąc.

— Jakto Buziu, — spytali jednomyślnie.

— Chciałabym wyjechać na wieś, ot tak na
kilka miesięcy, ale w taką stronę, gdzieby mnie
nikt nie znał, gdzieby nikt nie wiedział żem...
bogata.

— Zkądże ci te chęci, Buziu?

— Nie mogę sobie zdać sprawy dokładnie... Potrzebuję samotności, ciszy... zdaje mi się że w tem odosobnieniu czasowem znajdę szczęście.

Buzia nie starała się wytłumaczyć rodzicom tego, co się w jej sercu działo... i chciała przeprowadzić swój plan, zbywając ogólnikami ojca i matkę. Nie czyniła tego przez brak zaufania, lecz dlatego, że już nieraz próbowała odsłonić rodzicom stan swojej duszy, uczynić ich świadkami tych walk wewnętrznych, tych boleści jakie przechodziła, ale nie udawało jej się to nigdy. Ojciec, ile razy w rozmowie wprowadzić go chciała na tę drogę, zawracał do arytmetyki, jak koń znarowiony do stajni; matka z jej zwierzeń robiła wiersze, ale na wierszach się kończyło. Ile razy pani Wojciechowa wyśpiewała coś w poemacie, tylekroć to, co jej powód do rymowania dało, umierało dla niej w rzeczywistości, a zaczynało żyć w pieśni. Gdy więc Buzia powracała znów do przerwanej niespodzianem natchnieniem rozmowy, gdy chciała kończyć spowiedź serca, matce się zdawało, że to o jej poematach mowa i wtórowała jej rymowanemi na męskie i żeńskie zakończenia końcówkami, ale w tem wszystkim co słyszała, nie widziała rzeczywistości, tylko utwory rozmarzonej wyobraźni. Wreszcie doszło do tego, że pani Błonica, nasłuchawszy się tęsknot Buzi za czemś nieokreślonem, nieujętem,

zrobiła spostrzeżenie, jak jej się zdawało genialne, i temi słowy przy obiedzie wobec córki zakomunikowała je mężowi:

-- Wiesz, mężu, mnie się zdaje że Buzia poetką być zaczyna.

— Jakto? napisała szaradę?

— Ale gdzież tam...

— Sonet?

— I to nie... nie napisała nic.

— Alboż to można być poetką, nie napisawszy nic?—zapytał pan Wojciech zdziwiony.— To tak jakby kto nic nie obliczył i chciał być matematykiem.

— Ja też nie mówię że Buzia już jest poetką, — odparła dzielająca widać zdanie męża małżonka, — zdaje mi się tylko, że się w niej zaczyna objawiać usposobienie poetyczne.

— Poczemże to sądzisz?

— Oh nie uwierzysz jaką miałyśmy dziś rozmowę... to poprostu wierszem ułożyć. Skarży się na jakąś tęsknotę, próżnię wewnętrzną, czczość ducha....

— Czczość!... — powtórzył pan Wojciech, — to ona może chora, a nie poetyczna.

Buzia słyszała tę rozmowę; nie wzięła w niej udziału, ale odtąd już nie mawiała z matką o swych tęsknotach, o próżni wewnętrznej i o czczości ducha.

Nie wspomniała też o tem i teraz, kiedy wyznała swoje pragnienie osamotnienia, ciszy. wioski i postawiła zaspokojenie tego pragnienia jako warunek swego szczęścia.

— Tam znajdziesz szczęście?— powtórzyła matka.—Czegoż ci tu brakuje, Buziu?... Czyż ci nie upoetyczniamy życia?

— Czyż wszystko w domu nie idzie regularnie, matematycznie, jak w zegarku?... — dodał ojciec, który po swojemu upoetycznienie życia rozumiał.

— To prawda, — szepnęła Buzia,—i ja też zato wdzięczną jestem. Ojciec i mama otaczają mnie wszystkiem czegobym zapragnąć mogła.... ale ludzie... ale te sceny... ta komedia, która się w koło mnie odgrywała, to polowanie na majątek jakim nas los obdarzył, czyż to nie okropne, nie bolesne?...

— Masz słuszność... ale... cierpliwością wszystko się zwalcza.... nawet największą trudność rachunkową.

— A! ojczy, gdyby tu szło o trudność rachunkową, cierpliwość by pomogła; lecz w mojem położeniu, na co się przyda?... Mamże czekać czwartych oświadczyn, takich samych jak troje poprzednich?... Spójrz ojczy, czy się nie zanosz na to? Któż z bywających u nas nie ma na ustach słowa kłamanej miłości, któreby mi

ubliżać mogło, gdybym obojętnem traktowaniem tych komedjantów nie przymuszała do milczenia?... Czyż nie lepiej uciec od tego, czy nie lepiej wyrzec się majątku, przynajmniej na czas jakiś, jeśli nie na zawsze?

Pan Wojciech, do którego te słowa zwrócone były, podniósł oczy na żonę i napotkał jej pytające spojrzenie.

Spojrzenia te były rodzajem rozmowy.

Oczy pana Wojciecha zdały się mówić:

— Ja nie rozumiem tej dziewczyny.

Oczy poetki pytały:

— Co z nią począć?...

Po tej rozmowie oczu, nastąpiły dwa wzruszenia ramion: jedno było matematycznie-regularne, drugie poetycznie-drażliwe.

Na tem skończyła się rozmowa; Buzia nie nalegała więcej, rodzice nie odpowiadali.

Państwo Wojciechostwo byli przekonani, że ten, jak im się zdało, chwilowy kaprys jedynaczki przeminie wkrótce i że Buzia wesołość odzyska, że młodość temi siłami żywotnemi, jakie sama tylko posiada, wyleczy chorą wyobraźnię.

Nadzieje te nie spełniły się jednakże.

Jedynaczka posępniała ciągle i słabła, tak że rodzice nie mogli tego niespostrzedz; gdy więc

po pewnym czasie Buzia powróciła znowu do propozycji wyjazdu na wieś i udania się za biedną, już słów dziewczęcia słuchali z większą skłonnością do zaspokojenia jej życzeń.

Tym sposobem wreszcie przyszło do tego, że w „Czasie“ ukazało się ogłoszenie oznajmiające że: „osoba z dobrej rodziny poszukuje miejsca jako dama do towarzystwa na wsi, w okolicy ile możliwości oddalonej od Krakowa.“

Panu Wojciechowi kręciły się łzy w oczach, kiedy redagował ten inserat (jak doniesienia nazywają się w Galicji), a pani Wojciechowa, gdy go ujrzała w szpaltach krakowskiego dziennika, rozplakała się na dobre i tegoż dnia zaczęła pisać rzewną na rozstanie się z Buzią elegję...

Buzia ścisnęła rodziców, płakała, nie odstępowała jednakże od zamiaru.

Poszukiwanie nie było bezskuteczne; miejsce znalazło się wkrótce, zwłaszcza że pod względem wynagrodzenia, jak się łatwo domyślić, warunki postawione przez Buzię były więcej niż umiarkowane.

Bożenna udawała się jako dama do towarzystwa do jednego z zamożnych domów obywatelskich, o kilka mil od Lwowa. Przed państwem u których przebywać miała położenie jej majątkowe zostało bardzo zręcznie ukryte. Mała zmiana

nazwiska Błonickiej na Błomicką, miała jej dopomódz zachować *incognito* nawet wtedy, gdyby jakieś wieści o majątku jej rodziców dojść mogły do okolic w których przebywać miała.

W kilka dni po zawarciu umowy, Buzia już była gotową do drogi. Tłomoki i tłumoczki jakie zabierała ze sobą, liczniejsze były i bogaciej ładowne od zwykłych pakunków dam do towarzysstwa; to jednak nie mogło jej zdradzić, mogło tylko zapewnić delikatniejsze i pełniejsze względów obejście. Jakkolwiek tych pakunków już bardzo poważny był szereg, matka co chwila do nich coś przyrzucała, dopomagając do wybierania się jedynaczce. Aż nareszcie zadała jej pytanie:

— A kwiatków swoich nie chcesz zabrać, moje dziecko?

— A! mamó, to już byłoby śmiesznie, — odrzekła; — nie zapominajmy że jadę tam do służby.

Matka otarła łzę.

— Tyś przecież botaniczka, — nadmienił ojciec.

— Chcę sobie nawet i tego odmówić... wyrzekam się wszystkiego.

— Jako?... ani jednej doniczki?...

— Ani jednej.

-- To weź choć te albumy z rysunkami naj-
 pierwszych i najrzadszych kwiatów.

— Nie chcę, mamó, żadnego nawet malowa-
 wanego kwiatka.

Buzia, mówiąc to, zapomniała, że w jednym
 z jej pudełek znajdował się pewien malowany
 kwiatek, którego nie myślała zostawić.

Był to rysunek kolorowany, przedstawiający
 w rozkwicie płomiennie-barwny kwiat z Sumatry,
 ów rysunek, który, jak pamiętamy, Stefan Po-
 goda wręczył Buzi przy swoich niefortunnych
 oświadczeniach. Bohaterka nasza zachowała go,
 razem ze wszystkimi smutnymi trofeami swo-
 ich zawodów. Mieściły się one w pięknej maho-
 niowej szkatułce, pośród mnóstwa kobiecych dro-
 biazgów. Obok wizerunku symbolicznego kwiatu,
 znajdował się tam sławny akrostych pana Anto-
 niego; dalej wyjęty z albumu fotograficznego
 przyjaciół domu, portret Zygmunta Starży, wiel-
 kości karty wizytowej, nieopodal którego pro-
 mieniał czerwony, cynobrowego koloru kok, ofiara
 pana Stefana. Tylko czarnoziem Sumatry bra-
 kowało do tego zbioru.

Ze wszystkich tych bolesnych pamiątek, do
 których w chwilach smutku i zwątpienia lubiła
 zaglądać Bożenna, najczęściej dostawał się do jej
 ręki i najdłużej w niej zostawał ów portret foto-
 graficzny i wizerunek przepysznego kwiatu z Su-

matry. Wiersz i czerwonowłosa przyczepka do głowy, zdawały się tam mieścić tylko dla kompletu.

Patrząc na portret, Buzia wyrzucała słońcu, że jest kłamliwym i pochlebiającym malarzem; bo chociaż doskonale oddało zarysy regularnej i pociągająco-przyjemnej twarzy, nie potrafiło przecież odwzorować duszy, która właściciela tych pięknych rysów postawiła w szeregu, w którym stali po nim dwaj komedjanci serdecznej przyjaźni.

Tak biedna Buzia w swojej boleści pogniewała się ze słońcem.

Przyglądając się rysunkowi pięknego kwiatu, jakiego nigdy nie spotkała w ogrodach. Buzia przypominała sobie jego symboliczne znaczenie i mimowolnie zadawała sobie pytanie: czy też kto kiedy złoży jej w holdzie taki emblemat gorącego uczucia?... a ile razy zadawała je sobie, tylekroć łzami wilżyły się jej rzęsy.

Poróżniła się biedna z Florą, że jej najpiękniejsze swe cuda na papierze tylko podziwiać i uwielbiać pozwalała...

Z temi pamiątkami, pożegnana błogosławieństwem, uściskami i łzami rodziców, miljonowa panna pojechała... do służby.

Gdyby wiedziano w Krakowie dokąd i po co wyjechała jedyna córka państwa Błonicznych,

wydanoby na nią wyrok jednomyślny:—dziwaczka!— a i rodzicom zapewne nie uszłoby to na sucho, im także jaki przydomek, karcący ich uległość kaprysom córki, dostałby się niezawodnie.

Ale w Krakowie nikt nie wiedział i nie domyślał się wcale powodów odjazdu. Z przygotowań do niego robiono jak największą tajemnicę, wyjazd sam nastąpił nagle, bez pożegnalnych przyjęć i oznajmień, a gdy po wyjeździe ktoś ze wzdychających do jej posagu spostrzegł się pierwszy że jej nie było i zapytał o nią rodziców, rodzice odpowiedzieli, że córka wyjechała na czas pewien do dalekich krewnych na Ukrainę. Nikt jednakże od nich dowiedzieć się nie mógł o nazwisku, miejscu pobytu i stopniu pokrewieństwa tej nigdy przedtem nie wspomnianej familji.

Ta tajemnica z razu zainteresowała całe miasto, ogólne jednak zajęcie się nią wkrótce minęło i tylko osadzony na koszu legion konkurentów włączył się po Zwierzynieckiem przedmieściu, robiąc oblławę na sarenkę,, co się już z kniei wymknęła.

Nic nie pomogły dowiadywania się u służby, nic cierpliwość niezwykła. Służba wiedziała tyle tylko, ile rodzice wszystkim mówili; cierpliwość nie przydawała się na nic.

Młodzież krakowska zachodziła w głowę, dumając nad tem gdzie się Buzia podziąć mogła... Miljon wprawdzie został na gruncie, lecz bez niej nie było do niego przystępu.

Jakkolwiek uroczyście odprawieni, w liczbie kręcącej się po Zwierzynieckiem przedmieściu i wietrzącej tropu Buzi młodzieży, znajdowali się także pan Antoni i pan Stefan.

Serdeczni przyjaciele nie chcieli jeszcze dać za wygraną. Nadzieja zrosła się z ich sercami i nic jej ztamtąd wyrwać nie mogło.

Od niedawna doświadczonej odprawy, dwaj przyjaciele, raz sparzeni na wzajemnej ufności, nie odkrywali już przed sobą swych planów. Jeden przed drugim nie mówił wcale o tem, że w głębi duszy żywi jeszcze jakąś iskrę nadziei, iż miljon posagu nie na wieki dlań stracony; nic to przecież nie przeszkadzało, żeby się obaj nie mieli domyślać, że panna po którą daremnie sięgali, nie stała się tak nagle dla obydwóch obojętną.

Gdy Buzia znikła, obaj powiedzieli sobie w duchu:

— Trzeba wysledzić gdzie ona mogła wyjechać.

I obaj zabrali się do poszukiwań, nie mówiąc nic o tem do siebie.

Przez długi czas poszukiwania obu nie wydały żadnego skutku.

Nareszcie jednego dnia, przechodząc razem przez Zwierzyniecką ulicę i prowadząc obojętną rozmowę, spostrzegli listonosza wchodzącego do domu państwa Błonickich, i obaj wpadli na myśl jedną:

— To list od niej.

Z tej myśli obydwaj jednakowy wyprowadzili wniosek:

— Ślad jej dałby się znaleźć, gdyby można zobaczyć chociaż pieczętkę pocztową od listów które pisuje.

Po tem przypuszczeniu jeszcze raz jednozgodnie zadali sobie pytanie:

— Ale jak taki list zobaczyć?

Pytanie to stało się kwestją życia i śmierci dla dwóch przyjaciół.

Każdy rozwiązał je po swojemu.

Pan Antoni w godzinie roznoszenia listów czatował na ukazanie się listonosza, obsługującego Zwierzynieckie przedmieście, zaczepił go, datkiem zjednał go sobie i dopytywał się za każdym razem, czy nie ma listu do państwa Błonickich.

Pan Stefan w tym samym czasie nie czatował na listonosza, lecz odbywał przechadzkę na

ulicę Grodzką. Tam w ginachu pocztowym wchodził do ekspedycji listów, gdzie wynalazł pozór do zabrania znajomości z jednym z urzędników. Wszedł z nim w taką zażyłość, że bywał obecny jego czynnościom biurowym i ze szczególną ciekawością przypatrywał się listom adresowanym na Zwierzynieckie przedmieście.

Rzecz prosta, że na tej drodze śledztwo powieść się musiało.

Po kilkunastu dniach takich starań i oczekiwań, stało się nareszcie, że pewnego pięknego poranka najprzód pan Stefan, a w półgodziny później pan Antoni dowiedzieli się, że listy jakie państwo Błoniccy odbierają, adresowane charakterem kobiecym, nie nosiły stempla żadnej miejscowości na Ukrainie, lecz przychodziły z jednej ze stacji pocztowych blisko Lwowa położonych.

Każdy z nich był przekonany, że rywal jego nic nie wie o tem odkryciu, z którego jeden i drugi postanowił cichaczem i w tajemnicy przed współzawodnikiem skorzystać.

Obaj zaczęli się w skrytości przygotowywać do wyjazdu, a że kawalerskie przygotowania nie długo trwać zwykły, że obydwaj jednakowo patali żądzą naprawienia złego jakie ich spotkało, że jeden i drugi obawiali się stracić chwilę czasu, drżąc na myśl, że może Buzia na prowincji już innych znalazła konkurentów, — więc

w czterdzieści osiem godzin obydwaj byli gotowi do drogi, i byliby się spotkali na dworcu kolei, gdyby Stefan nie był postanowił wyjechać rano, a Antoni po południu.

W wigilją wyjazdu Pogoda bił się z myślami, według jakiego, za przyjazdem na miejsce, postępować mu wypadnie planu, aby miljon utraczony odzyskać.

Różne przychodziły mu do głowy projekta, żaden przecież nie zdawał się nieomylnym.

Nareszcie zatrzymała go myśl następna, trzydziesta może z tych, jakie rozważał i odrzucił po kolei.

— Kiedym jej dawał ów kwiat z Sumatry, ona tak chętnie wyciągnęła po niego rękę, choć przyjęcie go samo już zgodę znaczyło. Piękność tego kwiatu widocznie przypadła jej do gustu, myśl symboliczna jaką on wyraża, trafiła do jej usposobienia. Gdyby nie ten przeklęty kok, miljon byłby już mój. Doprawdy, kto wie czy nie pomogłyby mi bardzo, gdybym jej dzisiaj mógł naprawdę ofiarować ten kwiatek?...

Pan Stefan zaczął pilnie rozbierać ten projekt.

— W istocie, myśl wyborna, — mówił do siebie, dałoby mi to doskonały pretekst do stawienia się przed nią. „Pani, — powiedziałbym do niej, jakkolwiek możesz mieć do mnie urazę,

na którą w sumieniu mojem nie zasłużyłem, czułem się w obowiązku dotrzymać tego co przyrzekłem i składam u nóg twoich symboliczny kwiat, skąpany we krwi człowieka, co śmiał zadrwić ze mnie.“

Ta przemowa dziwnie się spodobała panu Stefanowi.

— No, prawda, --- myślał, — nie zabiłem ani raniłem Antoniego... ale zkaż ona o tem wiedziećby mogła?... Doprawdy, tak jej powiem... Skąpany we krwi, to pięknie brzmi... niech sobie to tłumaczy jak chce, zawsze wytłumaczy na dobre... Tylko trzeba kwiatek wydobyć.

Tutaj Pogoda uderzył się w czoło:

— Ba!... wydobyć od Ochlickiego!.. w tem właśnie sęk!.. Dobrowolnie nie odda, więc trzeba będzie chyba zabić go, albo ranić naprawdę.

Pan Stefan wzdrygnął się na myśl rozlewu krwi i zrazu odepchnął ją. Ale po chwili taki junacki zapał wstąpił w jego żyły, taka w nim zagotowała pasja, że tupnął nogą i zawołał:

— Tak!... — chociażby go zabić, albo zginać samemu, ja ten kwiat mieć muszę!..

Porwał za kapelusz i pobiegł do Antoniego.

Z początku kipiał i burzył się okropnie, lecz w ciągu drogi krew jakoś chłodziła i stygła zapał.

Gdy stukał do drzwi, nie wyglądał już wcale na piorunowładnego Jowisza, jak w pierwszej chwili.

— Antoni, — rzekł, wchodząc, — wszak szczerze nie masz do mnie urazy?...

— Ale żadnej, — odparł zadziwiony nieco tem zapytaniem przyjaciel. Co się stało, przepadło i odstać się nie może. Obaśmy sobie winni.

— Otóż widzisz, — mówił dalej Stefan, — ja mam do ciebie prośbę.

— Jakąż to?...

— Ten kwiatek, który chciałem jej ofiarować, a któryś ty zastąpił czem innem, był okazem jedynym w Europie.

— Rzeczywiście?...

— W istocie... — Przytem kosztował mnie dość drogo... W końcu na nic ci się nie przyda...

— Jakaś się dalej Stefan.

— To prawda, — przyznał Antoni.

— Otóż... czy nie chciałbyś mi go zwrócić?...

— A! — chciałbym... chciałbym szczerze dać ci słowo.

— A więc?..

— Lecz... — to już niepodobna.

— Jakto?... zniszczyłeś go, nieszczęsny! — krzyknął pan Stefan, — wybuchając.

— No, no, tylko się nie unoś, bo nie masz czego, — odrzekł na to Antoni cokolwiek surowym głosem.

Pogoda spogodniał w jednej chwili.

— Nie zniszczyłem, — mówił dalej Ochlicki, — ale w ten sam fatalny dzień, kiedyśmy sobie wzajem figle płatali, darowałem go memu gospodarzowi, który jak wiesz, jest zawziętym amatorem kwiatów i ma ogród na Wesolej, a co najważniejsza, ma u mnie kilka tysięcy, i którego córkę... wprawdzie zezowatą i posiadającą więcej piegów niżli reńskich posagu, zawsze jednak dobrze mieć w rezerwie...

Pogoda przyjął to objaśnienie bardzo obojętnie na pozór, a w duchu z pewnem zadowoleniem nawet, Ochlickiemu powiedział, że pytał się o kwiat tylko z troskliwości, żeby się taka osobliwość nie zmarnowała; skoro jednak wyszedł od niego, natychmiast pobiegł do wskazanego ogrodu na Wesolej.

— To szczęście, — mówił do siebie idąc. — Gospodarz jego odprzeda mi ten kwiat z ochotą, a przynajmniej Antoniego nie będę potrzebował prosić o łaskę.

Nie było to jednakże tak wielkie szczęście. Nadzieja zawiodła pana Stefana.

Amator Flory, obdarowany przez Antoniego osobliwością, wyznał przed Stefanem, że tym

podarkiem cieszył się nie długo. Nazajutrz po otrzymaniu sprzedał go ogrodnikowi jednego ze znakomitych bogactwem domów obywatelskich na prowincji.

Kwiat z Sumatry przepadł bezpowrotnie.

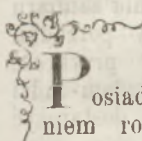
Zmartwiło to niezmiernie pana Stefana. Myślał odkładać wyjazd, czekając póki czego nowego nie obmyśli, nie uczynił tego jednakże.

Nazajutrz rano wsiadł do wagonu, mówiąc do siebie:

— Gdy przyjadę na miejsce, pomyśle jak wziąć się do rzeczy.

Nad wieczorem tegoż dnia Ochlicki podobnież sadowił się w wagonie drugiej klasy, i nie tylko jechał w tą samą stronę, ale nawet miał myśl tą samą, że za przybyciem na miejsce zobaczy jak się wziąć do dzieła.

X.

 **P**osiadłość, która w skutek kapryśnego zdaniem rodziców, a heroicznego zdaniem nie jednej z łaskawych czytelniczek postanowienia Buzi, stała się na czas jakiś jej mieszkaniem leżała w równej prawie odległości od Żółtkwi, Rawy ruskiej i Jaworowa, a nazywała się Strzały.

Położenie tej miejscowości było wyjątkowo piękne. Strzałom nie brakowało ani obszernych łąk, ani pól żyznych obsianych pszenicą, ani dość dużego jeziora, do którego fal pomarszczonych wietrzykiem, pani Błonica chętnie by napisała kilkanaście zwrotek, ani strumyków szemrzących, ani lasu obfitującego w starodrzew, ani licznych sąsiedztw na około.

Ręka ludzka umiejętnie skorzystała z darów przyrody i upiększyła jeszcze włość, tak iż Strzały, posiadające piękny dwór murowany, otoczony wielkim ogrodem, oraz inne bódowle gospodarcze

w harmonijnej ugrupowane całości, były prawdziwie rozkosznem miejscem.

Buzia wjeżdżała do nich z bijącym radośnie sercem.

Radość to była bardzo naturalna: plan jej się ziścił.

Po tej pierwszej chwili zadowolenia, wywołanego dopięciem trudnego do spełnienia zamiaru powinno było w naturalnym rzeczy porządku nastąpić rozczarowanie, do którego przykrość zależności, w jakiej być miała względem ludzi zupełnie dla niej nowych, obfitego dostarczyć mogła materiału.

Rozczarowanie to jednak nie nastąpiło. Los sprzyjał bohaterce naszej i dał jej natrafić na ludzi nie tylko znośnych, nie tylko przystępnych, lecz ujmujących i przyjacielskich.

Nie była to żadna ze świeżo kreowanych rodzin hrabiowskich, lecz po prostu odrósł starego szlacheckiego rodu, który długo w jednym miejscu osiadły, doszedł do wielkiej zamożności, a pod względem moralnym stanął wyżej nad zastarzałe przesady kastowe i średniowieczne pojęcia.

Państwo Strzalscy mieli jedyną córkę, której Buzia miała być towarzyszką. Była ona pięknem dziewczęciem, z którego czarnych oczu tryskał ogień wesołości i życia; jeżeli więc pewna sprzeczność usposobień jest jednym z najwłaściwszych

warunków do uprzyjemnienia i urozmaïcenia po-
 życia, znajdowała w Buzi, powolniejszej z natury
 i nieco rozłzawionej doświadczonemi zawodami,
 najodpowiedniejszą do wspólnych zajęć i rozrywek
 rćwienniczkę. W krótcie okazało się, że usposo-
 bienia ich o tyle tylko się różniły, ile właśnie
 jest koniecznem, ażeby jedna drugą niejako uzu-
 pełniała, a tem samem stawiała się jej potrzebną,
 i niezadługo chłodny stosunek płatnej towarzyszki
 z chlebowawczynią. zamienił się na związek praw-
 dziwej przyjaźni, którego obie pragnęły i pożądały.

Od tej chwili pobyt w Strzałach stał się
 dla bohaterki naszej rozkosznym. Listy jakie
 pisywała do rodziców, napełniały się coraz bardziej
 pochwałami Leonii, Leonia zaś coraz częściej ro-
 dzicom swoim mawiała, że w Bożennie prawdzi-
 wy skarb znalazła.

Nie ma pospolicie nic kruchszego nad przy-
 jaźń kobiet; jedno spojrzenie obojętnego nawet
 mężczyzny może ją podkopać i najdrobniejszy
 odcień wyższości, przyznany w świecie jednej
 z przyjaciółek nad drugą, w proch ją rozsypuje
 zazwyczaj.

Przyjaźń Leonii z Bożenną wyjątkowo wy-
 chodziła zwycięzka i czysta ze wszystkich prób,
 częścią dla tego że odmiennego będąc usposobienia
 i piękne wcale różną pięknoscią, nikomu się nie
 zdawały rywalizować z sobą wdziękami i jedna

drugiej przyćmiewać nie mogła; częścią, większą może, dla tego, że w sądzie o mężczyznach gusta ich były różne, tak że ilekroć odezwała się która o kim przychylnie, tyle razy druga była wprawdzie zmuszoną oddać świadectwo zaletom powierzechownym pochwalonego, lecz czuła w duszy i wyznać mogła szczerze, iż doń żadnego mieć by nie mogła pociągu.

Tym sposobem dwie przyjaciółki wiedziały, że serca ich nigdy nie staną sobie na drodze i w strasznym pojedynku zazdrości, krwawego nie rozpoczną boju.

Było to może najsilniejszym fundamentem ich przyjaźni.

Bohaterka nasza przybyła do Strzał w marcu, w czasie toczącej się walki zimy z wiosną, walki w roku w którym to się działo zakończonej już w pierwszych dniach kwietnia, świetnem i szybkim najrozkoszniejszej pory roku zwycięstwem.

W oczach dwóch poznających się wzajem i zaprzyjaźniających dziewic, kwiaty i pola okrywały się zielonością świeżą, z nieba schodziły bezpowrotnie brudne chmury zionące śnieżystą zawieją, słońce uśmiechało się coraz wdzięczniej...

Przyszedł maj, a z nim pora wycieczek rannych, ulubionych Leonii, a nie znanych dotąd w całym ich wiejskim uroku Bożennie.

Na pierwszą taką majówkę puściły się obie konno, same, bez żadnej służby i pojąc się świeżem, wonnem powietrzem wiosny, oddaliły się znacznie od domu, zagadane o tysiącu przedmiotów, jakich Buzi nastroczyła nowość wrażeń pierwszy raz w życiu odbywanej wiejskiej przejażdżki, a Leonii widok towarzyszki, która zaznajamiając się dopiero z przyjemnościami wiejskiego życia, odkrywała w niem coraz nowe czary, dla wzrosłej i wychowanej na wsi panny Strzańskiej już spowszedniałe nieraz, a zatem nie uderzające.

Słońce wzbilo się dość wysoko, gdy dwie młode amazonki wracały do domu, umyślnie obierając drogę inną od tej, jaką przyjechały.

Wypadło im przejeżdżać w bliskości dworu rozkosznym krajobrazem otoczonej wioski.

Krajobraz jaki miały przed sobą nie dałby się opowiedzieć ani opisać. Zdawało się, że wszystko w niem było zwyczajnem, nie przys-
trajały go rysujące na widokregu góry, nie przyozdabiał żaden sztuczny ani naturalny wodospad, nie było widać w dali żadnych malowniczych ruin, — a przecież gdy go oko objęło, znajdowało w nim jakiś prawdziwy, głęboki urok, w tak harmonijną całość układało się tam wszystko, co zwykle widoki wiejskie stanowi: piękny dwór, bogaty we wspaniałe drzewa ogród, malowniczo ugrupowane zabudowania, chaty włos-

ciańskie, długim ciągnące się szeregiem, mały drewniany kościółek na pagórku, krzyż przy drodze w oddali, wiatrak poważnie poruszający ramionami i uroczystym cieniem pociągająca dąbrowa.

Wszystko tam było, pojedynczo wzięte, nie uderzającym i prostem, lecz w ogólnej całości miało tyle powabu, iż prawdziwy artysta nie poważyłby się dodać ani ująć jednego rysu temu obrazowi, pełnemu prostoty i piękna.

— Czy znasz tę wioskę?—zapytała Bożenna Leonii.

— Mniej niż wszystkie w okolicy, — odpowiedziała zagadnięta, — bo prawie tylko z nazwiska. Są to Wręcze. Należą do ludzi bogatych, którzy nigdy w nich nie mieszkają, gdyż mają większe dobra w innej części naszej prowincji. Dla tego też ich nie znamy. Tą wioską i sąsiednią administruje podobno jakiś rządca, człowiek którego dotąd nigdzie w sąsiedztwach spotkać mi się nie zdarzyło. O ile wiem, nie ma być amatorem towarzystw, a raczej towarzystwa nasze galicyjskie nie są amatorami oficjalistów, chociażby nawet ludzi nauki i prawości, jakim ma być rządca tutejszy!...

— Jakaż to prześliczna posiadłość! — zawołała rozpatrując się w krajobrazie Bożenna.

— Najpiękniejszy ogród, — nieprawdaż?...
 Aż szkoda, że w tak przyjemnym miejscu nie
 zamieszka ktoś stale. Przybyłoby nam jedno roz-
 koszne sąsiedztwo.

— Z którego skorzystałybyśmy i dzisiaj,
 wstępując na chwilę spoczynku, ot, choćby do
 tego ogrodu, — dodała bohaterka nasza.

— O! wszak to i bez tego zrobić możemy,
 jeżeli pragniesz spocząć, — odrzekła Leonia, —
 w tym względzie nikt nam nie przeszkodzi. Lu-
 dzie mnie znają a chociaż nie ma państwa, to
 drzewa będą gościnne i nie odmówią nam chłodu
 i cienia.

Tak rozmawiając, dwie przyjaciółki zajęchały
 przed ogród i zamieniwszy słów parę z jednym
 ze spotkanych ludzi, zsiadły z koni, zostawiły je
 człowiekowi od którego żądały objaśnień, weszły
 między cieniste drzewa i wkrótce znikły w za-
 krętach alei, wesołą z sobą prowadząc rozmowę,
 rozkoszując się cieniem, kwiatami i wiosną.

Po kilku chwilach takiej przechadzki, zna-
 lazły się przed cieplarnią.

Jedno z jej okien było otwarte. Buzia rzu-
 ciła w nie okiem przechodząc, lecz już spojrzenia
 swego oderwać nie mogła.

Leonia uszła parę kroków, nim się spostrze-
 gła, że jej towarzyszka została za nią i milcząca

w niemiem zachwyceniu w przedmiot jakiś się wpatrywała.

Spostrzegłszy to, podbiegła ku niej, rzuciła okiem w okno cieplarni i zawołała, podobnie jak jej towarzyszka zdumiona:

— Al! cóż to za cudny kwiat... nigdy nie widziałam go jeszcze.

— Dla mnie ten kwiat nie jest obcym,—odrzekła Buzia,—mam jego rysunek, który jednak rzeczywistości nie dorównywa. Nie przypuszczałam żeby był tak piękny... W naturze widzę go po raz pierwszy, a przecież...

— Przecież?... podchwyciła Leonia.

— W życiu mojem już on odegrał bolesną, chociaż śmieszłą rolę.

— O!... to coś ciekawego, Bożenno, musisz mi opowiedzieć... nie ustąpię...

Opowiem ci... tylko...

Tutaj zabrakło Buzi głosu. Zmieszala się... krew jej żywym rumieńcem nabiegła do twarzy, oczy nie wiedziały jak patrzeć, a cały słownik rozsypał się na chwilę i uleciał, tak że wyrazu mogącego dokończyć zaczęte zdanie znaleźć nie mogła.

Leonia patrzyła na nią zdziwiona, nie wiedząc czemu rzypisać ten dramat, jaki się na jej twarzy odgrywał.

W głębi cieplarni, do wazonu z symbolicznym kwiatem z Sumatry, zbliżył się w tej właśnie chwili młody człowiek w eleganckim rannem ubraniu i spostrzegłszy dwie osoby, przyglądające się cudowi botanicznemu który pielęgnował, rzucił najprzód na Buzię okiem, w którego spojrzeniu było tyle pewnie zdziwienia, ile szczęścia, a po chwili, przypomniawszy sobie obowiązki grzeczności, uprzejmym obie powitał nklonem.

Buzia poznała w nim Zygmunta Starzę i serce jej gwałtownem biciem zdradzać zaczęło, że w jednej chwili przypomniało sobie to wszystko, o czem mu przez cały rok zapomnieć nakazywała.

Pierwsze słowo jakie zamienić mieli, poprzedziła krótka chwila milczenia, która potrzebną była obojgu na ochłonięcie ze zdziwienia, spowodowanego niespodzianem spotkaniem.

Milczenie to przerwał Zygmunt.

Ze wszystkich myśli jakie tłumem zbiegły mu się do głowy, najuporczywiej i najgłośniej wołała o swe prawa jedna, dziwna może. Zdawało mu się że winien Buzi usprawiedliwienie, jakim sposobem znajduje się w kraju. W ostatniej z nią rozmowie, której zapomnieć nigdy nie mógł, a która stała się teraz w jego pamięci, powiedział jej, że wyjeżdża za granicę, aby tam ponieść boleść swoją i całym życiem pracować na zapomnienie tego, czego czuł, że nigdy nie zapomni.

Tymczasem, po takim uroczystem oświadczeniu Bożenna zastawała go w kraju, nie pogrążonego w niemej rozpacz, lecz sielankowo bawiącego się kwiatkami. Czuł się zawstydzonym, jak dziecko złapane na kłamstwie, obawiał się podejrzeń, do których nastreczały się pozory. Bożenna go odepchnęła, nie miał może prawa marzyć, że jej serce odmienić się mogło dla niego; ale ją kochał i pragnął, kiedy już nie mógł być wzajem kochanym. zostać przynajmniej czystym w jej pojęciu. Lękał się pozoru, który by go zbrudził i poniżył w jej oczach, cień więc posądzenia jaki się nasuwał przeraził go. Bożenna mogła pomyśleć, że oświadczając jej swą miłość, używał kłamstwa na jej poparcie, a gdyby tak pomyślała miała by prawo i samą miłość podejrzywać o udanie. Przedewszystkiem zatem pragnął się usprawiedliwić, i w tej też myśli zawiązał rozmowę.

— Przed dwoma tygodniami,—zaczął,—nie myślałem jeszcze, że z nad brzegów pysznego Padu zmuszonym będę przenieść się tak szybko nad naszą skromną Białą. Była to niespedzianka jaką mi los wyprawił... Dziś, widząc tu panie, przekonuję się że przypadek jeszcze bardziej niespodziewane a stokroć miłsze potrafi robić niespodzianki..

W słowach tych, gdyby im nie towarzyszyło wejrzenie dziwnie ujmujące pewnym kłopotem jaki się w nim przebijał, byłaby tylko prosta, zwyczajna grzeczność dobrze wychowanego człowieka. Sposób powiedzenia ich sprawił jednakże, iż Buzia zrozumiała że znaczyły więcej i że to więcej do niej się tylko, a nie do jej towarzyszki stosowało.

Cóż jej się działo w duszy na dźwięk tego głosu i zdać sobie sprawy z tego czegoś nie mogła.

Zdobyć się na odpowiedź nie zdołała. Wy-
ręczyła ją w tem Leonia.

— Nie wiem jak pan osądzisz naszą nie-dyskrecją sąsiedzką,—rzekła.—W przypuszczeniu że nikt z rodziny dziedzica we Wręczach nie przebywa, chciałyśmy porozkoszować się tem ślicznem miejscem, dogodzić drzewom i kwiatom, tęskniącym może za kimś, coby chciał użyć ich cienia i woni. Tymczasem zdaje się że Wręcze przeszły w inne ręce, choć o tem milczą kroniki parafjalne, i że znalazły pana, co od nich nie stroni...

— Przeciwnie pani,—odrzekł Zygmunt,—nie się nie zmieniło we Wręczach. Drzewa i kwiaty tego ogrodu jak dawniej tęsknią za kimś coby je ukochał. Wieś ta ciągle należy do mojego stryja, ja zaś bawię tutaj chwilowo... nim mnie

obowiązki zarządcy, jakie na siebie przyjąłem, nie powołają do innych jego dóbr...

Wzmiankę o tem, że jest tylko zarządcą dóbr stryjowskich, wypowiedział pan Zygmunt z pewnym naciskiem, zwracając oczy na Buzię, której smutno się zrobiło na myśl, że kiedy ona posiada tak wielki majątek, on walczyć musi z losem na tak skromnem stanowisku. Nacisk jaki kładł Zygmunt na swe słowa, zdawał się jej wywołanym przez szlachetną dumę: przypominał on swoje ubóstwo milionowej pannie, co go odepchnęła, jak gdyby chlubił się z niego. Tak to przynajmniej zrozumiała Bożenna, i aby się przekonać czy się nie myliła, czy ta szlachetność, w którą tak łatwo oblekała teraz człowieka zostającego w jej przekonaniu pod zarzutem najobrzydliwszej interesowności i udawania uczuć, jest rzeczywiście — umyśliła sobie sposób, jak jej się zdawało nieomylny, i tylko czatowała na chwilę odpowiednią do użycia tego sposobu.

Nie potrzebowała czekać zbyt długo, przy szczerzej bowiem chęci powiedzenia czegoś, zawsze się znajdzie po temu sposobność.

— Sądzę, że odjeżdżając, — zaczęła znów Leonia, — będziesz pan żałował tego miejsca, które obok piękności położenia, posiada jeszcze takie osobliwości, jak ten oto kwiat, podobno niesłychanie rzadki.

— Panie znają tę osobliwość botaniczną?

— Ja nie znam, lecz Bożenna...

Tutaj Buzia czuła się w obowiązku przerwać Leonii i wytłumaczyć się z kolei przed panem Zygmuntem. Przypomniało jej się symboliczne znaczenie kwiatu z Sumatry i wyrozumowała sobie, że gdyby pan Zygmunt sądził, że ona zna bliżej ten kwiat, to by go naprowadziło na wcale błędne i nie potrzebne domysły.

— To jest,— wtrąciła spiesźnie,—nie widziałam go nigdy. Pokazywano mi tylko rysunek, który dał mi niejaki wyobrażenie o piękności jego w naturze. Ale nic więcej, nic więcej...

Drugie „nic więcej“ powiedziane było z większym przyciskiem niż pierwsze. Buzi jednakże nie zdawało się, żeby i ten przycisk był dostatecznym i byłaby to wyrażenie powtórzyła po raz trzeci, gdyby się Zygmunt nie odezwał:

— Więc pani zawsze tak lubi kwiaty jak w Krakowie?...

Zapytanie to dało bohaterce naszej sposobność do wtrącenia przygotowanego zdania, którem miała sprawdzić czy pan Zygmunt był zdolnym do szlachetnych uczuć.

— Lubię, — odrzekła, — lecz musiałam odmówić sobie nawet tego drobnego zbytku, od czasu jak moi rodzice stracili cały majątek...

Ostatnie wyrazy mówiła Buzia powoli, wyraźnie i zrobiła po nich pewien przestanek, pragnąc spostrzedz, jakie też na Zygmuncie uczynią wrażenie.

Rzuciła na niego okiem badawczem; ale twarz pana Zygmunta nie mówiła nic takiego, coby się na złe wytłumaczyć dało. Było w niej coś niezrozumiałego, z przymieszką ubolewającego współczucia, wszystko to jednak razem było sympatyczne i miłe.

Gdyby Bożenna mogła odczytać wyraźnie myśl na twarzy Zygmunta napisaną, dowiedziała by się, że ta myśl była mniej więcej taka:

— Biedaczka!... co jej rodzice mogli mieć?.. I ona to majątkiem nazywał!..

Ta myśl podyktowała panu Zygmuntowi następne znowu pytanie:

— A zatem pani ojciec już nie zajmuje dawniejszej posady?

— Nie,—odpowiedziała Buzia, i bardzo dziwnie jej się to wydało, że pan Zygmunt sądził iż ojciec jej jeszcze w owym czasie u bankiera pracował.

— Tym sposobem i państwo przechodzić musieliście smutne koleje... — Zawołał Zygmunt z niekłamaniem współczuciem.

— Tak panie.... smutne.... tak dalece, że zmuszoną zostałam szukać obowiązku, i tylko

w tem los mi życie osłodził, że zamiast pani, dał mi przyjaciółkę, która...

Leonia przerwała jej uściskiem.

Od chwili tego zwierzenia, Zygmunt, dotąd uprzejmy salonową tylko grzecznością, stał się uprzedzającym dla Buzi. Jakkolwiek i dalsza rozmowa nie zdawała się, zapewne ze względu na Leonia, zupełnie Zygmuntowi nieznajomą, wykraczać po za obręb ceremonjalności, Bożenna znalazła w niej jednak tyle wskazówek najwyższego dla swej doli współczucia, że gdy nareszcie opuściły Wręcze,—Zygmunt zdał jej się oczyszczonym zupełnie z ciężących na nim podejrzeń i powiedziała sobie:

— Człowiek co tak czuć umie nieszczęście drugiego, nie może być spekulantem.

Już w drodze Leonia dopytywała się natarczywie Bożenny o historję kwiatu z Sumatry, Buzia jednakże zbyt świeżemi wrażeniami przepelniona wymówiła się na czas jakiś i przyrzekła jej opowiedzieć wszystko dopiero za powrotem do domu.

— Pokażę ci moje smutne pamiątki, mówiła a przy nich opowiem moją historję. Tymczasem używajmy maja.

Ledwie stanęły w domu i przebrać się zdążyły, Leonia wbiegła do pokoiku swej towarzyszki.

Samo jej przyjście było już świadectwem ciekawości i dopomnieniem się o powieść.

Bożenna uśmiechnęła się.

— Zaciekawiłam cię,—rzekła,—choć do prawdy nie byłam powinna. Jestem tutaj, żeby cię bawić, a tymczasem opowiadać ci będę bardzo smutne rzeczy.

— Będę płakała z tobą, bom ja jedyna do tego,—odpowiedziała Leonia z uśmiechem, który bynajmniej nie świadczył o jej gotowości do płaczu.

Buzia zaczęła swe zwierzenia od słów:

— Jestem, widzisz, bogata, i to całe moje nieszczęście...

Już po tych słowach Leonia przeczuła, że płaczu nie będzie potrzeba. Mimo to słuchała uważnie, uważniej może jeszcze, niż gdyby historia była płaczliwą, bo była interesującą. Gdy przyszło do szczegółowego opowiadania łzawych wypadków Buzi, stało się jak przewidywała Leonia: nie tylko łzy się nie lały potokiem, lecz nawet śmiała się nieraz panna Strzalska, śmiała się i Buzia, bo śmiech jak ziewanie jest zarazliwy.

Tylko opowiadając o oświadczeniach Zygmunta, Bożenna była poważną, a Leonia marszczyła twarz.

— Ten pan, którego dziś poznałam,—rzekła do Buzi,—nie zdawał mi się zdolnym do takiej nędznej spekulacji.

— Och!—odpowiedziała Bożenna,—ja go też dzisiaj mniej daleko posadzam, żeby był zdolnym do czegoś podobnego. Jakiś głos wewnętrzny mi mówi, że go źle osądziła wówczas. Oczywiście nawet zda się niepodobną do wiary... Czyż podobna, żeby grając komedią, grał ją zawsze i wszędzie z taką naturalnością, z takim talentem?.. Czyżby się nie zdradził kiedykolwiek... dziś na przykład?..

— Dla czegoż dziś?...

— Kiedym wspomniała, że jestem biedną, czyż nie widziałaś że postępowanie jego względem mnie stało się jeszcze delikatniejszym i uprzejmiejsem. Jestże to taktyka komedjanta? A wreszcie, gdyby był komedjantem tak doskonałym, czyżby nie był obmyślił czegoś lepszego, czegoś zręczniejszego, jak ta scena obcesowych oświadczyń, którą ci opowiadałam?... Doprawdy, jest w tem coś, czego pojąć nie mogę... Myśleć o nim nie chcę, a muszę... Odepchnęłam go, a pragnę... Och! Leonio, Leonio! jeśliś słuchać gotowa, jeśli cię moje kłopoty obchodzą, to zdaje mi się że ci nieraz jeszcze będę nim głowę zaprzętała, radząc się jak go pojmować i jak z nim począć sobie wypada.

Gdy przyszło do historii kwiatu z Sumatry i wiewiórczo-rudego koka, Buzię opuścił znowu nastrój poważny i tak humorystycznie opowiadała

niefortunnie zakończone zabiegi dwóch serdecznych przyjaciół, że Leonia zanosila się od śmiechu.

— Przecież dziś, — rzekła wreszcie w ciągu opowiadania bohaterka nasza, — nie mogłam bez wzruszenia patrzeć na kwiat, który taką rolę odegrał w życiu mojem, a który w swojej ojczyźnie ma także symboliczne znaczenie: ofiaruje go się tylko na znak...

Nie mogła dopowiedzieć Bożenna, w tej bowiem właśnie chwili wszedł posłaniec z Wręcz, przynosząc wazon z kwiatem z Sumatry, który pan Zygmunt Starża przysłał dla niej.

Podarunek ten dziwnem szczęściem ją przejął.

Zaledwie odprawiono posłańca, Leonia chciała powrócić do przerwanego wątku opowieści.

— Więc kwiat ten daje się na znak? ... — zapytała.

— Zygmunt mnie kocha! — zawołała Bożenna, rzucając się jej na szyję.

Przewrót ten zupełny w usposobieniach bohaterki naszej względem Zygmunta, w jej pojęciach o jego charakterze i uczuciach, zbyt był jednakże nagły, ażeby nie miał być chwilowym.

Ledwie została sama ze swem szczęściem, wątpliwości wkradać się znów zaczęły do jej badawczego umysłu.

— Kocha mnie, — myślała, — o Boże!... ileż szczęścia mieści ten wyraz!... Kocha mnie...

kocha... napowtarzać się nie mogę... Tylko czy naprawdę mnie kocha?... czy się nie łudzę?.. czy mam prawo wierzyć takiemu szczęściu?... czy on zna symboliczne znaczenie tego kwiatu?.. czy mi go przysłał w tem znaczeniu?...

Za tą wątpliwością przyszły natychmiast inne. Niech tylko raz zwątpienie zajrzy do duszy a powoli całkiem ją opanowyywa, jeśli nie miała siły odepchnąć go w pierwszej chwili.

— A może... — mówiła do siebie Buzia, — co za okropna myśl... może on wie dobrze, że cała historia o majątkowej stracie moich rodziców jest tylko zmyśleniem?...

Było to przypuszczenie dosyć prawdopodobne, chociaż, jak wiemy, najzupełniej nieprawdziwe. Zygmunt mógł łatwo wiedzieć, że majątek państwa Błoniczich pozostaje w ich ręku czysty i cały, a wiedząc o tem, mógł udawać że nic nie wie, ażeby właśnie ten podstęp, jakiego Buzia użyła dla wypróbowania miłości swych konkurentów, obrócić przeciwko niej i wydać przed nią za prawdziwe swoje kłamane uczucia. Podobne postępowanie byłoby tylko drugim aktem tej samej komedji, o której odgrywanie, na zasadzie tak ważnych poszlak, posądzała go Bożenna.

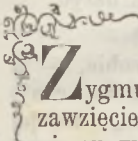
Nowa ta myśl okropnie ją dotknęła.

Kiedy się znów zeszyły z przyjaciółką, Leonia sądziła, że ją zastanie szczęśliwą, tem samem

szczęściem jakie jej przyniósł podarunek kwiatu z Sumatry; ale szczęście już pierzchnęło daleko.. Na rzesach Buzi świeciły jak brylanty dwie łzy bolesne, które na łonie swojej towarzyszki spłakała.

Leonia chciała pocieszać przyjaciółkę, lecz brakowało jej wyrazów. Ze zwierzeń jakie usłyszała dnia tego, знаła ona zbyt dokładnie całą przeszłość i wszystkie stosunki Buzi, ażeby nie miała zrozumieć, że jej obawy były bardzo, bardzo uzasadnione.

XI.

 **Z**ygmunta tymczasem ani się domyślał, jak zawzięcie krzywdzące go pozory walczyły przeciw niemu w sercu i umyśle Buzi.

Jak w chwili oświadczyn, tak i teraz spotykając ją w ogrodzie we Wręczach, nie wiedział on wcale, że rodzice Bożenney stali się niespodzianie właścicielami wielkiego majątku; jak więc wprzód nie spekulował na jej mienie, tak i teraz liczyć nie mógł na nie.

Dowiedziawszy się o poniesionych przez państwa Błonicznych jakichś ciężkich stratach majątkowych, o których istotę i powody dopytywać się delikatność mu broniła, lecz których skutki widział w przykrem położeniu Buzi, uczuł w sercu żywą boleść i postanowił...

Ażeby zrozumieć co postanowił i w jaki sposób do tego postanowienia przyjść mogło, wypada nam tu opowiedzieć w krótkości, jakie koleje

przechodził Zygmunt przez ciąg roku upłynionego, od czasu jego oświadczyn.

Widzieliśmy go wówczas wyjeżdżającym za granicę, z krwią oblanem sercem.

Cios straszny jakim była dla niego odmowa Bożenney, złamał by wielu innych mniej silnych, ale jego hartownej duszy nie mógł skruszyć.

Bolał, lecz nie padł pod boleścią.

— Nie kocha mnie, — powiedział sobie, — a jakkolwiek ta pewność serce mi rozdziera, czuję że lepiej iż mnie nie kocha. Nie zagrozę jej szczęścia w życiu, gdyż przyjęcie egoistycznej ofiary moich uczuć mogło by dla niej spowodować tylko nieszczęście. Wiem że tej rany nie przeboleję nigdy, że serce moje do ostatniej chwili bić będzie dla niej tylko, dla wspomnienia... ale łatwiej mi przyjdzie znosić to cierpienie, niżby zapewne przyszło przenosić inne, straszniejsze, gdybym ją zobaczył upadającą w walce z losem i gdyby ramię moje nie było dość silnem, żeby ją od pocisków złej doli ochronić.

Tak wytłumaczywszy sobie, że cios jaki jego serce poniosło, był ofiarą złożoną na ołtarzu szczęścia jego wybranej, powoli zaczął odzyskiwać spokój i w trudach umysłu i ręki szukać choć tej słabej pociechy, jaką w nieszczęściu praca pożyteczna dać może.

Stosownie do programu nakreślonego przez stryja, bawił za granicą, uzupełniając swą wiedzę tem wszystkim co za najpożyteczniejsze dla siebie i dla kraju uważał.

W duchu tego programu wypadło mu czas pewien przepędzić w Anglii.

Zwiedziwszy Londyn, Liverpool, Manchester i wszystkie ogniska wielko-brytańskiej przemysłowej i handlowej działalności, udał się na czas jakiś do Szkocji, częścią dla poznania tego pięknego kraju, lecz głównie dla wypełniania obowiązku, do jakiego się poczuwał, obowiązku odwiedzenia stryja, którego nie widział nigdy, gdyż ten przed urodzeniem jego jeszcze opuścił kraj i objechawszy cały świat, osiadł w Edymburgu, gdzie pędził życie, które ludzie nazywali dziwaczmem, a które w gruncie było tylko życiem mola zagrzebanego w książkach i stroniącego od świata.

Rodzina Starzów, z której pochodził Zygmunt, składała się po śmierci jego dziada z trzech braci. Jednym z nich był ojciec naszego bohatera, drugim stryj Roman, który po śmierci ojca nim się opiekował, trzecim Kajetan, ów edymburski uczony. Posiadali oni do podziału ogromny majątek, z którego każdy dostał znaczne dobra i część pozostałych kapitałów. Ojcu naszego bohatera przypadł dział w Sanockiem, Romanowi

w Rzeszowskiem, Kajetanowi Wręcze i przyległe do nich wioski.

Każdy z trzech braci inną poszedł drogą, tak że po ojcu Zygmunta, który umarł najwcześniej, nie pozostało nic, oprócz czystego imienia. Cały majątek zabrały osobiste i krajowe nieszcześcia.

Kajetan z młodu uczuł pociąg do podróży. Gdy tylko został panem majątku, odprzedał go bratu swemu Romanowi, za oznaczoną dosyć nisko cenę, której nie wziął gotówką, lecz nią obciążył całe jego dobra, czyniąc ją wymagalną w każdym czasie, i zastrzegając sobie od niej umiarkowany procent, a sam zabrawszy część kapitału jaka na niego przypadła z podziału, puścił się w świat i przez trzydzieści lat nie powrócił do kraju.

Wypada tu powiedzieć, że przy pomocy tej pożyczki, w korzystnych zaciągniętej warunkach majątek Romana wzrósł ogromnie i stał się prawdziwie magnackim.

Podróże zбога ciły umysł Kajetana i zachęciły go do nauki, tak że ona nareszcie jego namiętnością się stała. Zwiedzając Indje, dotarł do kolebki szczepu naszego, zapalił się do badań staro-indyjskiej literatury, nauczył się sanskrytu i studja nad tą literaturą, oraz innemi piśmienictwami wschodu, uczynił życia swoim zadaniem.

Przez cały ten czas nie naruszył majątku, ograniczając się w potrzebach nauczania oddanego życia procentem od swego kapitału, z którego jeszcze najmniej trzy-czwarte na książki i poszukiwania swoje obracał.

Tego stryja odwiedził Zygmunt.

Zastał go już starcem pochyłym i słabym, mieszkającym w kilku izdebkach od góry do dołu zawalonych książkami, ślęczącym nad jakimś starym szpargałem.

Wchodząc przemówił doń po polsku.

— Tyle lat nie słyszałem polskiej mowy,— odezwał się na to starzec.

Potem zapytał się Zygmunta o nazwisko, a dowiedziawszy się że miał przed sobą synowca, przycisnął go do piersi i trzymając ręce na jego głowie, odmówił nad nim ciche błogosławieństwo.

Po krótkiej chwili starzec ochłódł i stał się znowu zimnym, jak zbutwiała karta papieru, zapisana głoskami umarłego i zapomnianego języka.

— Cóż robisz? — zapytał.

— Uczę się,— odrzekł Zygmunt, i w krótkości opowiedział stryjowi swoje plany.

— Masz majątek?...

— Nie mam nic... wychowanie zawdzięczam łasce stryja Romana.

— A!... Roman. Pozdrówże go odemnie, i podziękuj że procent regularnie memu bankierowi przysyła... Długoż tu bawić myślisz?

— Parę tygodni,—odrzekł Zygmunt.

— Ten pobyt jest ci potrzebny w twych widokach?

— Nie... chciałem czas ten poświęcić stryjowi.

— Daj temu pokój —odrzekł suchy starzec,— jedź zaraz gdzie cię obowiązek woła. Życie ludzkie jest krótkie, oszczędzaj go...

Tu zacytował jakiś ustęp z *Szacha-Nameh*, czy z *Mahabaraty*, a potem dodał:

— Moje dni już policzone, a tyle jeszcze zrobić muszę. Przeszkadzałbyś mnie...

Tym sposobem, na wyraźne żądanie stryja, nie chcąc mu się narzucać, Zygmunt wyjechał z Edynburga.

Kilka miesięcy upłynęło zaledwie od tego czasu. Bohater nasz bawił właśnie w północnych Włoszech, gdy odebrał od stryja Romana z Galicji telegram, wzywający go ażeby przyjeżdżał natychmiast.

Nie wiedząc coby to wezwanie znaczyć mogło, porzucił wszystkie dalsze zamiary i niezwłocznie puścił się w drogę.

W tydzień stanął przed stryjem który go powitał temi wyrazami, wymówionemi dosyć kwaśno:

— Winszuję ci, Zygmuncie, jesteś bogaty.

— Jakto? stryju...

— I jesteś w tem położeniu, że gdybyś chciał, mógłbyś mnie narazić na ruinę, jak to nieraz robią synowcy, — mówił dalej również cierpko Roman Starza.

— Nie wiem jakim jest to moje nowe połączenie—odpowiedział z godnością nasz bohater;— to wiem jednakże, iż stryja na cos podobnego nie narażę.

— Ja się też tego po tobie nie obawiałem, — odparł stryj, nie dodając glosem żadnego naskisku tej pośredniej pochwale swojego synowca.— Dowiedz się tedy, że ten dziwak Kajetan zapisał ci cały swój majątek...

—Stryj Kajetan umarł?—zapytał Zygmunt.

— Jakże chcesz?... umarł!... Zapisał ci swoją bibliotekę, która nie wiele pewno warta na gotówkę, bo trzeba ze świecą szukać kogoś, coby mógł czytać książki sanskryckie, arabskie, mongolskie, tureckie i tym podobne... a oprócz tego zapisał ci dwakroć sto tysięcy reńskich, które ma na moich dobrach, co daleko więcej znaczy... Zapisał ci to wszystko, jako „jedynemu krewnemu, który go zagranicą odwiedził“... Nie-

prawdaż że oryginał?... Chciał żeby familja odprawiała pielgrzymki do jego chińskich ksiązek i staro-indyjskich wypisów.

— Och! — zawołał Zygmunt, — moje odwiedziny były tylko obowiązkiem, który spełniłem dlatego, że z łaski stryja spełnić go mogłem. Za to mi się nie należy żadna nagroda, ani tym co tego obowiązku spełnić nie mieli sposobności żadna wymówka. To też nie mogę przyjąć tego daru i chcę żeby ten testament uważany był za nie istniejący.

— Hm!.. zapaleńcze! — rzekł na to pan Roman, — więc chcesz żebym ja wziął połowę tego majątku, a ty drugą, tak jak gdyby Kajetan zmarł bez testamentu?

— Tak jest, stryju.

— A znasz mnie?...

Zygmunt milczał.

— Roman Starża nie przyjął nigdy nic od nikogo, co mu się nie należało... nawet miljonów. Pieniądze te, stosownie do warunków zawartej z Kajetanem umowy, wymagalne są za trzymiesięcznem wypowiedzeniem, w gotówce. Możesz wypowiedzieć dzisiaj.

— Ależ stryj nie ma tyle gotówki!

— Co ci do tego?

— Zaciąganie pożyczek niesłychanie teraz utrudnione, a sprzedawać część dóbr w dzisiej-

szych okolicznościach, byłoby to narażać się na ogromne straty.

— Może.... to inoja rzecz — odpowiedział sucho Roman.

— Moją zaś rzeczą jest nie dopuścić żadnych strat stryja, od którego już tyle doznawałem dobrodziejstw. Pieniądze te pozostawiam jak są obecnie na lat dwanaście; tymczasem zadowalać się będę takim samym procentem, jaki stryj Kajetan pobierał. O przyjęcie tego układu błagam jako o łaskę.

— Przyjmuję, — rzekł pan Roman po krótkim namyśle i podał Zygmunтови rękę, którą on do ust przycisnął.

Ną tem stanęła umowa. Po chwili jednak, inną myślą uderzony, Zygmunt odezwał się znowu :

— Chciałbym jeszcze o jedną łaskę prosić stryja... o pozwolenie położenia pewnego warunku.

— Jakiego?—spytał, marszcząc brwi, pan Roman.

— Żeby cały ten spadek pozostał w najzupełniejszej tajemnicy, do czasu krótkiego zresztą, w którym odsłonić ją uznam za stosowne.

— Co, czy ci stryj Kajetan razem z majątkiem i dziwactwa swoje zapisał?— rzekł z uśmiechem pan Roman.

— Muszę się wprzód oswoić z myślą żem bogaty, inaczej nie umiałbym żyć,—odpowiedział Zygmunt na pół żartem.

Stryj opierał się nieco temu projektowi, w końcu jednakże przystał na to, jak mówił, do sukcesji przywiązane dziedzictwo.

Powód jakim Zygmunt usprawiedliwił swoje postanowienie, nie był bynajmniej rzeczywistym. Życ jako bogaty człowiek potrafił on, gdyż, jak to mówią, urodził się do bogactwa, a nawet życia bez niego nie pojmował dobrze.

Rzeczywistą przyczynę jaka go skłoniła do tego postanowienia, już może niejedna z czytelniczek naszych odgadła.

Z przyjściem do majątku, ustawała okoliczność, która w oczach Zygmunta czyniła tak występniem staranie się jego o rękę Buzi.

— Teraz,—myślał,—gdyby mnie chciała, mógłbym się z nią ożenić, bez wyrzutu i obawy, że ją narażę na nieszczęście, na walkę z losem, zbyt trudną na słabe jej siły. Odepchnęła mnie... prawda; być może przecie, że jeżeli dotąd zamaż nie poszła, zdołam przełamać jej postanowienie.

Bohater nasz wiedział, jak magnetyczną władzę wywierają na ludziach pieniądze. Nie posądzał Bożenney o skłonność rachuby, wołał jednakże stanąć powtórnie przed nią jako biedny,

niż się przedstawić jako posiadacz znacznego majątku.

— Gdyby teraz udało mi się pozyskać jej serce, — mówił do siebie, — myślałbym że je nie sobie, tylko majątkowi memu winienem, i ta myśl zatrułaby pożycie nasze.

To było jedynym powodem, dla którego chciał ukryć spadek.

Dopiąwszy tego celu, byłby natychmiast pojechał do Krakowa, gdyby go nie zatrzymywał przez dni kilka inny jeszcze obowiązek.

Za zgodą stryja pojechał do Wręcz i tam się zajął przygotowaniem do wzniesienia grobowca i pomnika dla swego spadkodawcy, Kajetana Starzy, którego ciało zamierzył sprowadzić ze Szkocji i pochować w kościele we Wręczach.

Był to obowiązek wdzięczności, o którym niejeden spadkobierca, w takich jak Zygmunt zostający warunkach, byłby zapewne nawet nie pamiętał.

Dwa dni ledwie bawił Zygmunt we Wręczach, wydając potrzebne rozporządzenia, po ukończeniu których zaraz nazajutrz miał wyjeżdżać, gdy ogrodnik zaprowadził go do cieplarni, aby pokazać przypadkowo nabytą osobliwość, o której dziwne opowiadał rzeczy.

Zygmunt poszedł oglądać wspaniałe kwiaty z Sumatry, i patrząc nań, zobaczył przyglądającą mu się także tę, która ciągle stała przed oczyma jego ducha, lecz którą zobaczyć tak nagle u siebie, najmniej zapewne się spodziewał.

Resztę już wiemy.

Wyjeżdżać do Krakowa nie było po co. Zygmunt posłał kwiaty Buzi i został we Wręczach.

Został z boleścią nad nieszczęściami jakie dotknęły jego wybrankę, ale z nadzieją w duszy że jemu może będzie dane tym nieszczęściom koniec położyć.

Oprócz bóli i nadziei którym się naprzemiennie oddawał, pozostała w nim niebezpieczna towarzysząca... myśl własna, która tak często rolę złośliwej Nemezys przybierać lubi na siebie i szczęście nasze zamącać.

Myśl pana Zygmunta zaczęła przeciw jego szczęściu spiskować.

— Cóż z tego,—mówiła mu,—żeś się ukrył z majątkiem, kiedy oni w taką biedę popadli. Panna zmuszona szukać chleba u ludzi, poczytuje za karierę każdą partję, która jej zapewnia byt niezależny. Jakkolwiek się udajesz za biednego, jesteś zawsze w obec niej magnatem. Jeżeli się oświadczysz powtórnie, gotowa pójść za ciebie, nie dlatego żeby cię pokochała, lecz żeby nie zostawać dłużej w obowiązku..

Zygmunt odepchnął tę myśl z pogardą, ale sto razy odepchnięta, zawsze powracała natrętnie.

Po kilkogodzinnem walczeniu z nią, bohater nasz rzekł do siebie:

— Niegodziwem byłoby z mojej strony, posądzać o podobne rachuby Bożennę... Jeżeli jednak takie myśli powracać będą nieustannie, czuję że zamąciły by pogodę pożycia naszego, gdyby powtórne oświadczyły moje zostały przyjęte. Dlatego, nim się oświadczę, winienem jej rodzicom przywrócić utracone stanowisko. Gdy będzie na tym samym stopniu zamożności co przedtem, albo na wyższym, wtedy oświadczę się na nowo, a jeżeli mnie przyjmie, to będę pewnym że mnie kocha.

Spełnienie tego zamiaru dla niejednego byłoby niezmiernie trudnem; ale Zygmunt krótko myślał jak się wziąć do dzieła.

W kwadrans powziął postanowienie, a w chwilę potem siedział już na koniu i pędził do Lwowa.

Przybywszy na miejsce, udał się do bankiera swojego stryja i miał z nim dosyć długą rozmowę na osobności, skutkiem której finansista wyprawił natychmiast list rekomendowany, pod adresem pana Wojciecha Błoniczkiego w Krakowie.

Powróciwszy do siebie, bohater nasz był niezmiernie szczęśliwy... Myśli nasuwającej mu się uporczywie miał już co odpowiedzieć.

— List jutro będzie w Krakowie, — mówił do siebie. — Nie ma wątpliwości, że o tak pomyślnej nowinie natychmiast napiszą do córki. Odpowiedź przyjdzie pojutrze. Bożenna dowie się, że jest niezależną i gdy się jej oświadczę, będzie panią swej woli, daleko więcej niż jest teraz... Pojutrze zatem... albo raczej za trzy dni.... Godzi się dzień dołożyć na możebną zwłokę.

Nazajutrz skorzystał z zaproszenia, jakie opuszczając ogród we Wręczach, zwróciła doń Leonia i pojechał złożyć pierwszą wizytę w Strzałach.

Państwo Strzalscy przyjęli go z całą uprzejmością, tylko w rozmowie Leonji przebijał niekiedy jakiś lekki odcień zręcznie grzecznością maskowanej ironji, z którego Zygmunt nie mógł naturalnie zdać sobie sprawy; — tylko Buzia, czująca w swoim sercu jakąś dziwną mieszaninę szczęścia i bólu, była smutną i mało mówną, lubo niekiedy rozpogadzała się jej twarz i spojrzenie nabierało jakiegoś dziwnie miłego wyrazu.

Z tych odwiedzin Zygmunt powrócił do siebie, nie mogąc sobie zdać sprawy, czy ma być zadowolonym, czy nieszczęśliwym.

Cieszył się na myśl, że Bożenna w tak przykrem zostając położeniu, nie upadała pod niem, nie starała się chwycić pierwszej lepszej deski ocalenia, jaką on był dla niej, on, który mógł jej przynieść niezależność, — że była panią siebie i żadnem słówkiem nie ośmielała go do nadziei; — a przecież smucił się tem właśnie, że go nie ośmielała.

Raz mówił sobie:

— To silna dusza, której nawet nieszczęście nie złamie.

To znowu myślał:

— Jestto serce czyste, anielskie, lecz ono dla mnie nigdy być nie będzie.

Bożenna, po odjeździe Zygmunta, zostawiła bieg wolny swoim myślom.

— Kocha mnie... lub przynajmniej udaje że kocha.... A!... cóż to za okropna niepewność!... Z postępowania jego dawniejszego i dzisiejszego wniesć mogę, że ponowi prośbę o moją rękę... prędzej może jak myślę... Oh! bo on taki skory do oświadczeń!.. Cóż wtedy pocznę?..

Zadawszy to pytanie samej sobie, Buzia długo szukała odpowiedzi. Nareszcie myśl jej cichym szeptem wypowiedziała słowo, którego nawet w obec siebie samej powtórzyć nie miała siły:

— Odrzucę...

Na ten szept wewnętrznego głosu, z pięknych jej oczu popłynęły dwa strumienie gorących łez.

— Odrzucić?... — mówiła w duszy, — odrzucić, jestto zabić swe szczęście na wieki. Dla czego je zabijać? Mamże pewność że mnie nie kocha?... nie mam żadnej. Mam tylko podejrzenie, uzasadnione prawda, lecz kto zaręczy że prawdziwe?... A jeżeli w jego sercu jest choć drobna iskierka miłości, czyżbym jej nie była zdolną rozniecić będąc jego żoną, kochając go tak jak czuję że go kochać mogę, jak go... Kocham!.. Kocham go... tak, Kocham go, po raz pierwszy sobie to mówię, lecz wiem że to czuję oddawna... od tej chwili kiedym go odepchnęła i kiedym nad tem odepchnięciem tak krwawymi łzami płakała...

Miłość wyznana przed sobą samą zaczynała w sercu Bożenney gwałtownie upominać się o swe prawa i nad wszystkimi jej uczuciami dyktatorską obejmować władzę. Od chwili tego wyznania, zrobionego w głębi duszy lecz tak głośno, że je całe jestestwo słyszało, postanowienie Bożenney było już nieodwołalne.

— Kocham go, — dumiała, — czemuż się nie mam poświęcić dla niego?.. Jeśli mu idzie tylko o mój majątek, czy nieszlachetniej dać mu

go, kiedy go kocham, niż go skazywać na niedostatek?... Ponieważ trzeba dać i siebie w dodatku, oddam się... bo kocham... a jeśli się przekonam że nie dbał o mnie. Oh, gdybym się o tem przekonać miała!... No, to cóż?... to... umrę. Nie musi być tak trudno umrzeć, kiedy się kocha i nie może być kochaną... Tak! poświęcę się... i umrę...

Tu przerwała sobie... łzawem okiem spojrziała w przestrzeń, w stronę Wręcz... potem na kwiat z Sumatry, co swym cudnym kielichem zwrócił się do słońca... potem spuściła głowę i znów w jej myśli cichym szeptem zaszeleściło złowrogie słowo:

— Odrzuć...

W chwilę potem weszła do niej Leonia a zastawszy ją smutną, po swojemu rozweselić pragnęła.

— Widzisz jak się stawił pan Zygmunt...— zawołała. — Dwudziestu czterech godzin nie wytrzymał. Ręczę że drugie nie upłyną, a przyjedzie powtórnie... To mi gorączka!

Bożenna milczała.

— Tylko szkoda, żeś była taka smutna. Ja na twojem miejscu wcale inaczejbym się wzięła do niego.

— Jakże? — szepnęła Buzia.

— Takbym manewrowała oczami i językiem, że pan Zygmunt nieborak rozochociłby się na nowo do przypuszczenia szturm... a jakby się oświadczył powtórnie...

— To cóżbyś uczyniła?...

— Tobym mu dała taki wianuszek, żeby sobie z niego kilka mierzyc głocho wymłócił, — zakończyła śmiejąc się Leonia.

Bożenna się nie śmiała.

— A ty cobyś zrobiła?.. albo raczej co zrobisz? bo on się i bez manewrów oświadczy o banknoty dziadka Cyprjana.

— Dam mu... banknoty.

— A z sobą co poczniesz?...

— Umrę.

Leonia spoważniała nagle.

— Biedna!... więc ty go kochasz? — zawołała.

Buzia spuściła oczy i odpowiedziała milczeniem, po którym długo w jej pokoiku nie śmiech wesoły, lecz ciche szepty dwóch towarzyszek słyszać było.

Następnego dnia Zygmunt znowu był w Strzałach, usprawiedliwiając, a raczej pozorując te zbyt pospieszne drugie odwiedziny, przywiezieniem jakiejś książki, o której w czasie pierwszych jego odwiedzin wspomniała przypadkiem Leonia i którą jej, chwytając w lot

sposobność do powtórnej wizyty, natychmiast doręczył.

Tym razem zastał Bożennę i Leonia w zupełnie odmiennych usposobieniach, niż w czasie pierwszych odwiedzin.

Leonia była serdecznie wesołą i dziwnie czegoś zadowoloną. W rozmowie jaką z nim prowadziła, Zygmunt napróżno szukał tego odcienia ironji, który go dnia poprzedniego drażnił, intrygował i bolał.

Coś zewnętrznego oddziaływało na jej kapryśne widać usposobienie i z ugrzecznionego szatanka, w przeciągu jednej nocy, uśmiechniętego anioła dobroci z niej zrobiło.

Więcej jednakże zdumiała bohatera naszego zmiana jaką dostrzegł w Bożennie.

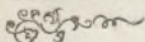
Była ona poważna, lecz cała promieniała szczęściem. Wczorajszy smutek znikł z jej czoła, a zapanowała na niem ta uroczysta pogoda, jakiej odcień zaledwie pokazywał się poprzedniego dnia chwilowo, by natychmiast czarnym chinurom miejsca ustąpić. Obejście jej z Zygmuntem było miłe, przyjacielskie, oczy, choć im kazała milczeć, o czemś więcej jeszcze jak o przyjaźni mówiły.

Zygmunt przypisywał te zmiany wiadomości jaką Bożenna mogła już tego dnia odebrać od rodziców, i dziwił się czarodziejskiej potędze

dobrej nowiny, skutki jej bowiem przechodziły jego oczekiwania.

Bohater nasz nie mylił się. Bożenna rzeczywiście odebrała list od matki, i ten rozjaśnił jej oblicze; lecz Zygmunt miał jak najzupełniej mylne wyobrażenie o treści tego listu i rzeczach które z niego wyrozumieć mogła Bożenna.

XII.



Pañstwo Wojciechostwo smutnie pędzili czas w Krakowie, od chwili odjazdu swojej córki.

Pan Wojciech pocieszał się arytmetyką, ale słaba to była pociecha, bo mu nieustannie Buzię przypominała, gdyż najczęściej obliczał ile godzin, minut i sekund upłynęło od jej wyjazdu. Rachunek to był łatwy, co prawda, lecz mu dosyć czasu zabierał; ile razy bowiem spojrzał na zegarek, tylekroć spostrzegał, że upłynęły nowe godziny, minuty i sekundy i że poprzednie obliczenie poprawić było potrzeba.

Pani Wojciechowa pisała zrazu same tylko elegje, potem zaczęła pisać treny, a i te były codzień łzawsze.

Czas im płynął jednostajnie. Tęsknili, a nie ma nic monotonniejszego nad tęsknotę.

Dwa miesiące takiego życia nplynęły, gdy jednostajność jego przerwał list rekomendowany ze Lwowa.

Pan Wojciech wziął go w rękę, włożył okulary, z zadziwieniem ujrzał na kopercie firmę bankiera, z którym nigdy nie miał osobistych stosunków, a z jeszcze większym zdumieniem, złamawszy pieczętkę, dobył z koperty weksel na pięćset reńskich i wyczytał co następuje:

Szanowny Panie!

Dowiedziawszy się od jednego z moich klientów, że szanowny pan nie pracujesz już w kantorze bankierskim N. N. w Krakowie i że poszukujesz miejsca, pragnąłbym mieć u siebie tak zaszczytnie znanego z uzdolnienia i charakteru pracownika i dla tego ofiaruję panu miejsce u mnie, takie same jakie zajmowałeś uprzednio, z płacą dwa tysiące reńskich rocznie.

Nie wątpiąc że szanowny pan przyjąć zechcesz moją propozycję; załączam pięćset reńskich w wekslu płatnym *à vue* u dawnego pańskiego pryncypała, na koszt przeniesienia się pana wraz z rodziną do Lwowa, które radbym żeby nastąpiło niezwłocznie.

Z uszanowaniem X. X.

Pan Wojciech czytał i oczy przecierał.

— Poznali się na wartości człowieka. — mówił do siebie z dumą. — Dwa tysiące reńskich, to nie lada rzecz. Pięćset na kosztą podróży... płaci jak pan.. Szkoda doprawdy, że mi ta posada niepotrzebna.

Pokazał żonie odebrane pismo.

— Ktoś chciał sobie widocznie zażartować z tego bankiera,—rzekła pani Wojciechowa.

— Zażartować!...—zawołał pan Wojciech,—zażartować z człowieka, który tak wysoko swoją pracę cenić potrafi, nie znając mnie nawet osobiście... Ho! na to już nie pozwolę.

I oboje państwo Wojciechostwo siedli do pisania. Mąż odpisywał bankierowi, żona zaś odpieczętowała przed chwilą ukończony list do Buzi, żeby dodać dopisek o zaszłym wypadku.

List pana Wojciecha był tej treści:

Szanowny panie!

Odziedziczywszy znakomity majątek po ś. p. ojcu moim Cyprjanie, zmarłym dnia 9. maja r. z. o godzinie 7. rano, sam dobrowolnie porzuciłem obowiązki, które przez 23 lata, 8 miesięcy i tyleż dni w kantorze bankierskim N. N. w Krakowie pełniłem. Odtąd nie miałem myśli starać się o miejsce, rozporządzam bowiem docבודami, przewyższającymi najwymyślniejsze moje po-

trzeby, i dla tego odrzucić muszę pańską propozycję, z tem większym żalem, że prawdziwie hojnym oznaczeniem wynagrodzenia dałeś pan dowód, iż sumienną pracę cenić potrafisz.

Uczyniłbyś mi, szanowny panie, prawdziwą przysługę, donosząc kto był łaskaw starać się bez mojej wiedzy o pomieszczenie dla mnie i zdołał żart ten osłonić powagą tyle szanownej firmy pańskiej.

Weksel na 500 złr. zwracam.

Z uszanowaniem,
Wojciech Błonicki.

Pani Wojciechowa przy swojej pasji do pióra, zrobiła dopisku w liście do córki najmniej półtorej stronicy, i w kilku miejscach opowiadanie o zaszłym nieporozumieniu przeplatając wierszami, opisała wypadek dramatycznie, z pewną przymieszką liryzmu.

Oba listy razem oddane zostały na pocztę.

Od czasu opowiedzenia Leonji swoich losów, Bożenna nie miała już przed nią tajemnic, jakkolwiek położenie jej rzeczywiste trzymanem było ciągle w sekrecie przed wszystkimi, nawet przed rodzicami panny Strzalskiej. Gdy więc przyszedł list z Krakowa, odczytały go obiedwie.

Czytając dopisek, Leonia roześmiała się serdecznie.

— Widzisz, jak się doskonale rozeszło, żeście zbiednieli, — zawołała, — już się i protektorowie trafiają!...

— To właśnie mnie intryguje, że się podobna pogłoska rozejść mogła, — odpowiedziała Bożenna. — Nie myślałam nigdy puszczać tej wieści.

— Jakto nie?... przecież sama to mówiłaś panu Starzy we Wręczach.

— Prawda, lecz nie mówiłam tego nikomu więcej... Przypominasz sobie przecie, że rodzice moi głoszą iż bawię daleko u krewnych. Ja tutaj jestem pod zmienionem nazwiskiem... pogłoska o stratach majątkowych była zupełnie niepotrzebna, a zresztą zbyt łatwo wydaćby się mogło, że to nie prawda.

— A więc to chyba pan Zygmunt ją puścił...

— I tak zaraz na jego słowo znalazłby się jakiś protektor, w tych stronach, gdzie nikogo znajomego nie mamy?...

— A!... poczekaj, — rzekła na to Leonia, — jaki protektor... to się można domyślić... X. X. jest bankierem pana Romana Starzy, stryja Zygmunta.

— Co mówisz?... wiesz to napewno?...

— Ale najniezawodniej... mój ojciec wie o tem najlepiej.

— A zatem nikt inny, tylko Zygmunt Starża, starał się dla ojca mego o miejsce.

— I mnie się zdaje że chyba on użył do tego stosunków swojego stryja.

— Ależ w takim razie toby dowodziło — zaczęła, nie śmiąc jeszcze wierzyć swemu szczęściu, Bożenna.

— Że on nic nie wie o waszym majątku, — dokończyła jej myśli Leonia.

— Lecz w takim razie...

— W takim razie i jego miłość jakoś szlachetnieje w mych oczach, — wesoło dodała panna Strzalska; — tylko że...

— Cóż takiego? — zapytała Buzia z obawą.

— Jakże może nie wiedzieć teraz, jeżeli wiedział gdy się oświadczał przed rokiem.

— Mówiłam ci że się oświadczył w kilka godzin po śmierci dziadka.

— W takim razie wszystko jest jasne. Wówczas posądzałaś go niesłusznie. Myślał że się oświadcza córce buhaltera, pannie nie mającej posagu.

— A więc mnie kochał bez majątku! — zawołała szczęśliwa Buzia, rzucając się na szyję Leonji.

— Kocha cię, jeżeli to on wystarał się o miejsce dla twego ojca.

— Och!.. on... on.. niezawodnie!...

— Mimo to wypada się przekonać. Poczekajże, jak przyjedzie, zręcznie wybadamy go obiedwie, a tymczasem bądź dobrej myśli... Może się jeszcze pokaże, że można być szczęśliwą przy posagu... A! Buziu, ja ci serdecznie życzę, żeby się tak pokazało, bo od wczoraj, patrząc na ciebie, i mnie się chce być nieszczęśliwą, na samą myśl że i ja także mam posag.

Takim sposobem list pani Wojciechowej sprawił w usposobieniach dwóch przyjaciółek tę czarodziejską zmianę, która tak zdziwiła Zygmunta.

— Poczciwe dziecko! — myślał on o Bożennie, — jak się cieszy z tego drobnego szczęścia rodziców, co skróci jej z nimi rozłąkę.

Buzia z Leonią powzięły myśl, zresztą bardzo naturalną, grania dalej tej niewinnej komedji, która już tyle szczęścia bohaterce naszej przyniosła i postanowiły powiedzieć Zygmuntowi, że pan Wojciech otrzymał posadę we Lwowie, a mówiąc o tem, zważać pilnie na niego, czy się czemkolwiek nie zdradzi, żeby się ostatecznie o tem, o czem już nie wątpiły, przekonać.

Według przyjętych ról Buzia miała zacząć o tem rozmowę.

— Odebrałam dziś list od mamy, — rzekła do Zygmunta, — z bardzo pomyślną nowiną.

Tutaj przerwała sobie, sądząc iż Zygmunt zada jakie pytanie, z którego dałoby się może wywnioskować, że nie jest obcym tej nowinie.

Zygmunt czuł że mu jakieś pytanie zadać wypadało, dlatego właśnie, żeby lepiej pokryć swój udział we wszystkim co zaszło; bał się jednakże dopytywać, czuł bowiem, że nie przywykły do udawania, mógłby się zdradzić mimowolnie.

— Dobra nowina, — rzekł tylko, — rzecz to rzadka a pożądana zawsze... Winszuję jej pani serdecznie.

— Mama mi pisze, — zaczęła znowu Buzia, — że bankier X. we Lwowie...

— Przepraszam że ci przerwę, Buziu, — wtrąciła Leonia, — czy pan nie zna przypadkiem bankiera X.?

— Z nazwiska, pani.

— Jest jednak bankierem pańskiego stryja?...

— Zdaje mi się... — zająknął się nasz bohater, któremu te pytania bardzo były jakoś nie do smaku, obawiał się bowiem, żeby w całej sprawie nie domyślano się jego wpływu, a nie

mógł opanować pomieszania, choć czuł że go to wydać może.

— Więc pan z nim nie masz żadnych stosunków? — z badawczym spojrzeniem zapytała Leonia.

— Żadnych pani, — odrzekł z cicha Zygmunt, zdobywając się na heroiczne kłamstwo.

Leonia przygryzła wargi i rzuciła okiem na Bożennę, której lekkie rumieńce nagle zniknąć poczęły...

— Niepodobna, ażeby kłamał tak stanowczo... Omyliłyśmy się!... to nie on, — pomyślały obiedwie przyjaciółki.

Myśl ta przeraziła Bożennę... Czuła ona jakby jej coś odrywało z serca częśćkę po częśćce.

Lecz w umyśle Leonji to przypuszczenie było tylko przelotnem. Nie chciała mu zaufać i wstępny bojem postanowiła wydrzeć Zygmuntowi najdroższą jego tajemnicę.

— Przecież onegdaj, — rzekła do niego, — widziano pana w kantorze tego bankiera.

Było to najpocziwшем zmyśleniem; przyjaciółka Buzi chwyciła się go, wychodząc zapewne z zasady, że cel środki usprawiedliwia.

Zygmunt pokraśniał, jak na gorącym złapanym uczynku, i jękał się coraz więcej.

— Widziano mnie?... nie może być!... Ach! prawda, przypominam sobie... potrzebowałem

zmienić jakiś banknot włoski, który mi przypadkiem został z podróży.. Byłem przez chwilę... dwadzieścia pięć lirów.. natychmiast mi zmieniono..

— A!... złapałam ptaszka,—pomyślała Leonia. — Jak się tłumaczy, jak zapiera... To on! to on, najniezawodniej.

— Tai się z pięknym czynem, jak inni ze zbrodnią, — powiedziała sobie Bożenna, — i twarz jej chwilowo pobladła, nowem zajaśniała życiem.

Odtąd nie było już wątpliwości dla obu przyjaciółek, że Zygmunt i nikt inny jak Zygmunt, wystarał się o miejsce dla ojca Bożenny.

Gdy Buzia powróciła do przerwanego opowiadania o dobrej nowinie jaką otrzymała z Krakowa, pomieszanie, którem napróżno starał się o władnąć, utwierdziło obiedwie najzupełniej w tem przekonaniu.

A na tem przekonaniu, na tej pewności, wznosił się gmach rozumowania taki piękny, taki wspinały... ni, w stylu korynckim lub gotyckim, lecz w stylu najczystszej marzenia zbudowany, nie przez mocarzy świata, lecz przez szczęście zamieszkały!

— To on.. więc nie wie żem bogata .. nie wie żem bogata, więc kocha... kocha, a więc... — Tutaj zabrakło Buzi słowa... gmachowi temu brakowało widać jeszcze wieńca na szczycie, lecz brak ten nie miał trwać długo.

Drugie odwiedziny Zygmunta były daleko dłuższe niż poprzednie.

Kilka godzin już upłynęło po obiedzie, albo jeśli kto woli: złoty wóz słońca ubiegł już większą połowę swojej codziennej drogi od skraju widokregu, a bohater nasz jeszcze nie myślał o odjeździe, lecz z całem towarzystwem zgromadzonem w Strzałach, używał przechadzki po ogrodzie, przechadzki którą dla niego wesołe słowa szczęśliwej Buzi, milej niż wonie majowego powietrza krasily.

Czuł w duszy nadmiar szczęścia, a w szczęściu tem, jak rośliny na słońcu, dojrzewały jego nadzieje.

Potrzeba było tylko przyjaznej okoliczności, ażeby się ośmielił wyznać te nadzieje tej, co je mogła spełnić, albo w proch rozsypać.

Okoliczność zdarzyła się wkrótce.

Przypadkiem w ciągu przechadzki Zygmunt i Bożenna znaleźli się odosobnieni od reszty towarzystwa.

— Ach! jakżem wdzięczna tej jakiejś pocciwej duszy,—rzekła Buzia,—co się zajęła położeniem mojego ojca i wyszukała mu posadę. Jak tylko się rodzice przeniosą do Lwowa, pojedę do nich, szczęśliwa, że tak niedaleko będę od miejsca, w którym, mimo różności położenia, taką szczerą przyjaciółkę znalazłam.

— Którą pani zapewne często odwiedzać będziesz...

— O! jak będzie można najczęściej.

Znajdowali się właśnie koło kwiatu z Sumatry, który, korzystając z prześlicznego dnia wiosennego, przeniesiono do ogrodu.

—Odwiedzając przyjaciółkę,—rzekł Zygmunt,—znajdziesz pani nieraz sposobność rzucenia okiem na ten kwiat, który radbym dziś natchnąć, żeby i o mnie czasem przypomniał.

— O! ja ten kwiat zabiorę z sobą,—odpowiedziała Buzia.

— A jeżeli przyjmie na siebie obowiązek przypominania mnie natrętnie, czy nie utraci względów pani?...

— Nie, panie,—odrzekła Buzia, której serce mocniej bić zaczęło.

— A jeśli, nim zwiędnie i opadnie, poważy się powtórzyć w mojem imieniu to, co ja przed rokiem mówiłem, czy odepchniesz go pani, jak mnie odepchnęłaś?...

Bożennie brakowało wyrazów. Zdawało jej się, że serce w jej łonie przestało bić; usta do szeptu ledwie były zdolne.

— Panie Zygmuncie... to wspomnienie...

— To wspomnienie było mi przez cały rok w każdej chwili i na każdym miejscu przytomne, — rzekł Zygmunt głosem, który wezbrane

uczucie uczyniło uroczystym i wzniosłym.—Nie będę mówił ile mnie ono kosztowało krwi serdecznej, nie będę mówił jaką czarną zasłonę rzuciło na całą przyszłość moję, na moje najdroższe nadzieje... powiem że ono tylko było snem przelotnym, jeśli mi pani dzisiaj nie powtórzysz tego wyroku, jakim odepchnęłaś mnie przed rokiem. Kochałem i cierpiałem ciągle, jak dzisiaj kocham i cierpię.... Słowo twoje kazało milczeć mojej miłości i memu cierpieniu... byłem posłuszny i milczałem... Lecz dzisiaj... dzisiaj Bożenno, wstąpiła w serce moje jakaś zuchwała nadzieja, że mym uczuciom mówić nie zabronisz... więc mówię...

— A ja... słucham... Zygmuncie, — z cicha odpowiedziała Bożenna.

Rozmowa zamieniła się w szept, w którym zbyt wiele było uczuć, zbyt mało wyrazów, ażeby go spisać było można.

Gmach marzeń był uwieńczony.

W krótkce Leonia stała się powiernicą nowej tajemnicy.

— Zygmunt mi się oświadczył,—rzekła Buzia.

— A ty?...

— Pytasz się?!—odpowiedziała spuszczać oczy bohaterka nasza.

Komuż potrzeba skreślać uczucia, z jakimi Zygmunt jeszcze przed wieczorem powracał do

siebie?... Zna je każdy kto kochał i był, albo łudził się że jest kochanym. Wrażenia takiej chwili, zdolniejsze już pióra od naszego starały się skreślić, a tyle z nich nie mogło podolać zadaniu, że i nam braknie śmiałości pokusić się na nie.

To więc tylko powiemy, że im większe było szczęście Zygmunta, tem okropniejszy cios go czekał.

Powróciwszy do siebie, bohater nasz zastał list ze Lwowa.

Złamał szybko pieczętkę, pragnąc coprędzej załatwić się z tem pismem; szczęśliwi bowiem mało mają czasu do zajmowania się interesami.

List był, jak się łatwo domyśleć, od bankiera, który z pokrytem uniżoną grzecznością niezadowoleniem donosił mu, że się stał ofiarą mistyfikacji, albowiem jego protegowany wcale miejsca nie potrzebował.

Do listu, jako dowód, dołączoną była własnoręczna odpowiedź pana Wojciecha.

Zygmunt czytał ją raz i drugi... Zdawało mu się że to sen... odczytał raz jeszcze i dopiero zaczął pojmować.

W pierwszej chwili nie postrzegł nic strasznego, tylko tajemnica jaką się otaczała Bożenna zdawała mu się niepojętą.

— Jest bogatą,—mówił do siebie,—lecz cóż to szkodzi, kiedy mnie kocha?...

I znów wpatrywał się w list.

— Majątek ten spadł na nią dziewiątego maja przeszłego roku,—zawołał nagle, uderzając się w czoło.

Ta data krwawo zapisaną była w jego pamięci. Był to dzień pierwszych jego oświadczyn.

Wszystko co zaszło owego dnia, stało się dlań teraz zrozumiałem i jasnem.

— Co za szczególny zbieg okoliczności! — myślał.— Oświadczałem się jej w ten dzień właśnie, kiedy zostawała panią znacznego majątku. Słuchała mnie, oczy jej zdały się pełne szczęścia kiedym mówił, a przecież nagle spoważniała, stała się marmurowo zimną, spojrzała na mnie tem spojrzeniem wyższości i dumy, które przyniotło mnie do ziemi, i głosem odpowiednim spojrzeniu, cisnęła mi owo straszne: „jedź pan!“ co do dziś jeszcze jak wyrok potępienia brzmiało w mych uszach. Teraz rozumiem znaczenie tych wyrazów: były one piętnem pogardy, jakiem mnie naznaczała w swej duszy; posadzała mnie o spekulację, o niezgrabnie odgrywaną komedję i odtrąciła nogą komedjanta!... A!... czyż ja na to zasłużyłem?

Wspomnienie chwil świeżo przepędzonych z Bożenną, przybyło mu na pociechę.

— Odepchnęła mnie wtenczas, ale dziś przyjęła. I czemuż dla mnie przeszłość, kiedym dziś szczęśliwy?...

Za chwilę nowa myśl urodziła się w jego głowie, nowa wątpliwość, nowe zapytanie.

— Przyjęła mnie!... tak... ale dlaczego mnie przyjęła? Jakim sposobem przez ten rok zdołałem zmienić jej przekonanie?.. Czemu mnie dziś nie ma za spekulanta, tak jak dawniej?.. Czemu mną nie pogardza, czemu mnie nie odpycha tak samo?... Cóż zrobiłem ażeby ją przekonać, że mnie posądzała niewinnie?.. Próżno szukam, próżno myślą przebiegam ten rok cały... nie znajduję nic... nic, co by mnie usprawiedliwić przed nią mogło... Posądzała mnie wówczas, więc i dziś posądzać musi... pogardzała wtedy, więc i dziś gardzi... a jeśli nie odpycha?.. Albo ja wiem dla czego nie odpycha?.. Jest w tem tajemnica, której zbadać mi niepodobna, której zbadanie zresztą na nic się nie przyda. Dość żem niskim, podłym w jej oczach, że oczyścić się nie ma sposobu.

Załamął ręce i chodził po pokoju, miotany straszną walką wewnętrzną.

Nagle stanął na miejscu.

— Jest sposób... — rzekł w duchu, — lecz jaki straszny sposób!... Oczyszczę się przed nią przez to, że ją utracę, utracę... na wieki!...

Boleść obezwładniła go na chwilę.

Po niejakiem dopiero czasie odzyskał panowanie nad sobą.

Wziął arkusz papieru, śpiesznie nakreślił kilka wierszy, zapieczętował i przez umyślnego posłańca wyprawił do Strzał.

Potem, ujawszy oburącz głowę, która здавало mu się że się rozpadnie, pozostał ze swoją boleścią.

W godzinę jeszcze widzieć go było można na tem samym miejscu, nieruchomego; tylko ręce opadły zbezwładniałe, a w smutnie w ziemię spuszczonej oczach dwie łzy świeciły.

Szczęście błysnęło mu przez kilka godzin i zaszło z pierwszym zachodzącym słońcem.

W tej samej chwili Bożenna czytała list następujący:

„Pani! Są okoliczności, w których obowiązek względem samego siebie nakazuje mężczyźnie zabić swoje własne serce.

Cofnąć się przed spełnieniem tego obowiązku jest hańbą.

Dziś, również jak przed rokiem, prosząc o miłość i o rękę pani, nie wiedziałem że jesteś bogatą. Dowiedziawszy się w tej chwili o rzeczywistem położeniu majątkowem rodziców pani, widzę że powzięłem zamiar, którego świadomość o prawdziwym stanie rzeczy nie byłaby mi powziąć dozwoliła.

Droższym mi jest szacunek pani, nad szczęście całej mojej przyszłości; dlatego, mimo rozpaczę jaką mną miota, gdy mi przychodzi wyrzec się czystych moich marzeń, błagam cię, żebyś biedną miłość moją wybaczać mi i zapomnieć o niej raczyła.

Zygmunt.

Bożenna przeczytała i papier wypadł jej z ręki.

Kiedy do niej przyszła Leonia, zastała ją w niemej pogrążoną boleści.

— Buziu, co tobie?... jakieś nowe nieszczęście! zawołała.

-- Patrz,—rzekła bohaterka nasza, gestem wskazując na list.

Leonia przeczytała i z gniewem tupnęła nóżką.

— A! to doprawdy niesłychane!... zwalniać pannę z danego słowa, dlatego że ma posag!... Wyborna dla mnie perspektywa!... Wiesz Buziu, żeś ty przedewszystkiem dobrze wygniewać się powinna na twojego pana Zygmunta... a potem...

— A potem?...—sinnitnie powtórzyła Buzia.

— Potem czekać spokojnie... Jeszcze żadne małżeństwo nie rozchwiało się dla takiego powodu. Zobaczysz, że nie wytrzyma i przyjedzie.

— Nie on, nie on, Leonciu... Po takim liście, tacy jak on ludzie, nie powracają do biednej dziewczyny, którą Bóg ukarał majątkiem.

Lzy rzewne popłynęły z oczu Bożenny.

— A ja ci mówię, że to się dobrze skończy — pocieszała ją przyjaciółka. — tylko nie trzeba płakać, ale działać...

— Działać!... jak?...

— Napisz mu żeś się dowiedziała o tem, co chciał zrobić dla twego ojca, i że tym sposobem przekonałaś się że cię kocha...

— Ztądby się pokazało, że go posądzałam o rachubę... A!... wolę go stracić na zawsze, niż mu się przyznać, że go podejrzewałam tak niesłusznie.

— No, to czekaj... ja na to wszystko znajdę lekarstwo... tylko bądź dobrej myśli, tylko nie płacz...

— Cóż zrobisz?

— To moja tajemnica. Tylko mi ufaj, a wszystko będzie dobrze.

W serce Bożenney wstąpiła nadzieja i twarz jej półuśmiechem się rozjaśniła.

Leonia za to, chociaż udawała wesołą, była w istocie bardzo w duszy zgryzioną. Pożegnała wkrótce swą przyjaciółkę, dodając jej otuchy jak mogła, i poszła do swojego pokoju, rozmyślać co począć z tą biedą.

Współczującym sercem przyrzekła Buzi, że jej na to nieszczęście da radę; ale próżno szukała w głowie, — rada żadna nie przychodziła.

— Kto zdolnym jest powziąć takie postanowienie, ten nie jest zdolnym się cofnąć.

Ta myśl psuła jej wszystkie szyki; każdy projekt jaki powzięła rozbijał się o nią natychmiast. Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka.

Nazajutrz o piątej zrana Bożenna weszła do jej sypialni.

— Jakto?... już wstałaś... tak rano!... — rzekła do niej Leonia.

— A! i ty nie śpisz,—odrzekła Buzia. Jak to dobrze!... Mnie się nie chciało spać.... taki prześliczny ranek!... Więc jakże, dodała po chwili, jesteś pewna twojego planu?... Niezmiernie go ciekawa...

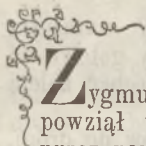
— Jestem najpewniejsza... bądź tylko tyle cierpliwą, jak ciekawą, a wszystko się zrobi.. — odpowiedziała Leonia, udając zaufanie, którego mieć nie mogła.

I chcąc zaraz odwrócić rozmowę od przedmiotu, który bez pomieszania trudno jej było poruszać, dodała:

— Piękny ranek, powiadasz... Przeszłybyśmy się może po ogrodzie...

Bożenna przystała na przechadzkę, i w kwadrans może potem dwie przyjaciółki wchodziły do tej samej alei, w której w przeddzień bohaterka nasza rozkoszowała się dźwiękiem natchnionych miłością słów Zygmunta.

XIII.



Zygmunt, po rozpaczem postanowieniu które powziął i z taką siłą męskiej woli wykonał, przez parę godzin nie mógł przyjść do siebie.

Gdy się opamiętał cokolwiek, gdy sobie powiedział owo: „stało się,” to jest pierwsze słowo smutnej pociechy, jaka nam przychodzi po nieszczęściu, w postaci świadomości że inaczej już być nie może, — pierwszym pytaniem które sobie zadał było:

— Co teraz pocznę?...

Odpowiedź na to pytanie była i łatwą niezmiernie i niesłuchanie trudną zarazem. Streszczała się ona w wyrazach.

— Co pocznę?... nie wiem...

Do tych wyrazów tyle tylko mógł dodać Zygmunt po długiem, bolesnem rozmyślaniu:

— Zostać tu ani chcę... ani mogę... Nie chcę, bo lepiej uciec od bólesci; nie mogę, bo gdybym został, mógłbym się cofnąć i upaść. Więc pojedę...

Ktokolwiek postanawia wyjechać, postanawia zarazem dokąd ma wyjechać i kiedy. Zygmunt

prędko się ułatwił z temi dwoma nowemi pytaniami.

— Dokąd?... w świat... gdzie mnie oczy poniosą... Kiedy?... zaraz.

Zapowiedział natychmiast, żeby nazajutrz rano na godzinę czwartą konie były gotowe do Jaworowa, a ztamtąd miał dalej jechać koleją żelazną.

Dobrze przed czwartą, był gotów do drogi.

Już miał wsiadać do powozu, gdy zatrzymał się na stopniu.

— Jechać tak... bez pożegnania przynajmniej tych miejsc, w których mi ona powiedziała że chce być moją, bez najmniejszej po niej pamiątki, nawet bez listka trawy po której deptała... Nie, to niepodobna.

Kazał wyprowadzić wierzchowca i dosiadłszy go pojechał do Strzał, na to ostatnie pożegnanie.

— Tak rano... piąta ledwie... nikt mnie nie spostrzeże, mówił do siebie, przybывая na miejsce.

Dojechał polami do parkanu otaczającego ogród, uwiązał konia, przelazł przez parkan i skierował się ku temu miejscu, gdzie wczoraj jeszcze tak niezmiernym szczęściem był szczęśliwy.

Wkrótce potem był w tej samej alei, w której dnia poprzedniego wyznawał miłość Bożennie.

Kwiat z Sumatry stał przed nim w swoim wazonie, piękny i świeży jak w przeddzień.

— Pocóż szukać innej pamiątki? myślał Zygmunt, po co ten kwiat, który się tak spletał z historją mojej nieszczęśliwej miłości, ma jej tę miłość i mnie przypominać? Niech zwiędnie na mem sercu, tak jak w niem zwiędła nadzieja.

Dobył noża z kieszeni i patrzył długo na pyszną roślinę, nie śmiąc jej życia pozbawić. Heroiczny zabójca swojego szczęścia, wahał się na myśl zabicia kwiatu.

W końcu zwyciężył sam siebie. Symbol miłości skazany został na śmierć, jak miłość którą wyrażał...

Drżącą ręką Zygmunt przybliżył ostrze noża do łodygi kwiatu...

Chwila jeszcze, a spełniłby swój zamiar, ale w tej chwili właśnie ozwał się głos za nim.

— Panie Zygmuncie!.. co pan robisz?..

Zygmunt poznał mowę Leonii i obejrzał się pomieszany.

Widok Bożenny, wspartej na rękę przyjaciółki, znieruchomił go do reszty.

Krótką chwilę trwało milczenie. Leonia zrozumiała natychmiast, że przyszła na nią pora działania, i pewną była że Zygmunt, w takiej zaatakowany okoliczności, nie zdoła wyjść z walki zwycięzko.

— Przychodzę do pana,—rzekła tonem pół serjo, pół wesołym, (położenie bowiem Zygmunta,

złapanego na gorącym uczynku, mimowolnie ją rozbawiało)—przychodzę do pana wstawić się, żebyś przebaczył mojej przyjaciółce, że bez wiedzy pańskiej i mimo swojej woli jest bogatą.

Zygmunt nie wiedział co odpowiedzieć na te słowa. Czuł że słabnie; serce jego biciem zdradzało, że było by mu bardzo przyjemnie odpuścić Buzi ten występki.

Milczał przez chwilę.

— Bożenna, mówiła dalej panna Strzańska, nie żąda darmo tego przebaczenia... Gotową jest ona wybaczyć panu wzajem wszelki, chociażby cięższy nawet grzech, jeżeliś jaki przeciw niej popełnił. Opuść pan, a będzie panu odpuszczone... wszystko... nawet list wczorajszy.

— List mój, pani, był obowiązkiem,—zabrał wreszcie głos Zygmunt,—i nikt nademnie bardziejby nie pragnął żebym go pisać nie był potrzebował... Jeżeli jednak idzie o darowanie mi winy... w takim razie...

— A!... masz pan także coś na sumieniu!—zawołała Leonia zupełnie już uradowana, widząc że w sercu Zygmunta miłość odnosi zwycięstwo nawet nad uczuciem obowiązku, na które się powoływał.

— Mam pani,—kończył nasz bohater,—i błagam o przebaczenie, bo i ja także dziś jestem bogaty, i kryłem się z tem przed tobą.. Bożenno..

Buzia podała Zygmuntowi rękę, którą on do ust przycisnął.

Ocalony od przedwczesnej śmierci kwiat z Sumatry, spoglądał znowu na tę samą miłość jakiej był widzem w dniu poprzednim... Szczęście zaszło ze słońcem, wschodziło z niem razem, pogodniejsze jeszcze i jaśniejsze...

Tylko Leonia udawała, że tego szczęścia nie podziela. Przybrała nadąsaną minę, tupiała nóżką i wołała:

— To doskonałe!.. przebaczą sobie bogactwo, jakby najstraszniejszy kryminał!... Chcecie zaprowadzić nowe pojęcia w ekonomji politycznej, moi państwo... ale mnie do nich nie nawrócicie... Czuję, żebym się bardzo gniewała na siebie, gdybym nie była bogatą.

Dalsza przechadzka odbywała się we troje. Nie ma przyjemniejszej majówki, nad majówkę ludzi szczęśliwych; jaką więc była majówka trojga tych szczęść, z których dwa były poważne, a trzecie serdecznie wesołe, mówić nie potrzebujemy.

Po jakimś czasie tej przechadzki. po za płotem dało się słyszeć rżenie konia.

— Koń tutaj?—rzekła Leonia zdziwiona.

— To mój koń, pani,—odpowiedział Zygmunt.

— A! więc pan przelazłeś przez płot, aby się dostać tutaj i zrobić zamach na życie kwiatu...

— I szczęścia swego,—dodał nasz bohater.

— Niepodobna tego zamachu puścić bezkar-
nie—mówiła dalej panna Strzalska;—w imieniu
więc Bożenny skazuję pana na bezzwłoczny od-
jazd tą samą drogą.

— Ależ Leonciu...—zaprotestowała Bożenna.

— Pamiętaj żeś mi dała nieograniczone
pełnomocnictwo do działania i nie przerywaj...
Odjedziesz pan tędy, a w południe czekamy pana
z powrotem, drogą ludzi którzy nie mają zamia-
rów zabójczych, ani względem prześlicznych
kwiatów, ani względem biednego szczęścia.

Posłuszny rozkazowi w imię Bożenny wy-
danemu, Zygmunt skierował się ku parkanowi.

— Nadto,—wołała za nim Leonia,—również
w imieniu Buzi, zabraniam panu trudnić się
jakąkolwiek korespondencją, aż do dalszego roz-
porządzenia.

Około południa w strzalskim dworze z dwóch
stron usłyszano trąbki pocztowe.

— Będziemy mieli gości,—zawołała Leonia.
Buziu, to będą jakby twoje zaręczyny.

Od strony Jaworowa i od strony Żółkwi, na
drogach wiodących do Strzał, wznosiły się i zbli-
żały ku dworowi tumany kurzu.

Dwie ekstrapocztę, prawie jednocześnie, za-
jechały przed ganek.

Z każdej wysiadło po dwóch mężczyzn, jeden poważny wiekiem, drugi wyelegantowany młodzieniec.

Razem wstępowali na ganek i na ganku, rzuciwszy na siebie okiem poznali się.

Poważni mężczyźni podali sobie ręce i uścisnęli je przyjaźnie;—dwaj elegancyści młodzieńcy rzucili na siebie wzrokiem wściekłości.

— Przekleństwo! i on tutaj—myślał jeden.

— Piekło go tu przyniosło!..—myślał drugi.

Gdy goście weszli do salonu, rozpoczęły się prezentacje, elegancyści bowiem młodzieńcy, trzymający szapokłaki pod pachami, przystrojeni w nieposzlakowanej świeżości fraki, dziewiczej białości kamizelki i krawaty, słonecznej glansowności lakierki, słowem w cały przybór ceremonialny, po raz pierwszy przestępowali progi domu państwa Strzalskich...

Jeden z poważnych mężczyzn zbliżył się do ojca Leonii i rzekł:

— Mam zaszczyt zaprezentować panu mego dobrego znajomego, pana Stefana Pogodę, obywatela, od dni kilku bawiącego w Żółkwi.

Drugi poważny mężczyzna w tym samym czasie mówił do pani Strzalskiej:

— Mam zaszczyt zaprezentować pani mego dobrego znajomego, pana Antoniego Ochlickiego, obywatela, od dni kilku bawiącego w Jaworowie.

Trzeba było wielkiej nad sobą mocy, żeby Leonia i Bożenna nie parsknęły ogromnym śmiechem.

Po kilku ledwie zamienionych słowach, pan Stefan nagle, niby poznając Buzię, udał niesłychane zdziwienie i zawołał:

— Ach!.. pani!.. oczom swoim nie wierzę...

W tej chwili pan Antoni w drugie ucho Buzi z podobną komedią zdziwienia kładł frazes:

— Panna Bożenna tutaj!.. co za niespodziane spotkanie!...

Wkrótce przybycie Zygmunta urozmaiciło tę scenę.

Dwaj niefortunni konkurenci, spostrzegając go wchodzącego, odgadli zaraz, że w nim wspólnego spotykają rywala, a wkrótce, po obejściu się z nim Buzi, wyrozumieli, że ten nowy spółzawodnik, był spółzawodnikiem szczęśliwym.

Wspólna porażka ochłodziła gniew, jakim pałać zaczęli przeciw sobie, widząc że jeden zawadza drugiemu. Rozczarowanie pogodziło ich znowu.

Po obiedzie, gdy na chwilę znaleźli się na osobności, Stefan rzekł do Antoniego:

— Starża nas ubiegł.

— Zdaje się, — odpowiedział Antoni.

— Cóż począć?...

— Ja myślę... wyjeżdżać jak najprędzej.

— I ja tak myślę.

— Wyjechać i nie wrócić.

Obaj, co prawda, myśleli wyjechać, ale obaj nie myśleli nie wrócić.

— Trzeba zmienić taktykę, — powiedział sobie w duchu jeden i drugi. Panna Strzalska także bogata... Buzia powiedzieć jej nie mogła o tych naszych niefortunnych oświadczeniach... panny nierade przyznają się do takich rzeczy...

I zabrali się obaj do nadskawiwania Leonii. Jeden przed drugim na wyścigi chwycił każdą okoliczność, żeby się jej przysłużyć, lub grzecznem słówkiem przypodobać.

Leonia bardzo prędko zrozumiała tę strategję; powiedziała o niej Buzi, i wysunawszy się na chwilkę, coś o tem szeptały po cichu.

Nad wieczorem trzeba było wyjeżdżać. Pan Stefan i pan Antoni chcieli posyłać na pocztę po konie, pan Strzalski jednak nie pozwolił na to, mówiąc że ich swemi końmi odeszle.

— W takim razie pojedźmy razem, — zaprojektował Stefan, — mając na myśli wejść znowu w układy z Antonim.

— Zgoda, — odrzekł Antoni, który również widział potrzebę ułożenia się ze Stefanem.

— Lecz dokąd pojedziemy?...

— Do Lwowa.

Odesłano ich więc do Lwowa.

W drodze nie wiele z sobą rozmawiali. Każdy przemyslał nad sposobem, jakim swemu spółzawodnikowi odradzić starania się o Leonia.

Gdy stanęli przed hotelem, woźnica, obdarzony przez każdego reńskim na piwo, wydobył z kieszeni dwa jednakowe pudełeczka, adresowane do rywalizujących przyjaciół, i rzekł:

— Panienska kazała oddać to panom we Lwowie.

Potem wsiadł na kozioł i pojechał.

Dwaj przyjaciele stali przez chwilę, patrząc to na siebie, to na pudełka.

— Co to może być? — rzekł Stefan.

— Zobaczymy w numerze, bo tu ciemno, — odpowiedział Antoni.

Wzięli jeden numer obydwaj, i skoro tylko zostali sami, zabrali się do pudełek.

W jednym i w drugim znajdowała się na wierzchu karteczka z napisem:

„Na pamiątkę zareczyn mej przyjaciółki Bożenno, z panem Zygmuntom Starzą.“ — Leonia.

Pan Stefan sięgnął głębiej i wydobył ze swego pudełka jakiś papier.

Zaczął czytać:

— Dla ciebie pieśń, o matko!... tyś szczęśliwa!..

Był to akrostych, za który kiedyś pięć reńskich Dydziakiewiczowi zapłacił, by splatać figla Antoniemu.

Pan Antoni w tym samym czasie wydobywał z pudełka wiewiórczo-rudy kok, za który również pięć reńskich u jednego z fryzjerów krakowskich wydał, aby nim, na psotę Stefanowi, drogi kwiat z Sumatry zastąpić.

Na widok tych pamiątek, okragła twarz pana Stefana przedłużyła się do niepoznania, a podłużne oblicze pana Antoniego zaokrągląło.

— Cóż ty na to?—rzekł po chwili p. Stefan.

— A cóż ty?—spytał również Antoni.

— Ja sędzę, że nie ma po co wracać do Strzał.

— I ja tak sędzę... panna Strzalska żartuje sobie z nas.

— I ktoby myślał, że się Buzia wygada?...

— Cóż chcesz?... kobieta!

Nastąpiła chwila milczenia.

— Cóż my teraz pocniemy, nieszczęśliwi?—zapytał znowu Stefan.

— A cóż?... wrócimy do Krakowa.

— I tam zawsze sobie będziemy w drogę włączili?...

— O nie!... ja się na serjo wezmę do córki mego gospodarza.

— Jakto, Antoni! taka brzydka.. zezowata... więcej piegów na twarzy, niż reńskich w posagu.

— To już trudno, — odpowiedział z rezygnacją Ochlicki. Jeżeli się za miesiąc nie ożenię,

wierzyciele wyrzucają mnie na bruk... Radzę ci, zrób i ty coś stanowczego ze sobą.

— Masz rację, — odpowiedział Stefan. Windmüllerówna nie da mi odkosza.

— Piekarczanka!... Niemka zabita... dwadzieścia dziewięć lat i dwie brodawki na każdym policzku! — krytykował Antoni.

— Mniejsza o to, — odparł Pogoda. — Jeśli przed świętym Janem nie będę miał jej posagu, przyjdzie mi odegrywać *Zachód słońca*.

Stefan westchnął głęboko; Antoni zawtórował mu z całej piersi.

Wkrótce potem ciemno było w numerze. Dwaj przyjaciele spali... Czy miłe sny mieli, o tem milczą dzieje.

K O N I E C.

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDANSKU



Ogłoszenia wydawnictwa Mrówki.

Z dniem pierwszym lipca dwa największe czasopisma literackie **Mrówka** i **Dziennik literacki** w połączeniu będą wydawane.

Mrówka wychodzić będzie jak dotąd w najpyszniejszym wydaniu, na pięknym papierze, ozdobnym drukiem, starannie illustrowana, w zeszytach sześćcioarkuszowych raz na kwartał i zawierać będzie prace obszerniejsze, tak beletrystyczne jak literackie i naukowe.

Dziennik literacki jak dotąd wychodzić będzie co tydzień we wtorki, w jednym arkuszu i zawierać przeważnie sprawozdania z ruchu bieżącego tak literackiego jak społecznego i t. d.

Z końcem roku wszyscy stali prenumeratorem otrzymają na premjum obraz *Jana Matejki Upadek Polski (Rejtan)* w litografowanej kopji, która się wykonywa w Paryżu w najpierwszym zakładzie litograficznym p. Lemersier.

Oba te pisma wzajemnie się uzupełniając oddzielnie prenumerowane być nie mogą.

Przedpłata od 1 lipca do końca roku wynosi dla nowo przystępujących prenumeratorów **5 złr. 30 ct.** ćwierćroczna **2 złr. 70 ct.**

Jeszcze można dostać w administracji *Mrówki* trzy pierwsze zeszyty, czyli to wszystko co należy do pierwszego półroczu (1870 r.) *Mrówki* w cenie prenumeracyjnej za **2 złr. 50 ct.**

Można także dostać i pierwszy rocznik *Mrówki* wraz z premjum: obraz *Jana Matejki, Kazanie Skargi*, za **6 złr.** a prenumeratom naszym ustępuje się za **4 złr.**

Administracja posiada zapasy kompletów *Biblioteki Mrówki* serji pierwszej (18 książeczek) i sprzedaje po **4 złr.**

Także przyjmuje przedpłatę na drugą serję *Biblioteki Mrówki* w kwocie **4 złr.**

W Administracji *Mrówki* można jeszcze nabyć następujące dzieła:

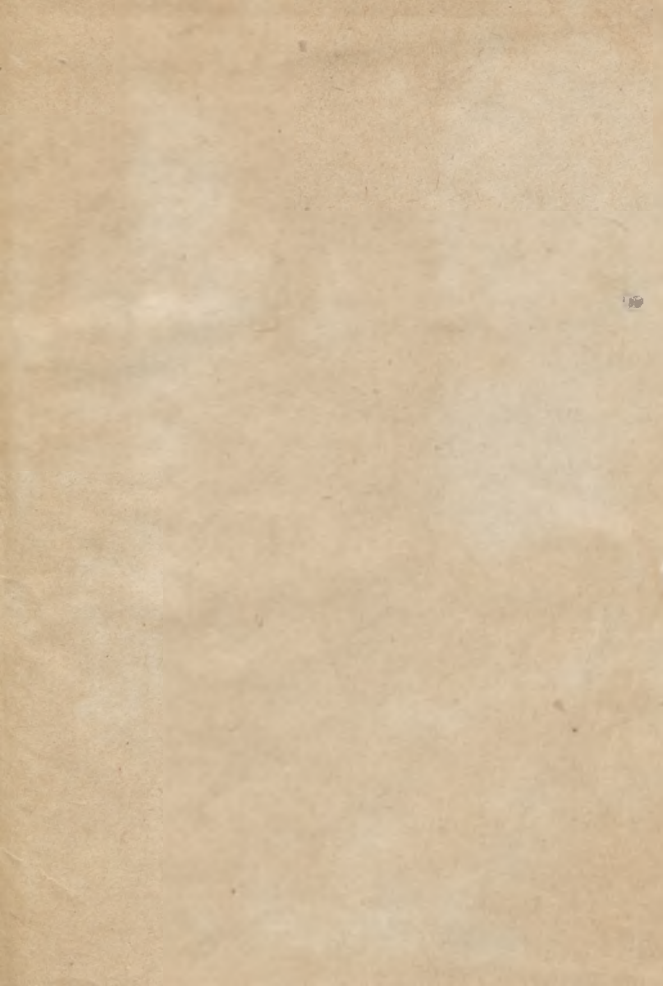
<i>Bełcikowski Adam</i> , Hunyadi, dramat w pięciu aktach, nakład Wyd. <i>Mrówki</i>	60 c.
<i>Biblioteka ludowa polska</i> , nakład Mickiewicza, każdy tomik oddzielnie	16 c.
<i>Callier Edmund</i> , Encyklopedia imion własnych, ze- szyt po	60 c.

<i>Chodźko Leonard</i> , Żywot Kazimierza Pułaskiego wydanie ozdobne ze stalorytami paryżskimi Tadeusza Kościuszki i Każ. Pułaskiego, nakładem Wydawnictwa Mrówki	3 złr.
<i>W. Folkierski</i> , Zasady rachunku różniczkowego	7 złr.
<i>Heltman Wiktor</i> , emigracja polska od 1831 do 1863 roku krótki rys historyczny. Lipsk	60 c.
„ Konstytucja 3 maja 1791 z uwagami oraz komentarzami. Lipsk 1865	60 c.
<i>Janowski J. N.</i> , Jezuici w Polsce	30 c.
„ Księgi ludu, przekład z Lamenege	30 c.
„ Moja koresp. z ks. Czartoryskim	30 c.
„ O początkach demokracji polskiej	30 c.
„ Rzym i Polska	30 c.
<i>Libelt Karol</i> , O kometach i gwiazdach spadających, Odczyty popularne, z portretem autora	60 c.
<i>Niewęglowski H. G.</i> , Arytmetyka	2 złr.
„ Geometria 2 tomy	4 złr.
<i>Owoce i Swinie</i> , wiarogodna chińska historia	5 c.
<i>Sabowski Wł.</i> (Wołody Skiba), Wojak Janosz, przekład z węgierskiego, Petőfięgo	60 c.
„ Na Wędkę, powieść	50 c.
<i>Sowiński Leonard</i> , Fragment powieści, poemat, wydanie ozdobne	60 c.
<i>Schmitt Henryk</i> , Dzieje Polski, potocznie opowiedziane, od początków do dni dzisiejszych (str. 768)	2 złr. 50 c.
<i>Schmitt Henryk</i> , Unja Litwy z Koroną	50 c.
„ Dzieje porozbiorowe Polski	4 złr.
<i>Tania Czytelnia</i> : Jen. H. Dąbrowski	20 c.
<i>J. K. Turski</i> , Faworyt, komedyjka	25 c.
„ Zochna hrabianka, powieść	1 złr.

Józef Trzywdar, Z pogańskich światów. Pieśń miłości 60 c.
 " Królewska para, poemat historyczny (pod
 prasą) 1 zlr.

Zbrozek Piotr, Bartosz Głowacki 6 c.
 " Władysław Łokietek 6 c.
 " Krakus i Wanda 6 c.

9



BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
GDAŃSK

I 319695